

**GDZIE PARTIE
MAJĄ MŁODYCH**

**POLSKA JEST
WIELKĄ ORKIESTRĄ**

**SZYMBORSKA
BEZ KAWY I PAPIEROSA**

Kraków 29 stycznia 2023 nr 5 (3838)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Czego nie wiecie o finansach Kościoła



Kapsztad – afrykański raj

Wybierz się z nami do Południowej Afryki, spróbuj najwspanialszych win świata i doskonałego jedzenia, rozkoszuj się pięknymi plażami i zobacz pingwiny w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei!

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Kapsztadu. **Dz. 2** Kapsztad, zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Górę Stołową, rejs statkiem po zatoce, dzielnica Victoria & Alfred Waterfront (dodatkowo płatna). **Dz. 4** Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Przylądek Dobrej Nadziei z lunchem (dodatkowo płatna). **Dz. 5** Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka do krainy win: Vrede en Lust, Franshoek i Stellenbosch, lunch i degustacja win (dodatkowo płatna). **Dz. 6** Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Wyspę Robben i township (dodatkowo płatna). **Dz. 7-9** Pobyt w Kapsztadzie. Wylot do Polski. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 14/03, 13/11 2023

od **7.498,-**



Rejs po Renie: Bazylea, Amsterdam i Kolonia

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Przejazd do Kolonii. Zaokrętowanie na statek. **Dz. 2** Amsterdam, Holandia. Rejs kanałami z przewodnikiem (dodatkowo płatne). **Dz. 3** Nijmegen, Holandia. Spacer po hanzeatyckim Nijmegen. **Dz. 4** Kolonia, Niemcy. Spacer po starym mieście, Katedra oraz degustacja piwa (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Koblencja, Niemcy. Zwiedzanie miasta oraz wjazd kolejką linową do twierdzy Ehrenbreitstein. Dolina Loreley. Wycieczka w Rüdesheim am Rhein (dodatkowo płatna). **Dz. 6** Mannheim, Niemcy. Piesza wycieczka po Mannheim lub dodatkowa wycieczka do Speyer (opcjonalnie). **Dz. 7** Kehl, Niemcy. Strasburg, Francja. Możliwość zwiedzania średniowiecznego miasta wpisanego na listę UNESCO (opcjonalnie). **Dz. 8** Kembs, Francja lub Bazylea, Szwajcaria. Zwiedzanie Bazylei. Wyjazd na lotnisko, powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy
28/05, 15/09 2023

7.998,-

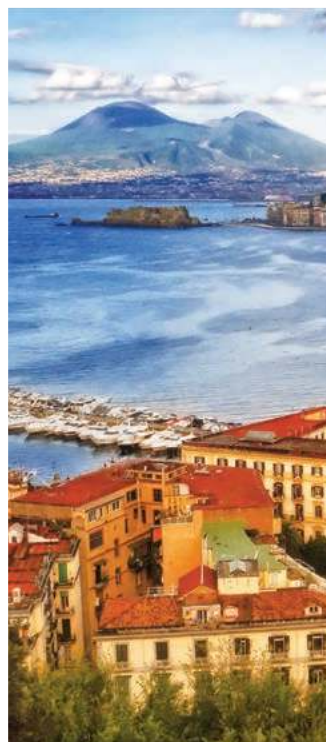


W cieniu Wezuwiusza – Neapol, Pompeje, Amalfi

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot do Neapolu. Przejazd do Sorrento, degustacja likieru limoncello. Przyjazd do hotelu w Castellammare. **Dz. 2** Przejazd autokarem do portu, rejs statkiem do Positano i Amalfi oraz zwiedzanie. **Dz. 3** Czas wolny lub opcjonalny rejs na wyspę Capri. **Dz. 4** Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. Pizza na lunch. **Dz. 5** Wizyta w Pompejach. Degustacja wina w lokalnej winnicy. Spacer do krateru Wezuwiusza. **Dz. 6** Poranna wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, transfer na lotnisko i wylot do Polski.

6 dni | Wyloty z Warszawy
22/05, 11/10 2023

od **4.998,-**



Degustacja wina oraz limoncello w cenie

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP02

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: Ludzie nowej epoki

TRUDNO POWIEDZIEĆ, ŻE TO CZY TAMTO DECYduje o nadejściu nowej epoki. Ale ona już się wkłada, przez wielu, nawet przez większość, niedostrzeżona. Najdalszy jestem od uważania siebie za specjalnie bystrego. Też długo jej nie widziałem. Ale chyba jest już nowa. Jej protagonistą jest z pewnością papież Franciszek, ale zostawmy go, bo i jako człowiek, i jako symbol nowości jest zbyt spektakularny, skomplikowany – i zarazem oczywisty, bo zbyt wielu wie, co o nim myśleć. Chodzi mi raczej o ludzi, którzy nawet nie wiedzą, że coś otwierają, że są zwiastunami, protagonistami czegoś gruntownie nowego. Idą, sami nie wiedząc, o krok przed innymi. A inni, chcąc nie chcąc, wybierają przedeptane przez nich ścieżki, bo są – właśnie – już przedeptane.

Znacie Jerzego Owsiaka? Znacie. Tym bardziej że nie jest postacią kościelną. Ale jest postacią, czy sam wie, czy tego nie wie, czy chce, czy tego nie chce, chrześcijańską (myślę, że nie musi wiedzieć, a nawet nie musi chcieć). Bo chrześcijaństwo to jest dzielenie się z tymi, którzy potrzebują. Owsiak, bez wzniosłej demagogii, upomina się właśnie o nich. Od 30 lat wskazuje konkretny cel dla naszej dobroczynności. I zawsze z ogromnym odzewem. Nie mówi o religijnych motywach, mówi o ludzkich potrzebach. Już jego przeciwnicy przycichli, zobaczyli, że męczą się na próżno (pamiętacie w ogóle któregoś z nich? No właśnie, nie było powodu). Ale właściwie to, czemu akurat on trafia, kiedy tak wielu nie trafia? Rzeczywiste potrzeby, rzeczywista pomoc – na pewno. I mniejsza, czy te potrzeby powinno zaspokoić państwo, czy nie państwo. Są potrzeby, trzeba im sprostać – jasne. Ale to nie jest miejsce na kropkę, lecz na wielkie otwarcie.

Pamiętacie księdza Jana Kaczkowskiego? Nie chodzi mi tu o „księdza, który miał kłopoty z Kościołem, miał kłopoty z ludźmi”. Takich się rzeczywiście lepiej pamięta. Cho-



dzi mi raczej o to, że dziś, kiedy nie żyje, nikt nie zaprzeczy, że wiedział on, gdzie jest miejsce chrześcijaństwa. Dopiero co odświeżyłem sobie film „Johnny”. W naszym antyklerykalnym społeczeństwie, przy kompromitującym się Kościele, taki sukces frekwencyjny! Na co ci ludzie poszli? Co tam znaleźli? Wspaniała biografia Kaczkowskiego, której drugie, rozszerzone wydanie ukazało się niedawno, napisana przez mojego redakcyjnego kolegę Przemysława Wilczyńskiego, jest właśnie o tym. O sa-

lowym w wielkim szpitalu polowym Pana Boga. Pełnym nieskrywanych wad i słabości, Kaczkowski był w końcu człowiekiem jak każdy, ale w jednej sprawie, z uporem znamienującym jego powołanie, się nie mylił. „Proszę państwa – mówił – niezależnie do tego, jak daleko lub blisko jesteśmy od Pana Boga, wszyscy jesteśmy bytami duchowymi. Od spraw duchowych nie da się uciec”. Służył im choćby w hospicjum, gdzie często nie ma czasu i miejsca na duchowe wzloty, jest już tylko nagi ból, bezlitosne odliczanie czasu, pogodzenie, albo i nie, bezsilny poryw, a czasem spokój, kiedy słychać nieubłagane kroki śmierci. Tam był cały, niosąc ducha.

Tu wspominam o dwóch dobrych sługach ludzi cierpiących, czyli o chrześcijanach. Ale w życiu mamy ich wielu. Księży i świeckich, pobożnych i mniej pobożnych, ludzi, którzy – rzecz pozornie tak prosta – zobaczyli zaniedbane obszary życia i weszli na nie.

Zwykle *ex post* ustala się granice epoki. Czasem myślę o nowej epoce chrześcijaństwa. Czy będzie miała jakiś nowy format? I wtedy zjawia się ks. Kaczkowski, zjawia się Owsiak, zjawiają się inni, tacy jakby nie z tej ziemi, a jednocześnie bardzo (za bardzo, obawiają się niektórzy) z tej. Może wcale nie są tacy nowi? Może tylko myśmy zapomnieli, jacy potrafimy być?

© P

TYGODNIK
POWSZECHNY

Zapraszamy na kawkę...

...oraz na rozmowę, zwiedzanie naszej siedziby, studia podcastowego, a także okolicy – z przewodnikami i przewodniczkami z naszej redakcji.

Zapraszamy do wzięcia udziału w naszej aukcji na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i do wylicytowania fascynującej podróży po Tygodnikowych przestrzeniach.

Zaczynamy od kwoty 134 złote, bo nasz adres to... Dworska 1C/LU 3-4 w Krakowie! Wejdź w link: powszech.net/kawka i chodź do nas!

Na zdjęciu Grażyny Makary, szefowej działu foto
– Marcin Żyła, reporter, zastępca redaktora naczelnego, oraz Iguasu.



20 Trudno wywrócić tę Polskę

ROZMOWA Z RÓŻĄ RZEPLIŃSKĄ:

Przez lata byliśmy beneficjentami pomocy, otwierając zagraniczne paczki z pomarańczami i rajstopami. Aż tu nagle ktoś mówi: hej, stoicie już na nogach, wy też możecie dawać. Owsiak pomógł nam zobaczyć siebie na nowo.



32 Mieszkańcy jednego ogrodu

ROZMOWA Z KS. JOSH TROMEM KUREETHADAMEM, WATYKAŃSKIM „MINISTREM” EKOLOGII

Spotykałem ludzi, którzy mówili, że są pro-life, a popierali prawo do posiadania broni, karę śmierci czy ostrą politykę antymigracyjną.



42 Wyścig o Hrad

PATRYCJA BUKALSKA

Albo emerytowany natowski wojskowy Petr Pavel, albo uwikłany w skandale ekspremier Andrej Babiš: taki wybór mają Česi przed drugą turą wyborów prezydenckich.



54 Wybór Michasia

KAROLINA PRZEWROCKA- ADERET Z IZRAELA

„Wiesz, że cię kochamy, i że nasz dom jest twoim domem. Ale jesteś Żydem. Idź do swoich, należysz do nich” – powiedziała Helena Stachowicz chwilę przed tym, gdy serce pękło jej na kawałki.



64 Zmienna losowa

ELIZA KĄCKA

Dokąd nas zaprowadzi rozpoczęty właśnie Rok Szyborskiej? Uparcie zadawane pytanie „Dlaczego?” wystrzeliło poetkę w kosmos. Polećmy za nią.



78 Okno do środka

ZMARŁ ANDRZEJ DUDZIŃSKI

Miał 77 lat i był najlepszym człowiekiem na świecie. Zmieniał style malowania i rysunku, ale nawet gdy szedł za Goyą, nie potrafił wygasić światła w obrazach.

6 Ukraina potrzebuje czołgów.
Natychmiast

WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ

O. WACŁAW OSZAJCA

ABP GRZEGORZ RYŚ

PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 Trudno wyrzucić tę Polskę

ROZMOWA Z RÓŻĄ RZEPLIŃSKĄ

24 Obywatele innej demokracji

PAWEŁ MARCZEWSKI:

Nieprawda, że młodzi nie interesują się polityką. Po prostu nie interesują się taką polityką, jaką proponuje większość polskich partii. Głównie PiS, ale nie tylko

26 Betonowa fala

DAMIAN NOWICKI: Najdłuższy polski budynek ma 6 tys. mieszkańców. Ideaty, które przyświecały jego twórcom, są aktualniejsze niż kiedykolwiek

■ ■ **WIARA**

32 Mieszkańcy jednego ogrodu

ROZMOWA Z KS. JOSH TROMEM

KUREETHADAMEM

36 Tajemnicza droga Opatrzności

TOMASZ P. TERLIKOWSKI:

Dialog z islamem jest jednym ze strategicznych celów pontyfikatu Franciszka. Jednocześnie religia ta jest trudnym wyzwaniem dla chrześcijańskiej teologii

38 Bóg w rozumieniu ustawy

JAKUB KRZYŚKA: Jesteśmy związkiem wyznaniowym – przekonuje wspólnota religijna, która stara się o rejestrację

■ ■ **ŚWIAT**

42 Wyścig o Hrad

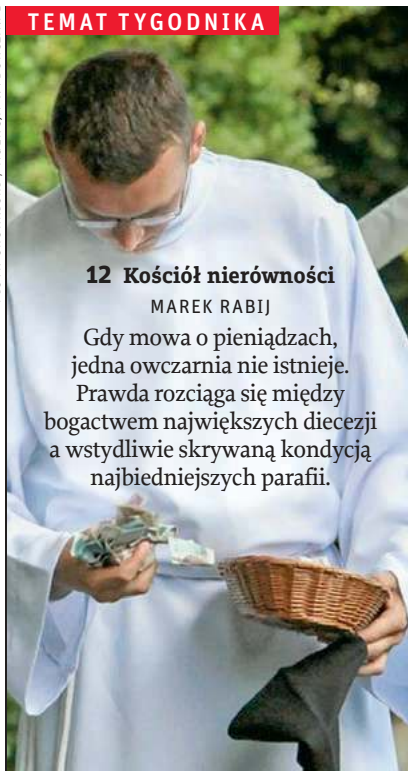
PATRYCJA BUKALSKA

45 Wynik nie jest przesądzony

POLITOLOG NIKOŁA HOŘEJŠ o czeskich wyborach

TEMAT TYGODNIKA

PIOTR SKÓRNIKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



12 Kościół nierówności

MAREK RABIJ

Gdy mowa o pieniądzu, jedna owczarnia nie istnieje. Prawda rozciąga się między bogactwem największych diecezji a wstydliwie skrywaną kondycją najbiedniejszych parafii.

■ **FELIETONY** ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI

41 WOJCIECH BONOWICZ

53 JACEK PODSIADŁO

76 OLGA DRENDĄ

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCIEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
EDWARD AUGUSTYN

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

46 Materiał jednorazowy

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY:

Nie byłoby sukcesów na froncie, gdyby nie ukraińska kreatywność

47 Krwawy most

DARIUSZ KAŁAN Z BOŚNI

I HERCEGOWINY: Turysty, którzy przybywają do tego miasta w Republice Serbskiej, nie dowiedzą się, co działo się tutaj 30 lat temu

50 Poniżej unijnej średniej

AGNIESZKA ZIELIŃSKA: Nie tylko Polska i Węgry, ale i Hiszpania musi tłumaczyć się z systemu praworządności

■ ■ **HISTORIA**

54 Wybór Michasia

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z IZRAELA

■ ■ **NAUKA**

58 Komu potrzebny mózg

DANIEL KOZŁOWSKI: Wiele organizmów funkcjonuje bez układu nerwowego. Dlaczego więc powstał?

■ ■ **KULTURA**

64 Zmienna losowa

ELIZA KĄCKA

68 Nic nie boli tak jak nic

OLGA ŻYMINKOWSKA: Cała twórczość Georges'a Pereca jest wyrazem potrzeby przykrycia luk we wspomnieniach

71 Galaktyka Disneya

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

W ostatniej dekadzie wszechobecność tej korporacji stają się niepokojące

74 Kebab i horoskop

ANITA PIOTROWSKA

o filmie „Chleb i sól” Damiana Kocura

75 Wycieczka

LEKTOR o książce „Halandza.

Opowiadania modernistów węgierskich”

■ ■ **POŻEGNANIE**

78 Okno do środka

Wspomnienie o Andrzej Dudzińskim

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ **Wyścigówka talibów [Strona Świata]**

Karoseria jak w bugatti i silnik od starej toyoty, czyli mada 9. O pierwszym samochodzie sportowym z Afganistanu

– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➡ **Jeden dzień Władimira [Rosyjska Ruletka]**

Wygłaszał przemówienia o wojnie i oskarżał Zachód o faszystowskie zapędy. O wizycie Putina w rodzinnym Petersburgu

– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka



Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



UKRAINA POTRZEBUJE CZOŁGÓW. NATYCHMIAST

Najbliższe miesiące mogą mieć decydujące znaczenie dla wyniku wojny. Dlatego postawa Niemiec, blokujących dostawę leopardów, jest niezrozumiała.

WOJCIECH KONOŃCZUK

OD WIELU TYGODNI LINIA FRONTU ZNACZĄCO się nie zmienia, co dla Ukraińców oznacza impas i kolejne ofiary. Coraz więcej sygnałów wskazuje jednak, że Rosjanie przygotowują się do nowej ofensywy. Aby się skutecznie bronić i myśleć o odzyskaniu utraconych ziem, Ukraina pilnie potrzebuje dostaw uzbrojenia. Wyczerpujące się zasoby sprzętu produkcji sowieckiej oznaczają, że przestawianie się Sił Zbrojnych Ukrainy na broń natowską jest kwestią czasu. W grudniu gen. Walerij Załużny, głównodowodzący armii ukraińskiej, stwierdził, że jej minimalne potrzeby to 300 czołgów i 600-700 bojowych wozów pancernej piechoty.

Wydaje się, że na Zachodzie rośnie świadomość, iż bez nowych dostaw Ukraina będzie miała problem z obronieniem się. Kluczowe są czołgi, których po 24 lutego 2022 r. Ukraińcy otrzymali ok. 500 sztuk, w tym co najmniej 300 od Polski. Spotkanie państw wspierających Ukrainę w Ramstein, w miniony piątek 20 stycznia, przyniosło ważne decyzje dotyczące dostaw nowej partii ciężkiego uzbrojenia m.in. ze Szwecji, Danii, Wielkiej Brytanii, Polski i państw bałtyckich. Jeśli nie liczyć deklaracji Brytyjczyków o przekazaniu 14 swoich challengerów, zabrakło jednak tego, co najbardziej potrzebne – czyli czołgów.

Protestujący przed Urzędem Kanclerskim domagają się, by Niemcy pozwoliły na wysłanie Ukrainie czołgów Leopard. Berlin, 20 stycznia 2023 r.

Od dłuższego czasu trwają dyskusje o przekazaniu Ukrainie niemieckich leopardów, które – poza Niemcami – posiada dwanaście państw. W połowie stycznia prezydent Andrzej Duda podczas wizyty we Lwowie zadeklarował, że Polska wysła kompanię swoich leopardów (mamy ich 249). Deklaracja ta była przełomowa, gdyż przełamała tabu. Dotychczas Ukraina nie dostała bowiem czołgów produkcji zachodniej, choć niektórzy ich posiadacze (m.in. Finlandia) sugerowali, że skłonni są oddać je Ukraincom, o ile powstanie odpowiednia koalicja krajów również do tego gotowych. Polskie stanowisko stało się punktem zwrotnym w jej tworzeniu. Zobowiązania kontraktowe oznaczają jednak, że państwo-właściciel danego sprzętu potrzebuje zgody państwa-producenta na jego dalsze przekazanie. W tym wypadku niezbędna jest aproba Berlina. I tu pojawił się problem.

Wbrew oczekiwaniom, nowy niemiecki minister obrony Boris Pistorius nie przywiózł na spotkanie w Ramstein zgody. Mediom powiedział za to, że istnieją dobre powody dla dostaw leopardów na Ukrainę oraz dobre powody... przeciw takiej decyzji. Wyjaśnijmy na wszelki wypadek, że nie chodzi tylko o brak zgody Berlina na dostawę jakiegś części własnych leopardów, ale również brak zgody wobec ich przekazania z zasobów takich państw jak Polska czy Finlandia.

Postawa Niemiec wywołała napięcia wśród sojuszników, stając się kolejnym elementem podważającym zaufanie do Berlina, zwłaszcza wśród państw wschodniej flanki NATO. O szybką zmianę decyzji apelowali do Niemiec szefowie dyplomacji trzech krajów bałtyckich. Premier Mateusz Morawiecki stwierdził, że „naród ukraiński bije się o naszą wolność. (...) Nie będziemy patrzeć biernie, jak Ukraina się wykrwawia. Ukraina i Europa wygryją tę wojnę – z Niemcami czy bez”. Media niemieckie donoszą, że Waszyngton jest wściekły na Berlin. W samej niemieckiej stolicy widać rozdźwięk w rządzącej koalicji: o ile partie koalicyjne, Zieloni i liberałowie, opowiadają się za zgodą na przekazanie czołgów przez inne kraje, o tyle kanclerz jest przeciw, a to on decyduje. Z Kijowa płyną zaś sygnały, że taka postawa Scholza pociąga za sobą więcej ofiar po stronie ukraińskiej.

Pozostaje mieć nadzieję, że Berlin pod wpływem presji szybko otrzeźwieje i zda sobie sprawę, że wspierając Ukrainę, Zachód wspiera własne bezpieczeństwo. ©

Tekst ukończono 23 stycznia rano.

KPO w czasach niepewności



KAROLINA WIGURA

W SWOJEJ NAJNOWSZEJ KSIĄŻCE „Demokracja rządzi” Jan-Werner Müller przekonuje, że triadę „wolność, równość, braterstwo” zastąpiła dziś inna: „wolność, równość, niepewność”. Stawką polityki w dzisiejszych czasach jest więc łagodzenie poczucia niepewności, niwelowanie lęku, generowanego przez wielość kryzysów, których codziennie doświadczamy. Inflacja, wojna, pandemia, wzrastające ceny energii, skrajnie szybko zmieniający się świat – to tylko kilka przykładów niepokojących nas zjawisk.

Dokładnie na tej zasadzie wybory parlamentarne w 2023 r. w Polsce wygrało ugrupowanie, któremu udało się przekonać Polaków, że gwarantuje nie tyle większe bezpieczeństwo, co mniejszą niepewność. Z tego punktu widzenia należy rozpatrywać obecne spory zarówno po stronie rządowej, jak i opozycyjnej, również spór o KPO.

Opozycja w ostatnich latach budowała swój wizerunek na obronie polskiej praworządności. Kwestię tę w demokratycznym państwie trudno przecenić. Jednak wobec nagromadzenia kryzysów istnieje możliwość, że będzie ona w dyskusji publicznej – i pewnie w oczach Polek i Polaków – schodzić na drugi plan.

Skoro tak, to Szymon Hołownia może mieć rację, że należy o praworządność walczyć. Choć nie jest wykluczone, że spór na opozycji wygra Donald Tusk, wedle którego teraz należy zabezpieczyć pieniądze z KPO, a trzecią władzę reformować póź-

niej. Takie założenie buduje wizję mniej-
szej niestabilności.

Dla Zjednoczonej Prawicy kwestia KPO jest oczywiście ważna, bo gdyby udało się pozyskać pieniądze, byłby to jeszcze jeden powód do argumentowania, że to rząd zapewnia Polakom stabilność. Rząd jednak, wbrew wszystkim napięciom, jest w mniejszym kłopotcie. Dlaczego? KPO to góra pieniędzy – ale dość abstrakcyjna. Góra pieniędzy nigdy jeszcze nie wpłynęła nikomu na konto, jak 500 plus. W wyborczej rozgrywce, z punktu widzenia rządu, ważniejsze jest zatem być może wykonywanie ruchów w kierunku zagwarantowania KPO niż realizacja tego celu przed jesienią.

Choć z temperatury debaty publicznej w naszym kraju można byłoby sądzić inaczej, nikt nie wynalazł jeszcze magicznej formuły na populistów. Wystarczy spojrzeć, co dzieje się poza Polską, aby się o tym przekonać. Na Węgrzech demokratyczna opozycja przegrała z kretelem, mimo że stworzyła własną listę. We Włoszech populisci, z Giorgiā Meloni na czele, wygrali wobec skłócenia sił antypopulistycznych. Dania ocaliła swój umiarkowany rząd, ale za cenę wprowadzenia ostrej polityki imigracyjnej. W Szwecji po raz pierwszy w historii utworzono rząd, który nie może funkcjonować bez poparcia populistów.

Wszystkie te przypadki łączy jedno: pragnienie utrzymania choćby resztek *status quo*. Warto zdawać sobie z tego sprawę, bo stabilność i wolność nie zawsze idą w parze. ©P

Donald Tusk i Szymon Hołownia w Senacie. Warszawa, 3 czerwca 2022 r.



PIOTR MOŁĘCKI / EAST NEWS

KRAJ W SKRÓCIE

NA ZJEŹDZIE

Szymon Hołownia został przewodniczącym partii Polska 2050 Szymona Hołowni, a Włodzimierz Czarzasty kandydatem na szefa sztabu wyborczego Nowej Lewicy – wygląda na to, że oba ugrupowania w wyborach wystartują oddzielnie, choć deklarują chęć tworzenia po wyborach wspólnego rządu z Koalicją Obywatelską. „Szczując partnerów i ich decyzje wzywam wszystkich pragnących zmiany i wierzących w zwycięstwo: chodźmy razem!” – napisał na Twitterze Donald Tusk.

NA WYBORY

Wedle doniesień Wirtualnej Polski ludzie związani ze spółkami Skarbu Państwa w ostatnich tygodniach wpłacili na konto PiS ponad 300 tys. zł. Wcześniej Onet wyliczał, że partia zebrała z podobnych wpłat ponad milion.

NA STRZELNICY

Minister Zbigniew Ziobro tymczasem, ponieważ w ślad za premierem Mateuszem Morawieckim, pozował do zdjęć na strzelnicy Służby Więziennej. „Wolność zależy od naszej gotowości i sprawności” – tak Ministerstwo Sprawiedliwości podpisało zdjęcia swojego zwierzchnika w mediach społecznościowych.

NA MORZU

Wątpliwości na temat gotowości i sprawności polskich służb można mieć po tym, jak w pobliżu infrastruktury krytycznej – portu gdańskiego i Rafinerii Gdańskiej – dryfowali „hiszpańscy” nurkowie podający się za poszukiwaczy bursztynu. Rzecznik ministra koordynatora służb zapewnia jednak, że posiadają one „pełną wiedzę dotyczącą tych osób i okoliczności opisywanych w mediach zdarzeń”.



MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ożywić pustkę placu Defilad

Z PRZYSZŁEJ SIEDZIBY Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie zdjęto rusztowania i choć sama placówka nie zacznie działać jeszcze przez ponad rok, to już można oswajać się z widokiem nowej bryły i docenić fakt, że ulica Marszałkowska – dotąd arteria służąca tylko samochodom – na krótkim odcinku dostaje wreszcie drugą pierzeję.

Krytycy nowego budynku zarzucają mu lichy materiał, nadmierną prostotę form oraz niepodejmowanie „dialogu” z Pałacem Kultury. Z historii XX-wiecznego modernizmu pamiętamy, że tego typu surowe elewacje potrafią brzydko się zestarzeć, ale nie wiemy, jak się zachowa za np. 20 lat beton użyty przez pracownię Thomasa Phifera. Zarzut ubóstwa formalnego wiąże się z pytaniem, czy dałoby się wyobrazić inny, na tyle ekspresyjny czy nawet szalony obiekt, że mógłby

zadziałać jako kontrpunkt dla Pałacu. Architekt wolał jednak dialogować z domami towarowymi Centrum, przez co ożywił ulicę i wprowadził pierwsze ślady ładu w amorficznej pustce zwanej placem Defilad. To plac, a nie Pałac, jest prawdziwym dramatem urbanistycznym tej części centrum. Budynek MSN może wypełnić go czytelną formą, a przede wszystkim użytecznością, na jaką zasługuje tak centralnie położona działka.

Dlatego z głębszą oceną, czy obiekt się udał i jest dobry dla miasta, trzeba poczekać, aż instytucja zacznie działać pod nowym adresem. Jak i czym będą zachęcać ludzi z ulicy przescholone przestrzenie, do których wchodzić się będzie przez głęboko podcięte podcienia? Nie kształty, formy i gusty powinny stać się przedmiotem namysłu, lecz społeczny konkretny przeżywany z perspektywy przechodnia. A to, w jakim stopniu fizyczna struktura przygotowana przez Thomasa Phifera posłuży publicznej funkcji, dopiero się okaże. ©P PAWEŁ BRAVO

Mądry jak Orlen po szkodziu

JEŚLI KTOŚ miał nadzieję, że z grudniowej wizerunkowej wpadki z zawyżaniem marż na paliwie PKN Orlen i jego państwowy właściciel wyciągną wnioski – może przestać się łudzić. Należący do paliwowego giganta PGNiG, największy detaliczny sprzedawca gazu w Polsce, właśnie obniżył ceny gazu dla firm. Robi to jednak w stylu żywo przypominającym zeszłoroczną grę ceną benzyny.

Od 18 stycznia do 31 marca małe i średnie firmy zapłacą 645 zamiast 794 zł za megawatogodzinę netto – czyli o 19 proc. mniej. Dobra wiadomość? I tak, i nie. Od 1 stycznia nie działa bowiem tarcza antyinflacyjna i do kosztów

zakupu należy znów doliczyć 23 proc. VAT. W ten sposób cena brutto błękitnego paliwa wraca do poziomu... z grudnia ub.r., kiedy gaz dla małych i średnich firm kosztował również 794 zł za megawatogodzinę, ale bez VAT. Przedsiębiorcy mogą oczywiście odliczyć ten podatek, ale w przypadku paliw jest to trudniejsze niż przy zakupie innych produktów.

Obniżka ma pomóc małym i średnim firmom, które gwałtowny skok cen energii pozbawia rentowności. Sądząc choćby po tym, co dzieje się na światowych rynkach energetycznych, rząd mógłby jednak pomagać bardziej. Na holenderskiej giełdzie TTF cena za tysiąc metrów sześciennych gazu w kontraktach terminowych w ciągu zaledwie miesiąca spadła o prawie 50 proc. Odwrotną dynamikę widać za to w wynikach PGNiG, które w pierwszych dwóch kwartałach ub.r. zarobiło o 100 proc. więcej niż rok wcześniej. ©P MR

Włoska mafia zmienia metody i ludzi

OSTATNI Z WIELKIEJ TRÓJKI sycylijskich bossów, współtwórca strategii „otwartej walki z państwem”, Matteo Messina Denaro, został aresztowany po 30 latach poszukiwań. Odpowiadał za wiele zabójstw, w tym najgłośniejsze: zamachy na sędziów Giovanniego Falcone i Paola Borsellino oraz porwanie 12-letniego Giuseppego Di Matteo, syna „skruszonego” mafiosa (chłopiec był więziony przez 2,5 roku, po czym zamordowany, a ciało rozpuszczono w kwasie solnym).

Sukces świętują antymafijne służby, zjeżdżający do Palermo politycy i wiwatujący na ulicach mieszkańcy. Choć wiadomo, że bez pomocy ich wszystkich – skrupupowanych polityków, wysługujących się mafii agentów oraz złączonych z nią więziami krwi lub interesów mieszkańców – zbrodniarz nie byłby w stanie się ukrywać. W ciągu 30 lat ponad sto osób z jego otoczenia trafiło do więzie-

nia, ale nikt nie zdradził kryjówki bossa, który zresztą nie niepokojony chodził na mecze ulubionego klubu, wyjeżdżał za granicę i spotykał się z głowami innych mafijnych rodzin.

„*Tantu siccu, tantu saccu*” – mówi sycylijskie przysłowie (jego sens najlepiej oddaje nasze: „raz na wozie, raz pod wozem”). Wpadka, aresztowanie, a nawet śmierć są wkalkulowane w mafijne rzemiosło. Wiedział o tym Denaro, pseudonim „U’ Siccu” (Suchy) i z pewnością ma już następcę. Trudno zresztą nie zauważyć, że został zatrzymany nie wtedy, gdy mafia z ukrycia rządziła, ale gdy schorowany poddał się radioterapii w klinice onkologicznej. Co może oznaczać, że wcale nie został wydany, lecz wydał się sam, dobijając targu z wymiarem sprawiedliwości.

Za jego rządów mafia zmieniła strategię: nie podkłada już bomb (co nie znaczy, że nie zabija), prowadzi na pozór legalne interesy, inwestuje w paliwo, energetykę, znane marki odzieżowe. Do nowego rozdziału potrzebuje nowych ludzi i nowych kontaktów. © P EDWARD AUGUSTYN

Z Krakowa do Chersonia

ONE STĄD NIE WYJADA. Nie mają dokąd. Zresztą jak uciekać w nieznane, gdy ma się, jak Ołena, dwie 20-letnie córki bliźniaczki, Daszę i Maszę, na wózkach? Ale, przede wszystkim, chyba tego nie chcą. Bo mimo zimna (nie działa ogrzewanie), braków prądu i gazu, konieczności zabiegania o jedzenie (nie działają sklepy; funkcjonują targowiska i nieliczne punkty rozdania pomocy), mimo ostrzałów (miasto leży na linii frontu, który biegnie wzdłuż rzeki Dniepr; rosyjska artyleria stoi na jego południowym brzegu) – mimo tego wszystkiego tu jednak są razem, mogą na siebie liczyć.

W kiedyś 300-tysięcznym Chersoniu, który w listopadzie został wyzwolony, żyje dziś kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Wśród nich oni: 96 dorosłych i dzieci, tworzących wspólnotę Centrum Sofia. Istniejąca od kilkunastu lat, skupia rodziny z niepełnosprawnymi dziećmi.



WOJCIECH PIĘCIAK

Porażki i zwycięstwa Jacindy Ardern

MARCIN ŻYŁA



NIGDY WCZEŚNIEJ politycy z Nowej Zelandii nie wzbudzali takiego zainteresowania – kiedy pod koniec 2017 r., w erze Trumpa i brexitu, premierką tego kraju została Jacinda Ardern, skupiła na sobie nadzieje progresyistów (termin stosowany w opozycji do „populistów”) całego Zachodu.

Gwiazda premier zawsze silniej świeciła za granicą, skąd wyraźniej widać osobowość polityka, słabiej – porażki w krajowej polityce. A tych było sporo: Ardern nie udało się uregulować horrendalnie wysokich cen mieszkań; mimo zapowiedzi „zielonej” polityki klimatycznej Nowa Zelandia emituje coraz więcej gazów cieplarnianych; wzrosło ubóstwo, zwłaszcza wśród najmłodszych obywateli. Fundamentalna zmiana, którą obiecywała dwukrotnie (także w 2020 r., po zdobyciu przez jej Partię Pracy większości w parlamencie), nie nadeszła. Dziś Ardern rezygnuje z władzy w najgorszym od lat momencie dla swojego ugrupowania. Poparcie dla partii spadło do ok. 30 proc. i jest mało prawdopodobne, aby Chris Hipkins, jej nowy lider i przyszły

premier, mógł poprowadzić centrolewicę do wygranej w jesiennych wyborach.

Jest też jednak inny, „miękki” wymiar polityki, w którym Ardern niemal wyłącznie wygrywała. Na serio wprowadziła do niej kategorię empatii i współczucia (gdy po masowych strzelaninach w meczach w Christchurch, w których zginęło 51 osób, solidaryzowała się z muzułmanami) oraz wspólnotowości. Bardzo restrykcyjne – i długo wyjątkowo skuteczne – prawo antycovidowe osłoniła „ludzkimi” przepisami (podczas lockdownu w Nowej Zelandii mandat groził nawet za wejście na trawnik sąsiada, równocześnie do izolowanych „ognisk domowych” dopuszczano osoby samotne i wykluczone). Jej coponiedziałkowe, transmitowane na Facebooku konferencje prasowe były wciąż konferencjami, spotkaniami z ludźmi – w kontraście do dominującego wśród polityków trendu wygłaszania oświadczeń, ona odpowiadała na pytania.

Można powiedzieć: to drobiazgi, gesty – ostatnio jednak w polityce wyjątkowo rzadkie. © P

– Dziękujemy, że do nas dotarliście. Wy, Polacy, jesteście nam dziś najbliżsi – mówi Olga Cylanko, która kieruje Centrum.

Przyjechaliśmy, aby tym ludziom przekazać kilkaset kilogramów różnych rzeczy dla przetrwania, podarowanych przez czytelników, pracowników i przyjaciół „Tygodnika”. Były to m.in. śpiwory, ciepła odzież, kuchenki z butlami gazowymi, żywność. A także agregat prądowładczy dla ich siedziby, kilku pokoi w Centrum, która służy dziś za wspólną kuchnię i za dom dla tych, którzy nie mają już swojego. Jak Katia i jej Timur (na zdjęciu): po tym, kiedy stracili wszystko, zamieszkali w Centrum Sofii, w Zaułku Pugaczewa.

Ten wyjazd – prowadzący przez Chersoń, Dnipro (tu przekazaliśmy medyczne zasoby dla szpitali polowych) i potem obwód doniecki – był naszą szóstą wyprawą z pomocą humanitarną zebraną podczas akcji „Tygodnika”.

© P WOJCIECH PIĘCIAK z Chersonia

Małżeństwo po staremu

MAGDALENA ŁANUSZKA



KOŚCIÓŁ ANGLII PRZEPROSIL ZA DYSKRYMINACJĘ osób LGBTQI+, która miała miejsce w przeszłości, deklarując, że jakiegokolwiek zachowanie homofobiczne, jak również wykluczanie kogokolwiek ze względu na orientację seksualną jest w Kościele niedopuszczalne. Jednocześnie jednak w propozycji do przyjęcia przez zbliżający się Synod Generalny znalazło się stwierdzenie, że nadal nie będą możliwe kościelne śluby dla osób tej samej płci. Zamiast tego Kościół Anglii zaproponował możliwość – wedle uznania kapłanów – udzielenia błogosławieństwa parom homoseksualnym.

Zwierzchnik światowej wspólnoty anglikańskiej arcybiskup Canterbury Justin Welby oświadczył, że zdaje sobie sprawę, iż takie rozwiązanie dla części osób będzie zbyt daleko idące, dla innych zaś zupełnie niewystarczające. Wyrzcił przy tym nadzieję, że mimo wszystko ten kompromis zostanie przyjęty ze zrozumieniem, w duchu poszukiwania wspólnego dobra. Biskup sufragan Diecezji Europejskiej David Hamid w liście opublikowanym 20 stycznia podkreślił znaczenie przeprosin wobec osób LGBTQI+ (nazywając je zresztą znacznie spóźnionymi), jako wyrażonych przez wszystkich biskupów oraz w imieniu całego Kościoła. Wyjaśnił także, że decyzja o całkowitej zmianie doktryny Świętego Małżeństwa (jako związku mężczyzny i kobiety), jakkolwiek – jak to ujął: „oczekiwana przez wielu z nas” – wymagałaby 2/3 głosów każdej z izb na Synodzie Generalnym, co aktualnie wydaje się nieosiągalne. Złożenie przez biskupów propozycji, która zostałaby przez Synod odrzucona, poskutkowałoby zapewne rozłamami w Kościele; proponowany kompromis jest zatem bezpieczniejszą opcją, która zostanie przez Synod przyjęta.

Kościół Anglii to najstarszy, ale nie jedynie z Kościołów anglikańskich; anglikańskie Kościoły Episkopalne w Stanach Zjednoczonych czy w Szkocji już kilka lat temu zaakceptowały możliwość udzielania ślubów parom jedнопłciowym. Trzeba też pamiętać, że jakkolwiek księża w Kościele Anglii uznają autorytet biskupa, to wiele aspektów i decyzji może podlegać jedynie ich własnemu sumieniu. Tak też będzie w przypadku błogosławieństw udzielanych parom homoseksualnym; niektórzy kapłani będą ich udzielać, a inni nie, w zależności od swych własnych poglądów.

©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KOŚCIÓŁ OTWARTY

„W waszych domach i parafiach rozbrzmiewają jeszcze tradycyjnie kołеды, trwają wizyty duszpasterskie. Niech te wydarzenia pomogą wam być Kościołem otwartym, wychodzącym do tych, którzy nie uczestniczą już w życiu parafialnym” – zwrócił się do Polaków Franciszek podczas audycji ogólnej.

REKOLEKCJE

W tym roku rekolekcje wielkopostne dla urzędników Kurii Rzymskiej będą bez rekolekcyjisty. Papież zaprosił swoich współpracowników „do przeżycia w sposób osobisty okresu rekolekcji, zawieszając swoje zajęcia zawodowe i oddając się modlitwie” w pierwszym tygodniu Wielkiego Postu.

PRZEŚLADOWANIA

Według najnowszego raportu organizacji Open Doors prześladowania chrześcijan osiągnęły najwyższy poziom od trzech dekad. Aż 360 milionów chrześcijan dotyka przemoc z powodu religii.

LEGIA HONOROWA

26 stycznia ambasador Francji w Polsce wręczy insygnia Kawalera Legii Honorowej s. Marii Krystynie Rottenberg, wieloletniej kierownicze Ośrodka Ekumenicznego im. Jana XXIII „Joannicum”. Franciszkanka służebnica Krzyża z Lasek została doceniona przez prezydenta Francji za wkład w dialog kultur.



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Zranieni nie pomodlą się przy mozaikach o. Rupnika

CZY OSOBY skrzywdzone wykorzystaniem seksualnym będą czuły się tu bezpiecznie? Czy nie będzie to dla nich bolesne i gorszące? – zastanawiali się świeccy zaangażowani w krakowską inicjatywę Modlitwa za Zranionych. W ramach tej grupy od 2019 r. w Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie raz w miesiącu trwa godzinna adoracja Najświętszego Sakramentu, dwa razy w roku odbywają się modlitwy, a po nich otwarte spotkania z osobami wspierającymi zranionych w sferze seksualnej. Problemem stały się mozaiki, którymi udekorowany jest górny kościół sanktuarium, od kiedy wyszło na jaw, że ich twórca – słoweński jezuita o. Marko Rupnik – wykorzystywał seksualnie zakonnic, których był spowiednikiem i kierownikiem duchowym.

Pytane o to osoby skrzywdzone podkreśliły, że czują się w sanktuarium bezpiecznie. Ostatecznie zdecydowano, by przenieść adoracje z kościoła z mozaikami na dół do kaplicy Najświętszego Serca Pana Jezusa. „Mamy świadomość, że postrzeganie modlitwy w tym miejscu może być bardzo różne, szczególnie dla osób zranionych, które mocno przeżywają swoją traumę wykorzystania seksualnego” – napisali uczestnicy inicjatywy. Ale chcą, by to sprawcy wykorzystania i ci, którzy ich popierali, dokonywali zmian w swoim myśleniu i postępowaniu, a nie osoby skrzywdzone.

© P ASK

Kogo słucha papież

RAZ W MIESIĄCU przekazuję do Watykanu listę jeńców wojennych. Nie wiem, jakie są efekty, ale mogę zaświadczyć, że papież osobiście jest zaangażowany w ich uwalnianie” – powiedział abp Światosław Szewczuk w wywiadzie dla „Ukraińskiej Prawdy”.

Zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego w Ukrainie opowiada też o zmianie stanowiska papieża wobec wojny: od niezrozumienia i prób „przymuszania do pojednania” (których nie waha się porównać do rosyjskiego narzucania pokoju siłą), aż po listopadowy „List do narodu ukraińskiego”, czytany we wszystkich greckokatolickich parafiach.

Szewczuk zauważa, że wpływy Rosji w Stolicy Apostolskiej były duże („od początku wojny w Donbasie Watykan został zbombardowany rosyjskimi inicjatywami kulturalnymi”). Dlatego tak ważne jest stałe i konsekwentne informowanie papieża o rzeczywistej sytuacji w Ukrainie. Choć, jak przyznaje, Franciszek „nie lubi się wiązać z żadnym kanałem informacji” i nigdy nie wiadomo, kogo ostatecznie posłucha.

© P EA

KULTURA W SKRÓCIE

PROZA

Amerykańskie wydanie „Rejwachu” Mikołaja Grynberga (tłum. Sean Gasper Bye) trafiło do finałowej trójki National Jewish Book Awards. Przyznawaną od 1950 r. nagrodę uważa się za jedno z najbardziej prestiżowych wyróżnień literackich w USA. Na liście dotychczasowych laureatów są m.in. Philip Roth, Isaac Bashevis Singer, Saul Bellow, Amos Oz i Etgar Keret.

KLASYKA

Na liście laureatów International Classical Music Awards znaleźli się w tym roku organista Karol Mossakowski i Narodowe Forum Muzyki – Filharmonia Wrocławska. Uroczystość wręczenia nagród po raz trzeci w historii konkursu odbędzie się w Polsce, tym razem we Wrocławiu.

DOKUMENT

Wśród dokumentów zakwalifikowanych do Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie jest „W Ukrainie” Piotra Pawlusa i Tomasza Wolskiego, pokazujący życie w zbombardowanych przez Rosjan miastach i spalonych wioskach. Pokaz w sekcji Forum będzie światową premierą polskiego filmu.

PAMIĘĆ

Koncerty, spektakle i spotkania autorskie składają się na program organizowanych w Łodzi 13. Dni Pamięci. Od 27 do 30 stycznia kulturę i historię polskich Żydów przybliżyć będą Teatr im. Jaracza, Centrum Dialogu im. Edelmanna oraz Muzea: Tradycji Niepodległościowych i Miasta Łodzi.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



AARON CHOWN / PA / PAP

KAŻDY SPLIT NICI I LIN – to tytuł londyńskiej wystawy monumentalnych abakanów, tkanych rzeźb Magdaleny Abakanowicz. Kuratorzy wystawy, prezentując prace artystki z okresu od lat 50. do końca 80., podkreślili jej inspiracje wypytywające z natury. Cała wystawa zdaje się być podróżą w głąb ludzkiego ciała. Artystka pozwala zajrzeć nam w jego szczeliny, przejścia między materią, stworzoną z tytułowej płataniny nici i lin. Jest to pierwsza w Wielkiej Brytanii prezentacja prac Abakanowicz. Ranga i prestiż galerii Tate Modern potwierdza miejsce artystki wśród najwybitniejszych przedstawicieli sztuki nowoczesnej. Wystawa potrwa do 21 maja 2023 r. Potem odwiedzi Lozannę oraz Høvikodden w Norwegii. ©© JT

Tak się to robi

GDYBY ŚWINIA próbowała stracić pokrywkę nosem, to nie udało by się jej odkryć zawartości skrzyni – pokrywka umieszczona była na szynie, więc mogła poruszać się tylko w dwóch kierunkach. W dodatku po obu stronach znajdowały się zatyczki, które uniemożliwiały jej przesunięcie. Zwierzęta miały jednak szansę obserwować, jak niewidzialna siła (tj. żyłka, za którą pociągali badacze) najpierw ciągnie za przyczepioną do zatyczki linę, a później przesuwając pokrywkę. Po takiej prezentacji części świnii już za pierwszym podejściem udało się dostać do znajdującego się w skrzynce jedzenia. Radziły sobie z zadaniem nawet nieco lepiej niż osobniki, które obserwowały inne świnie lub ludzi wydobywających jedzenie z tej samej skrytki.

Eksperyment Ariane Veit i współpracowników, którego wyniki opisane zostały w „Animal Cognition”, dowodzi, że świnie potrafią się uczyć przez emulację – specyficzny rodzaj naśladowania, w którym osobnik próbuje odtworzyć ten sam, zaobserwowany efekt. Gdyby się okazało, że umieją także imitować – a więc precyzyjnie naśladować sekwencję posunięć prowadzącą do jakiegoś efektu – to można by przypuszczać, że są zdolne do stworzenia własnych tradycji kulturowych. To jednak wymagałoby silniejszego wyczulenia na partnerów społecznych. © KATARZYNA DZIADOWICZ

Neolityczna wieś była pełna przemocy

PIERWSZYMI ROLNIKAMI byli ok. 10-12 tys. lat temu mieszkańcy Bliskiego Wschodu, którzy w ciągu kilku tysięcy lat zanieśli swój wynalazek – i nowy sposób życia – w różne zakątki Europy i Azji. Nie było to życie sielankowe. Pod wieloma względami rolnicy mieli się gorzej niż współwystępujący z nimi łowcy-zbieracze. Częściej chorowali i musieli dłużej pracować, jednak zapasy żywności, które potrafili zgromadzić, pozwalały im utrzymywać duże rodziny i sukcesywnie zwiększać ich liczebność.

Był to sukces okupiony nie tylko potem – ale i krwią. Linda Fibiger i współpracownicy opublikowali w „PNAS” wyniki obszernej analizy szkieletów i czaszek pierwszych rolników z Europy północno-zachodniej (żyjących od 4 do 8 tys. lat temu). Aż 10 proc. ponad 2 tys. szczątków znalezionych w 180 miejscach nosiło ślady przemocy. Większość miała roztrzaskane kamiennymi narzędziami czaszki, niektórzy zginęli od strzał z łuku.

Z reguły nie były to masowe groby, które byłyby świadectwem większych bitew. Lokalne napięcia, właśnie i zabójstwa były raczej przykrą codziennością tych ludzi. Wzrost przemocy zapewne miał zaś związek z tym, że za sprawą rolnictwa i hodowli pojawiły się nierówności oraz zasoby, o które warto było walczyć. © PŁK



PIOTR SKÓRNICKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

KOŚCIÓŁ NIERÓWNOŚCI

Gdy mowa o pieniądzach, jedna owczarnia nie istnieje.
Prawda rozciąga się między bogactwem największych diecezji
a wstydliwie skrywaną kondycją najbiedniejszych parafii.

MAREK RABIJ



Składka podczas mszy plenerowej. Poznań, 2015 r.

JAKIM MAJĄTKIEM DYSPONUJE W POLSCE Kościół katolicki? W przestrzeni publicznej to pytanie pada od 1989 r. – i od ponad trzech dekad hierarchowie reagują na nie milczeniem, oburzeniem lub zdawkowymi komentarzami. A bez ich udziału każda próba rzetelnego zinventaryzowania kościelnych aktywów i pasywów jest skazana na porażkę.

Co oczywiście nie znaczy, że nikt nie próbuje. Stowarzyszenie Neutrum, zrzeszające zwolenników świec-

kiego państwa, na podstawie dostępnych publicznie informacji szacuje np., że Kościół w Polsce jest posiadaczem 24 tys. obiektów wpisanych do rejestru zabytków, 17,5 tys. kościołów i kaplic, ok. 200 tys. ha gruntów, 300 gazet i czasopism, niemal 50 rozgłośni radiowych oraz Telewizji Trwam. Sami autorzy, nie kryjący krytycznego stosunku do obecności Kościoła w życiu publicznym, zastrzegają jednak, że uważają te obliczenia za niekompletne, bo nie uwzględniają

choćby tego, na ile efektywnie zarządza się tym majątkiem.

Dopóki więc biskupi sami nie zechcą zdjąć klauzuli tajności z finansów instytucji, której przewodzą, dopóty kolejne raporty na temat trzeba traktować w najlepszym razie jako przyczynek do dyskusji. Chociaż po rozmowach, jakie przeprowadziliśmy na potrzeby tego raportu, bardziej zasadne wydaje się pytanie: czy Kościół w Polsce sam wie, jakim majątkiem dysponuje?

Dzielić i rządzić

Pod koniec września ubiegłego roku małopolscy proboszczowie otrzymali dekret metropolity krakowskiego Marka Jędraszewskiego „w sprawie nałożenia podatku w celu pokrycia potrzeb diecezjalnych”. Z dniem 1 października, a więc w trybie natychmiastowym, arcybiskup zobowiązał podległe mu parafie do wpłaty 10 proc. przychodów z prowadzonej przez nie działalności gospodarczej. Daniną objęto też przychody „od podmiotów, które uzyskały prawo używania i/lub pobierania pożytków z nieruchomości” będącej własnością lub przedmiotem wieczystego użytkowania archidiecezji krakowskiej. Płatne do dwudziestego każdego miesiąca. Przelewem lub gotówką w kasie kurii.

Dekret przewiduje tylko trzy wyjątki od tej reguły. Zwolnione z podatku są przychody z najmu nieruchomości na cele mieszkaniowe osób duchownych oraz dzierżawa ziemi prowadzona „w zamian za refundację podatku rolnego”. W przypadku sprzedaży parafialnych nieruchomości podtrzymuje się z kolei decyzję kurii z maja 2005 r., która obciążyła takie transakcje aż 30-proc. podatkiem.

Spisany prawniczym językiem dekret nie zostawia miejsca na interpretację, a tym bardziej na kreatywną księgowość. Kuria oczekuje 10 proc. od przychodów, a nie – jak w przypadku podatków państwowych – od dochodu pomniejszonego o koszty uzyskania, którymi można przecieć manipulować. Cel również zdaje się nie budzić wątpliwości. Chodzi o „m.in. wspieranie wspólnot parafialnych w trudnej sytuacji finansowej”.

A jednak część duchownych przyjęła tę decyzję z oburzeniem. „Dziesięcina wraca” – pisał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Jego zdaniem nowy podatek narzucano klerowi bez szerszych konsultacji. ➔

PARAFIA BOGATA

liczba parafian ogółem **8700**

† = 10



przedmieścia
Warszawy



liczba księży **3**

dzierżawa
wieży pod
nadajnik BTS
600 zł

dom pielgrzyma
5000 zł

prawa stuy
7500 zł

pensja
katechety (2 księży)
9000 zł

z tacy
40 000 zł

**dochód
parafii
na księdza**
12 333 zł

samochody
1200 zł

prąd
2500 zł

utrzymanie
budynków
3500 zł

organista
4500 zł

ogrzewanie
13 400 zł

dochód parafii 37 000 zł

przychody ogółem* 62 100 zł

koszty ogółem* 25 100 zł

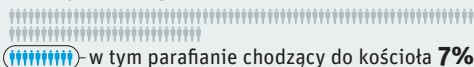
PARAFIA BIEDNA

liczba parafian ogółem **1400**

† = 10



Zachodnio-
pomorskie



liczba księży **1**

dzierżawa
wieży pod
nadajnik BTS
480 zł

prawa stuy
700 zł

dzierżawa
ziemi
830 zł

z tacy
2200 zł

pensja (1/2 etatu)
kapelana w DPS
2500 zł

**dochód
parafii
na księdza**
2110 zł

samochód
500 zł

organista
500 zł

prąd
800 zł

ogrzewanie
2800 zł

przychody ogółem* 6710 zł

koszty ogółem* 4600 zł

*UŚRĘDNIONE MIESIĘCZNE PRZYCHODY I WYDATKI

→ Inni księża zwracali uwagę na dopisek, że danina ma „między innymi” wspierać najbiedniejsze parafie – może zatem *de facto* służyć dowolnym celom.

– Jej wysokość ustalono po dyskusji z Radą Kapłańską, Radą Ekonomiczną i Radą Duszpasterską, stanowi też nawiązanie do znanej z Pisma Świętego dziesięciny. Uznaliśmy, że to sprawiedliwe rozwiązanie, wprowadzone dekretem na stałe – ucina rzecznik kurii ks. Łukasz Michalczewski. A przy okazji zaznacza, że idea funduszu solidarnościowego w diecezji narodziła się jeszcze w 2019 r., wcielenie jej w życie opóźniła jednak pandemia.

– Tak, też zwróciłem uwagę na to „między innymi”. Moim zdaniem to czepianie się słów – macha ręką jeden z małopolskich proboszczów. – Najgłośniejsi protestują ci, którzy mają się czym dzielić. Mnie podatek wyniesie ok. 160 zł miesięcznie, ale wiem, że w centrum Krakowa są parafie, które z samego najmu nieruchomości mają po kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie. Inna sprawa, że kuria też biedna nie jest – śmieje się proboszcz. – I że arcybiskup zyskał jeszcze jedno narzędzie do egzekwowania posłuszeństwa i rozgrywania kapłanów. A przy okazji sprawdzi, jakim majątkiem naprawdę dysponują parafie.

Bilans dekretu, zdaniem duchownego, może się jednak okazać dodatni, bo po raz pierwszy ustami ważnego hierarchy polski Kościół przyznaje, że ma problem z nierównościami dochodowymi.

– Nie wiem jak na Franciszkańskiej, ale ja na plebanii z rana chodzę w czapce. Żeby porządnie ogrzać kościół i mieszkanie, potrzebuję rocznie 18 ton węgla, a stać mnie na zakup może 12. Od jesieni w świątyni grzejemy tylko tyle, żeby wilgoć nie wlaża w ściany. A przecież nie poproszę biskupa o pieniądze ani nie pojadę do sąsiedniej parafii po pożyczkę.

Dlaczego nie? Zaskoczony tym pytaniem duchowny długo szuka w myślach odpowiedzi.

– Wie pan – odzywa się w końcu – w Kościele mówi się, że nie ma ubogich parafii. Są tylko nieudolni proboszczowie.

Ksiądz się wyżywi

Archidiecezja krakowska należy w polskim Kościele do najsilniejszych. W niedzielnej mszy systematycznie uczestniczy tu 38,5 proc. parafian, wyższą

frekwencją cieszą się tylko diecezje tarnowska, rzeszowska i przemyska. Wierni nie żałują pieniędzy na tacę, kwitnie ruch pielgrzymkowy. W majątkowej koronie jest też wiele pereł, wśród nich parafia bazyliki Miackiej, posiadająca kilka kamienic w ścisłym centrum Krakowa oraz nieruchomości w innych częściach miasta, zarządzająca także położonym tuż przy Rynku hotelem Wit Stwosza. Parafia kupiła nawet od PKP były ośrodek kolonijny w Zembrzycach, który przerobiła na pensjonat rekolekcyjny. A w 2007 r., na mocy decyzji słynnej Komisji Majątkowej, ministerstwo finansów wypłaciło jej 18 mln zł odszkodowania za utracone mienie.

To przykład znany i często przywoływany przez krytyków Kościoła, ale podobnych „Kuwejtów” – jak z przekąsem mówią księża o najbogatszych parafiach – nie brak też w diecezji poznańskiej, katowickiej, warszawskiej i gdańskiej.

Jest to jednak zaledwie fragment opowieści o kondycji finansowej polskiego Kościoła. Na drugim biegunie tradycyjnie pozostaje Zachodniopomorskie z dużą liczbą małych parafii i poniemieckimi kościołami, których remonty pochłaniają krocie. Koniec z końcem z trudem wiąże też wielu duchownych pracujących w Lubuskiem, Łódzkiem czy na Kujawach. Małym wiejskim miejscowościom z szybko starzejącą się populacją coraz trudniej utrzymać tu kościelne struktury.

– Kolega z seminarium pytał mnie ostatnio, dokąd jadę na wakacje – uśmiecha się ksiądz Paweł, proboszcz wiejskiej parafii w centralnej Polsce. – Odpowiedziałem, że się nad tym nie zastanawiałem i nawet nie skłamałem. Wiem, że nigdzie nie pojedę. Nie będzie za co.

Kiedy ks. Paweł obejmował probostwo, parafia liczyła niemal 3 tysiące wiernych. 17 lat później mieszka w niej 2,2 tys. osób. Do kościoła chodzi może co trzecia.

– Stanu naszych finansów nie zdradzę, bo nie wypada. Nawet anonimowo – przestrzega duchowny. – Chcę za to powiedzieć, że tolerowanie przez przełożonych postępującej materialnej degradacji duchowieństwa na terenach wiejskich uważam za skandal. Skoro reprezentuję Kościół, powinienem mieć też odpowiedni fundusz reprezentacyjny, żeby raz na jakiś czas zabrać dzieciaki na pielgrzymkę albo przynajmniej do kina w mieście. Biskupi tymczasem uważają, że parafia ma

Z opowieści księży
wyłania się obraz parafii,
której finanse
coraz częściej udaje się
zbilansować jedynie
dzięki etatowi w szkole,
przedszkolu albo szpitalu.

się sama wyżywić. A że w jednej na kapłana przypada dziś po kilka tysięcy złotych czystego zysku, zaś w innej po opłaceniu kosztów zostaje tysiąc złotych na jedzenie? W logice biskupów to już problem konkretnej parafii, nie całego Kościoła.

– Mam wątpliwości, czy w kontekście finansów można w ogóle mówić o czymś takim jak Kościół w Polsce – komentuje Piotr Szeląg, były ksiądz archidiecezji gdańskiej. – Mamy do czynienia raczej ze zbiorem diecezji, z których każda stanowi udzielne księstwo, z odrębną kasą i rządzące się innymi prawami. W jednej księża mogą z polecenia ordynariusza dopłacać do kosztów wyżywienia i zamieszkania, a w innej będą to mieć za darmo. Jeden biskup może poważnie traktować soborowe dokumenty o udziale świeckich w prowadzeniu finansów parafii, a drugi za to samo może ukarać proboszcza przenosinami na gorszą placówkę. W jednej diecezji duchowni mogą liczyć na materialną pomoc kurii w nagłych wypadkach. W innej sama taka prośba zostanie uznana za dowód niezaradności. I wreszcie, jedna diecezja może cierpieć na nadmiar kapitału, podczas gdy jej sąsiadka może balansować na granicy wypłacalności. Oczywiście, są watykańskie wytyczne i dokumenty Episkopatu, które brzmią często trzeźwo i zawierają cenne wskazówki. Ale jeśli biskup nie ma ochoty się ich trzymać, nikt go do tego nie zmusi.

Wybory kopertowe

Tym, co łączy polski Kościół na każdym szczeblu, jest praktyka obrotu gotówkowego. Wierni zasilają gotówką parafię, która potem w gotówce rozlicza się z kontrahentami i świeckimi pracownikami, za gotówkę zaopatruje się w niezbędne

produkty i również najczęściej w gotówce przekazuje pieniądze na szczebel diecezji. Kościelny obyczaj nakazuje, aby po każdym wizycie biskupa w parafii, np. z okazji bierzmowania, wręczyć dostojnemu gościowi kopertę z pieniędzmi. W niektórych diecezjach o ruchach kadrowych między parafiami decydują właśnie takie „wybory kopertowe”. Szanse awansu na proboszcza dużej, zamożnej parafii mają tylko duchowni, którzy na innych placówkach dowiedli zdolności organizacyjnych, przedstawiając dowody w postaci grubych kopert (zdolności duszpasterskie mają drugorzędne znaczenie). A sam obrót gotówkowy, zwykle bez księgowania, sprzyja innym patologiom.

– W jednej z parafii mieliśmy księdza o imieniu Edward. Facet po pięćdziesiątce, do którego dotarło, że prawdopodobnie już nie doczeka się nominacji na proboszcza – wspomina jeden z naszych rozmówców pragnący zachować anonimowość. – Nazywaliśmy go „Edwardem Nożycorękiem”, bo kradł ofiary z tacy. Robił to zresztą z perwersyjną ostentacją. Kiedy mszę odprawiał proboszcz, Edward starał się tak prowadzić zbiórkę, żeby w trakcie podniesienia znaleźć się przed ołtarzem. Klękał wówczas na pierwszym stopniu twarzą do celebransa i, odwrócony plecami do wiernych, przekładał z tacy do rękawa banknoty o najwyższym nominale. Wierni nic nie widzieli, proboszcza za to szlag trafiał, ale przecież odprawiał mszę i nie mógł nic zrobić. A kiedy potem kazał zwrócić pieniądze, Edward spokojnie odpowiadał, że skoro proboszcz na co dzień okrada jego, to on będzie okradać proboszcza – śmieje się były duchowny.

Finansami każdej parafii włada właśnie proboszcz. Przy kluczowych decyzjach, takich jak sprzedaż kościelnej ziemi czy nieruchomości, musi oczywiście uzyskać akcept kurii (niekiedy nawet Watykanu), ale na co dzień ostatnie zdanie należy właśnie do niego. Kto i za ile wydzierzawi parafialne grunty orne? Czy na murze zawiesić baner reklamowy? Która firma dostanie kontrakt na naprawę dachu? Wszystko to leży w gestii proboszcza. Teoretycznie powinna go w tym wspierać i nadzorować rada ekonomiczna, ale w wielu parafiach takie ciała istnieją wyłącznie na papierze albo ograniczają aktywność do przyjmowania przez aklamację decyzji duchownego.

To do proboszcza należy również dystrybucja ofiar za intencje mszalne →

→ zamawiane przez wiernych. W większości parafii nadal obowiązuje zasada, że trafiają one do kieszeni odprawiającego kapłana. To relikw kościelnej tradycji, zgodnie z którą „co łaska” za intencję, ale też ślub czy chrzest, miała pokryć kapłanowi koszty dziennego utrzymania. Księgi parafialne prowadzi jednak proboszcz i jeśli za mszę zainkasuje np. 100 zł, ale do księgi wpisze 30 zł, ksiądz, któremu z grafika wypadnie jej odprawianie, dostanie tylko 30 zł.

Podobnie rzecz ma się z większymi ofiarami. Proboszcz powinien w całości wciągnąć każdą do rejestru kościelnych przychodów, a wówczas pieniądze staną się własnością parafii. Równie dobrze może jednak dojść do wniosku, że ofiara stanowiła rodzaj darowizny dla niego. Albo odnotować w księgach przyjęcie mniejszej kwoty.

– To działa oczywiście w drugą stronę, bo księża prędzej czy później zaczynają się orientować, że w parafii istnieje finansowy drugi obieg i rewanżują się przelozonemu – zaznacza były ksiądz. – Jeden z moich proboszczów ustawicznie narzekał na malejącą hojność parafian i nią tłumaczył też, dlaczego oddaje nam coraz mniej z intencji. A potem dowiedzieliśmy się, że w rodzinnej wsi zbudował sobie dom z identycznej cegły, jaką kupiono na rozbudowę naszego kościoła. Zaczęliśmy więc oddawać mu tylko część ofiar z kopert zbieranych po kołędzie. Wściekał się, ale odpowiadał mi, że faktycznie hojność parafian maleje.

Katecheza albo śmierć

Według stanu na 2021 r. w Polsce pracowało niemal 24 tys. księży diecezjalnych i ponad 8 tys. zakonnych. W klasztorach mieszkało także 16,3 tys. zakonnic i 2 tys. braci zakonnych bez święceń kapłańskich. To mięśnie Kościoła, które mają mu służyć do realizacji zadań duszpasterskich. Jakim budżetem dysponują? Dokładnych danych brak.

Z opowieści księży wyłania się jednak obraz parafii, której finanse coraz częściej udaje się zbilansować jedynie dzięki pieniądзом publicznym. Najczęściej – etatowi w instytucji państwowej czy samorządowej, jak szkoła, przedszkole albo szpital.

Spośród 40,2 tys. katechetów oraz 3827 nauczycieli etyki zatrudnionych w 2021 r. we wszystkich publicznych placówkach edukacyjnych, ponad



MONKPRESS / EAST NEWS

Przy uczestnictwie
w praktykach religijnych
na poziomie 28 proc.
utrzymanie kościoła
zaczyna być problematyczne
nawet w dużych miejskich
parafiach.

30 proc. stanowili księża diecezjalni. Kolejnych 6 proc. to siostry zakonne, a 3 proc. – zakonnicy. Stowarzyszenie Świecka Szkoła, które w 2021 r. zapytało 2,5 tys. polskich gmin o wydatki na katechezę, na podstawie odpowiedzi 80 proc. samorządów szacowało koszty religii w szkołach na 1,1 mld zł rocznie. Oznaczałoby to, że sama katecheza przynosi duchownym ok. 400 mln zł rocznie, oczywiście licząc z należnymi państwu podatkami i składkami. Kolejne pół tysiąca duchownych pełni obowiązki etatowych kapłanów w wojsku, policji, Straży Granicznej, a nawet w Krajowej Administracji Skarbowej. Koszt – ok. 54 mln zł rocznie. Liczni kapłani obsługują szpitale i domy pomocy społecznej.

– Jest oczywiście jeszcze Fundusz Kościelny, z którego państwo pokrywa nam składki emerytalne i dofinansowuje remonty zabytkowych świątyń, ale to pieniądze, których nie mogę uwzględnić w budżecie parafii, bo ich nie widzę – tłumaczy ks. Przemysław, proboszcz z Mazur. – Na co dzień funkcjonujemy dzięki hojności parafian. Taca i ofiary za nabożeństwa nadal z lekkim naddatkiem pokrywają bieżące rachunki, ale gdybym

nie pracował w szkole jako katecheta, żyłoby mi się bardzo skromnie. Nie mamy budynków, które ktoś by chciał wynająć.

Ks. Przemysław nie mówi, ile wynosi jego szkolna wypłata, a ile przeznacza na bieżące utrzymanie. – Nie zarabiam w każdym razie więcej od innych nauczycieli – zastrzega.

W anonimowych rozmowach księża przyznają, że bez pieniędzy z katechezy budżety niemal wszystkich diecezji czekałoby bolesne urealnienie.

– Finanse Kościoła to taka odwrócona klepsydra, pieniądze płyną w niej z dołu w górę, rzadziej w drugą stronę – tłumaczy wikariusz jednej z podlubelskich parafii. – Biskupi niechętnie tną swoje wydatki, uważają, może i słusznie, że reprezentują majestat Kościoła, dlatego oczekują od parafii stałego wkładu w utrzymanie kurii. Wszyscy niby zdają sobie sprawę, że kościoły pustoszeją, ale nie zawsze ma to przełożenie na skalę finansowych oczekiwań biskupa. Tam, gdzie istnieją możliwości, proboszczowie rekompensują sobie utratę wpływów z tacy i ofiar działalnością gospodarczą, ale nie każdy ma ziemię czy budynek do wynajęcia. W wielu parafiach pieniądze z religii to dziś fundament budżetu.

Kościół na abonament

Rozwiązaniem problemu byłaby oczywiście reforma finansowania Kościoła w Polsce, która wyjęłaby jego majątek z szarej strefy i przy okazji wyrównała dochodowe rozpiętości wśród księży. Kłopot w tym, że byłoby to równanie w dół. We Włoszech, gdzie na mocy konkordatu z 1984 r. funkcjonuje system odpisu w wysokości 0,8 proc. podatku na rzecz Kościoła katolickiego lub innego związku wyznaniowego, duchowieństwo pobiera pensje w widełkach ustalonych dla całego kraju. Każdemu przysługuje 80 punktów na start, a za każde 5 lat stażu kapłańskiego dolicza się po 2 punkty. Dodatkowe punkty przysługują za pełnienie urzędu. Biskup dostaje 40 punktów, wikariusz generalny 25, wikariusz biskupi – 18, a proboszcz parafii liczącej ponad 4 tys. mieszkańców – 10. Dodatkowo każdy biskup może przyznać swoim kapłanom do 25 punktów, w zależności od oceny ich pracy. Punktację zamienia się następnie na zarobki według przelicznika ustalonego przez episkopat. W efekcie większość księży we Włoszech zarabia dziś w przedziale

1,4-1,6 tys. euro miesięcznie – co sprawia, że duchowni nie uchodzą za majątną grupę społeczną. Podobne rozwiązania można podpatrzeć w innych krajach, choćby za Odrą.

Nieprzypadkowo postulaty finansowania Kościoła wyłącznie ze składek wierzących padają głównie z ust polityków lewicy, którzy w swoim elektoracie mają najwyższy udział niepraktykujących i ateistów. Ale takie pomysły mogą się nie spodobać również tym, których do udziału w praktykach religijnych popycha przyzwyczajenie i presja środowiska. Kościół w wersji „pre-paid”, za który płaci się tylko wtedy, kiedy trzeba skorzystać z jego usług, wydaje się wygodniejszy od całorocznej wersji „abonamentowej”, doliczanej chociażby do zeznania podatkowego. Niechęć duchownych do wtajemniczania wiernych w stan finansów pewnej części polskich katolików jest więc po prostu na rękę, bo zwalnia ich z odpowiedzialności za sytuację materialną lokalnego Kościoła.

A dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego potwierdzają, że praktyki religijne w Polsce skręcają w kierunku doraźnej relacji konsumpcyjnej. Pomiedzy rokiem 2000 a 2021 odsetek parafian uczestniczących w niedzielnej mszy spadł z 47,5 do 28,3 proc. Nie brak miejscowości, w których do kościoła zagląda już mniej niż 10 proc. mieszkańców wpisanych do ksiąg parafialnych.

W tym samym czasie jednak na terenie kraju przybyło aż 519 parafii. Hierar-

chowie próbowali w ten sposób dogonić widoczny w dużych miastach trend suburbanizacyjny, czyli ruch ludności z centrów na peryferia. Zapewne stała też za tym błędna kalkulacja, że polski katolicyzm będzie nadal – jak za PRL-u – za pełniał szczerze dowolną liczbę świąt. W efekcie biskupi liczą się z tym, że w perspektywie kilku lat będą musieli zrobić krok w tył i zacząć łączyć parafie.

– Jakiś czas temu byłem w Irlandii na czymś w rodzaju szkolenia – opowiada kanclerz jednej z kurii. – Rozmawialiśmy z tamtejszymi księżmi o ich doświadczeniach z łączenia parafii po załamaniu, jakiego irlandzki Kościół doświadczył na przełomie stuleci. Taka operacja nie sprowadza się przecież do wytyczenia nowego podziału administracyjnego i decyzji kadrowych. W grę wchodzi ważniejsze kwestie, jak planowanie nabożeństw albo oszacowanie, czy po połączeniu parafia potrzebować będzie dwóch cmentarzy.

Seminaria dla zuchwałych

Trend, jak zauważa kanclerz, jest nieubłagany. Przy średnim krajowym poziomie uczestnictwa w praktykach religijnych 28 proc. utrzymanie kościoła (nie mówiąc już o finansowaniu budowy nowego) zaczyna być problematyczne nawet w dużych miejskich parafiach.

– Znajomy ekonom diecezjalny tłumaczył mi niedawno, dlaczego na jednym z osiedli w dużym mieście budowa świątyni utknęła. Parafia liczy pod 6 tysięcy

dusz, ale na msze chodzi najwyżej jedna piąta. Przełomowa była pandemia. Nawet bardzo religijni ludzie dostrzegali wtedy, że można nie pójść w niedzielę do kościoła i sumienie jakoś nie piecze – uśmiecha się kanclerz. – No i proszę sobie teraz policzyć. Z 6 tysięcy dusz robi się nagle 1200 osób, czyli statystycznie 400 rodzin. Jeśli na mszę pójść razem, prawdopodobnie wrzucą na tacę 10 zł od rodziny, a nie trzy razy po pięć złotych. Zdesperowany proboszcz rozważał zaciągnięcie kredytu na dokończenie budowy, ale biskup się nie zgodził, bo bank weszłby mu z hipoteką na diecezjalne grunty.

Problemem będą nie tylko pustoszące kościoły i malejące wpływy z ofiar oraz opłat za sakramenty. Polskiemu Kościołowi zaczyna zaglądać w oczy problem braków kadrowych. Tylko pomiędzy rokiem 2016 a 2021 liczba księży diecezjalnych zmalała o ponad 15 proc. – czyli niemal 4 tysiące! Średnia wieku duchownych to ok. 52 lata, ale rośnie wskutek załamania dynamiki powołań. W 2000 r. w diecezjalnych i zakonnych seminariach uczyło się ponad 6,7 tys. kleryków. W 2021 r. – zaledwie 1972.

– Cóż, starzy odchodzą do Pana Boga albo na emeryturę, młodych coraz mniej – kwituje ksiądz kanclerz. – Pewnym pocieszeniem jest rosnąca jakość kandydatów do kapłaństwa. Czasy, kiedy szło się na księdza, żeby po święceniach mieć zapewnioną wygodną i przewidywalną przyszłość, po prostu się skończyły.

© MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Katarzyna Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdziłkowska,
Maja Kuczmarska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Róbiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmarska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Józefczy Juda*



NA ŁOŻU ŚMIERCI PRAOJCIEC JAKUB BŁOGOSŁAWI swoich synów, prorokując o wiodącej roli poszczególnych szczepów w różnych gałęziach gospodarki. Dowiadujemy się dla przykładu, że od Symeona (Szymona) będą się wywodzić nauczyciele, żol-

nierze od Gada, a plantatorzy oliwek od Asera (Aszera). Izrael porównuje też swoje latorośle do zwierząt, które potem znajdują się na ich godłach: „Isachar osieł kościsty” (Rdz 49, 14; Cylkow), „Naftali lania chyla” (wers 21) czy „Binjamin wilk drapieżny” (wers 27). Wątek przed-Ezopowy podejmuje też midrasz, roztrząsając postępowanie wicefaraona wobec swoich braci i ujawnienie przezeń swej tożsamości w reakcji na zdecydowaną postawę Judy (zob. Rdz 44-45). Otóż: konfrontacja między Józefem a Judą – co nam to przypomina? Wołu, który biegł po okolicy i wszystkie zwierzęta przed nim uciekały, gdyż kopał jedne i dźgał drugie, aż pojawił się lew i wół się wycofał.

Przypomnijmy: pierworództwo i związane z nim prerogatywy z urodzenia należały do najstarszego syna Lei, Rubena. Utracił je bezpowrotnie, obcując z jedną z żon swojego ojca – Bilhą, służącą Racheli (zob. Rdz 35, 22 i 49, 4). Podwójny dział ziemi dostał się miast niemu Józefowi, którego synów – Efraima i Manasses – Jakub usynowił. Zostali więc uznani za protoplastów oddzielnych szczepów, z których każdy otrzymał własne terytorium w Ziemi Obiecanej. Kapłaństwo przypadło w udziale młodszemu bratu Rubena – Lewiemu, królestwo zaś czwartemu synowi Lei – Judzie.

W Egipcie spełnia się sen pierworodnego Racheli – nawet ojciec składa mu pokłon. Tutaj Józef dowodzi Dziećmi Izraela. Wyprowadzają ich i wiodą po pustyni Mojżesz i Aaron ze szczepu Lewiego, lecz podbojem Kanaanu dowodzi już Jozue, potomek Józefa. Arka Przymierza przez prawie 400 lat znajduje się w Szilo, leżącym na terytorium Józefa. Pierwszy król, Saul, jest Beniaminitą. Potem już władza przechodzi w ręce potomków czwartego syna Lei. Dawid ustanawia swą stolicę w Jerozolimie, na terytorium Judy. Salomon wznosi Świątynię na granicy między działami Judy i Beniamina. Po jego śmierci królestwo rozpada się na dwie części i na północy prym wiodą potomkowie Józefa. Gdy Asyryjczycy wprowadzają dziesięć północnych plemion, na scenie pozostają przede wszystkim Juda i Benjamin oraz ci spośród Lewiego, którzy zamieszkiwali ich terytoria. Jeszcze raz, wedle żydowskiej tradycji, berło będzie dzierżyć potomek Józefa – pierwszy mesjasz, zapowiadający nadejście mesjasza syna Dawida – oczywiście z królewskiego rodu Judy. Potem już nastąpi kres tego przechodzenia władzy od szczepu Józefa do szczepu Judy i z powrotem. Wówczas znów będzie jak w naszym midraszu: wół się wycofa i zapanuje lew – jak widać, namaszczone nie tylko na króla zwierząt. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Sami sobie winni*



„JESTEŚCIE SZCZĘŚLIWI, GDY WAS ZNIEWAŻAJĄ, prześladowają i oczerniają z mojego powodu. Cieszcie się i radujcie, bo wielka jest wasza zapłata w niebie. Tak samo przecież prześladowano proroków, którzy byli przed wami”. No i mamy: cierpią bi-

skupi, cierpią prezbiterzy, cierpią świeccy, cierpi Kościół, nie cały, ale chyba znaczna część. To cierpienie jest tak wielkie, że samo zaufanie Bogu nie wystarcza, trzeba szukać pomocy np. u polityków, zwłaszcza że sami się napraszają, czemu nie skorzystać? Choć to trochę dziwne, że ci obrońcy Kościoła i „życia od naturalnego poczęcia do naturalnej śmierci” jednocześnie dopuszczają możliwość przywrócenia kary śmierci. Wróćmy jednak do tych, którzy z powodu prześladowań zamiast się cieszyć i radować, niewymownie cierpią. Co straszniejsze, nie mogą przestać cierpieć, a nawet nie powinni, dopóki po tym Bożym świecie chodzi, a nie powinien chodzić, choćby jeden podły grzesznik, a przede wszystkim sam Szatan. Cierpią, święcie wierząc w swoją niewinność i w niej upatrując przyczynę swojej niedoli.

Wobec takiej przewagi sił złego pozostaje człowiekowi jedno, walka na śmierć i życie. Stąd szukanie najsukuteczniejszego oręża, a jakież inne może być najsukuteczniejsze, jeśli nie nadprzyrodzone, takie jak traumatyczne egzorcyzmy, katastroficzne objawienia i prorocтва, fanatyczne kazania i świadectwa, niekończące się, euforyczne nabożeństwa. Mają one uprosić (czytaj: zmusić) Boga, by wreszcie na poważnie zajął się walką ze złem. Dlatego doposażamy Pana Jezusa, przebierając Go w królewskie gronostaje i korony. Matkę Pana, Maryję, dozbrajamy, przydając jej rycerzy z wielkimi mieczami. Michała Archaniola popędzamy, żeby wreszcie „szatana i inne duchy złe” jak najszybciej „mocą Bożą strącił do piekła”.

Tymczasem Chrystus mówi: „Biada wam, gdy wszyscy ludzie będą was chwalić. Tak samo przecież ich przodkowie czynili fałszywym prorokom. Lecz wam, którzy słuchacie, mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół. Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą. Błogosławcie tych, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was oczerniają”. Paweł Apostoł: „Czyż nie ma wśród was nikogo roztropnego, kto mógłby rozsądzić sprawę między braćmi? Tymczasem brat procesuje się z bratem, i to przed niewierzącymi! Już samo to, że procesujecie się między sobą, jest poniżające! Dlaczego raczej nie znosicie niesprawiedliwości? Dlaczego raczej nie jesteście gotowi doznawać krzywdy?”. Patrząc na dzisiejszy Kościół, wraca pytanie: „czy nie ma wśród was nikogo na tyle mądrego”, kto by w porę zauważył, że cierpimy na własne życzenie, nie odróżniając dobra od zła i przyjaciół od nieprzyjaciół? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Słowo nas nie osądza

*Kto zrozumiał, wielbi Boga
przez całe swe życie,
w każdym miejscu,
a nie w jakimś wydzielonym
czy wybranym przybytku.*

KLEMENS Z ALEKSANDRII



*Od tego trzeba było zacząć: niebo. /
Okno bez parapetu, bez futryn, bez szyb. /
Otwór i nic poza nim, /
ale otwarty szeroko.*

WISŁAWA SZYMBORSKA



„ŻYWE JEST SŁOWO Boże, skuteczne i ostrzejsze niż wszelki miecz obojętny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca. Nie ma stworzenia, które by dla Niego było niewidzialne; przeciwnie, wszystko odkryte jest i odsłonięte przed oczami Tego, któremu musimy zdać rachunek. Mając więc Arcykapłana wielkiego, który przeszedł przez niebiosy, Jezusa, Syna Bożego, trwajmy mocno w wyznawaniu wiary” (Hbr 4, 12-14).

W tym pięknym – przypomnianym dopiero co przez Liturgię – fragmencie Listu do Hebrajczyków jednym z możliwych istotnych słów kluczy wydaje mi się słowo „więc” („mając więc Arcykapłana...”). „Więc” każe wrócić myślą do poprzedniego akapitu; a ten o „Arcykapłanie” nic nie mówi. Mówi natomiast o „Słowie”. Wniosek stąd jeden: Ten, który jest Słowem, jest również Arcykapłanem. Ten, który przenika naszą duszę i ducha swoim Słowem, przenika również poza zasłonę przybytku w Niebie, by złożyć na wiecznym ołtarzu ofiarę ze swojego Ciała i Krwi.

Słowo jest Kapłanem, gdyż nie wystarczy Mu bycie jedynie Mądrością;

Ono musi być także Miłością! Miłością nie głośną, lecz ofiarną.

Także i my – w relacji z Bogiem – potrzebujemy nie tylko Słowa, ale również Kapłana.

Dlaczego?

Dlatego, że naszym problemem numer jeden w tej relacji nie jest niewiedza, lecz grzech. Problemu grzechu nie „załatwia” pouczenie. Nie wystarczy jedynie wiedzieć, co jest grzechem, żeby grzech porzucić. Podobnie, jak nie wystarczy znać definicję danej cnoty, aby ją praktykować.

Za grzech potrzebna jest ofiara (a składanie ofiary jest funkcją kapłańską); z niewoli grzechu zaś wyprowadza nas doświadczenie Miłości. Słowo nas nie osądza, tylko z radykalnie miłosierną wiernością bierze na siebie nasze grzechy – po to, by zostały unicestwione w ofierze Krzyża.

Ta Ewangelia Słowa-Kapłana jest nam nie tylko dana, ale i zadana. Może właśnie także i dlatego nosimy w sobie od chrztu zarówno godność prorocką (odpowiedzialność za prawdę), jak i kapłańską (powołanie do ofiarności i pośrednictwa). Byśmy nie odważali się stawiać wobec innych w postawie/funkcji nauczycieli, skoro nie odnajdujemy w sobie ofiarnej miłości do nich. Nie pouczajmy ludzi, wobec których nie stać nas na gest najmniejszej nawet ofiary. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (29 – 5 II)

4. niedziela zwykła: So 2, 3; 3, 12-13;

Ps 146; 1 Kor 1, 26-31; Mt 5, 1-12a;

Poniedziałek: Hbr 11, 32-40; Ps 31; Mk 5, 1-20;

Wtorek: Hbr 12, 1-4; Ps 22; Mk 5, 21-43;

Środa: Hbr 12, 4-7. 11-15;

Ps 103; Mk 6, 1-6;

Czwartek: Mt 3, 1-4 lub Hbr 2, 14-18;

Ps 24; Łk 2, 22-40;

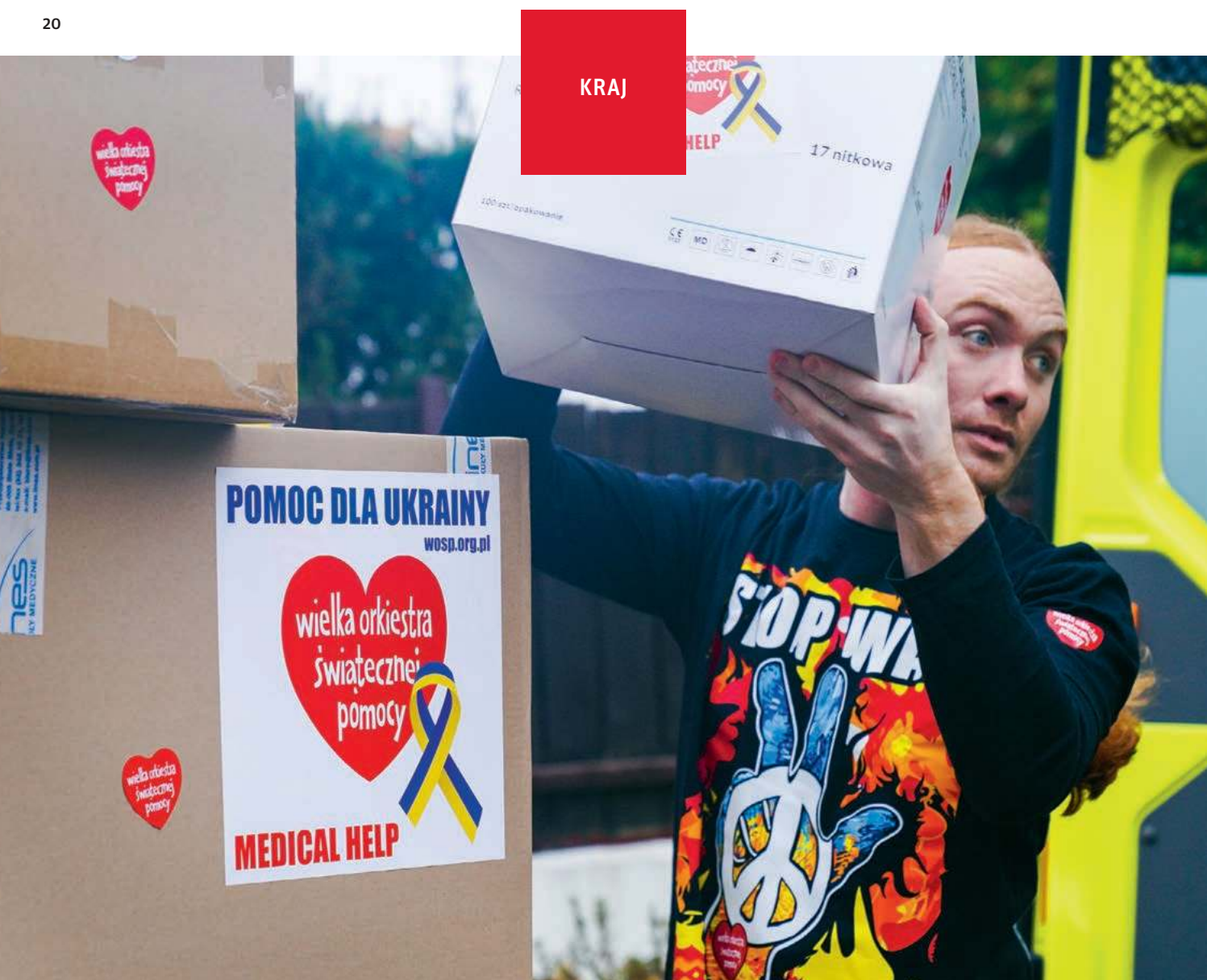
Piątek: Hbr 13, 1-8; Ps 27; Mk 6, 14-29;

Sobota: Hbr 13, 15-17. 20-21; Ps 23; Mk 6, 30-34;

5. niedziela zwykła: Iz 58, 7-10; Ps 112;

1 Kor 2, 1-5; Mt 5, 13-16.

Wybrat PIOTR SIKORA



Załadunek darów przez wolontariuszy WOŚP do karetki, która pojedzie do Charkowa. Warszawa, 10 listopada 2022 r.

TRUDNO WYWRÓCIĆ TĘ POLSKĘ

RÓŻA RZEPLIŃSKA, DZIAŁACZKA POZARZĄDOWA:

Przez lata byliśmy beneficjentami pomocy,
otwierając zagraniczne paczki z pomarańczami i rajstopami.
Aż tu nagle ktoś mówi: hej, stoicie już na nogach, wy też możecie dawać.
Owsiak pomógł nam zobaczyć siebie na nowo.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:**W styczniu 1993 r. była Pani...**

RÓŻA RZEPLIŃSKA: ...nastolatka, harcerką, dla której ten świat, mający na masową skalę narodzić się za sprawą Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, był czymś znanym. Kilka lat wcześniej chodziłam z ojcem [Andrzejem Rzeplińskim, do 2016 r. prezesem Trybunału Konstytucyjnego – red.] pakować ubrania dla pogrążonej pod koniec 1989 r. w kryzysie Rumunii. Niesamowite sceny: nadal biedni ludzie, czyli Polacy, układali góry ciuchów dla ludzi jeszcze biedniejszych.

Ówczesną Polskę pamiętam też ze swoich harcerskich podróży pociągami. Byliśmy wtedy bliżej siebie.

W jakim sensie?

Większego zaufania, ale też w bardziej dosłownym znaczeniu: większej liczby połączeń komunikacyjnych. Po prostu wszędzie było łatwiej, jeśli chodzi o transport publiczny, dojechać.

Ja się w tamtej Polsce czułam bardzo bezpiecznie, pomimo jej chaosu, biedy.

Biedy, ale też rozpędzającego się kapitalizmu.

Z mięsem sprzedawanym na ulicy, z zakupami na bazarach, indyjskimi ubraniami w halach pod Pałacem Kultury. Nieład, rozgrzebane budowy, błoto, a równocześnie poczucie, że znowu możemy być częścią świata.

A pierwsze telewizyjne migawki z działań Orkiestry?

Pamiętam góry banknotów na stole, worki, liczenie kasy na wizji (*śmiech*)... Tak wtedy wyglądało pomaganie: sponaniczne, oparte na zaufaniu. W odróżnieniu od dzisiejszego, w którym rządzi przejrzystość, ale też nadmiar biurokracji.

W zeszłym tygodniu słuchałem dyskusji redakcyjnych kolegów o tamtym czasie. „To się nie miało prawa udać” – mówił o początkach Orkiestry jeden z nich, wskazując właśnie na ubóstwo, brak filantropów-milionerów i społeczeństwa obywatelskiego. „To był idealny moment” – ripostowali inni, wspominając choćby głód solidarności w apogeum kapitalistycznych przemian.

Kupuję tę drugą historię. Głód solidarności był zresztą naszym zasobem z przeszłości. Nie byliśmy aż tak zsovietyzowa-

nym społeczeństwem jak to, które w tamtym czasie widziałam, jeżdżąc na Białoruś. Myśmy jednak co jakiś czas powstawali, i nawet jeśli robiliśmy to w imieniu swojej grupy – studentów czy robotników – te zrywy nie były indywidualistyczne.

Choć na co dzień rzeczywiście byliśmy głównie beneficjentami pomocy. Dostawaliśmy pomarańcze i rajstopy w paczkach. Nawet organizacje pomocowe korzystały w dużej mierze z zachodnich pieniędzy.

Aż tu nagle...

To jest właściwie pytanie, czy nagle. Ale chyba jednak tak, bo nikt wcześniej nam na taką skalę nie powiedział: hej, stoicie już na nogach, wy też możecie dawać, bo dawanie jest poza wszystkim fajne, dowartościowujące, budujące. Owsiak pozwolił nam zobaczyć siebie na nowo. Zobaczyć w lustrze kogoś innego niż ubożego kuzyna otwierającego paczkę z Ameryki.

Dlaczego akurat jemu się udało?

Przychodzi mi na myśl analogia z pierwszymi wyborami.

Dziewicze doświadczenie.

Nie tylko to. Chodzi o obecność ludzi na różnych poziomach, z jasno rozpisanymi rolami. Czuwający nad wszystkim frontman, który – niczym szef Państwowej Komisji Wyborczej – jest gwarantem uczciwości. Rada lekarzy, ekspertów, dająca – jak obserwatorzy czy mężowie zaufania – merytoryczne gwarancje. I obywatele, którzy muszą uwierzyć, że to „głosowanie” jest ich, bo jako członkowie komisji wyborczych je organizują.

Wszystko „kliknęło” w jednym momencie. Jasny cel, dobry moment i charzma lidera, który porywa tłum, ale nie zagarnia show dla siebie – przekierowuje uwagę ludzi na cel.

Ważne też, że to wezwanie do działania było od początku dla każdego. Można było zagrać na scenie, będąc zespołem Maanam, ale też rockowym bandem z Parczewa; mieć swoją minutę na antenie, pracując jako prezenterka TVP, ale również małej, lokalnej telewizji; organizować sztab, będąc fryzjerką czy menedżerką. Tak zresztą jest do dziś.

I jeszcze jedno. Myśmy jeszcze wtedy nie mieli polityków z ambicjami i umiejętnościami zarządzania naszą wyobraźnią. Ktoś taki jak Owsiak miał większą

przestrzeń, by wytworzyć społeczne emocje.

Jeśli wojna na górze, to bardziej autentyczna, a nie wypreparowana w gabinetach spin doktorów?

Byli już piarowcy, ale jeszcze bez tak wielkiego znaczenia. Przyjechał Tymiąński, który jako pierwszy niemal skutecznie zagospodarował falę społecznego rozczarowania, ale to były ledwie początki.

Rok 2019, ćwierć wieku później.

Widzi Pani Owsiaka nie w telewizorze, ale na scenie, gdzie razem odbieracie nagrodę Polskiej Rady Biznesu za działalność społeczną. Pani od kilkunastu lat jest prezeską Stowarzyszenia 61, działającego na rzecz świadomych wyborczych decyzji Polaków. A Owsiak ma za sobą dwadzieścia kilka lat Orkiestry. Nie tylko się postarzał. Jest też poobijany: konfliktami, atakami, presją...

Kilka miesięcy wcześniej chciał wszystko rzucić – były wściekłe ataki prawnicy, TVP Info, potem śmierć prezydenta Adamowicza... Nie znam go prywatnie, ale myślę, że przeszedł długą drogę. Od entuzjazmu, przez konflikt z władzą, ale też czasami rozczarowanie współobywatelami, którzy za mało się według niego angażowali w sprawy publiczne, aż do przyjęcia strategii „róbmy swoje”. Nie patrzcie – mówił niedawno – czy i ile kradnie PiS-owska władza, skupcie się na tym, by sami działać uczciwie.

To teraz spójrzmy, jak my – społeczeństwo – zestarzeliliśmy się razem z nim i Orkiestrą.

Jesteśmy bogatsi, to na pewno. I zwiększyła się w związku z tym skala naszej filantropii.

Między 2006 r., od kiedy CBOS pyta w badaniu na temat aktywności i doświadczeń Polaków o działalność obywatelską, a przedpandemicznym rokiem 2019 odsetek Polaków, którzy przynajmniej raz w roku przeznaczyli środki na cel dobroczynny, wzrósł z 50 do ponad 70 proc.

I powiedzmy sobie uczciwie: duża część tej puli to datki na Orkiestrę. Choć warto też zauważyć, że ten wskaźnik może być zaniżony, bo nie wszystko kojarzy nam się z filantropią, nawet jeśli nią obiektywnie jest. Weźmy np. ➔

→ wrzucanie pieniędzy na tacę w kościele – nawet jeśli środki idą na jakiś dobroczynny cel, ten rytuał tak mocno wrył się w naszą świadomość, że stał się niemal przezroczysty.

W pandemii filantropia spadła znowu o 10 punktów procentowych.

To były obrazy dramatycznej walki lekarzy, niepewność budziła w nas lęk. W naturalny sposób wielu z nas skupiło się na zabezpieczeniu siebie i rodziny. Inni walczyli, by jako tako zadziałały instytucje publiczne – szkoły, urzędy, szpitale. W podgrupach szyliśmy maseczki. Być może nie znalazł się też nikt taki jak Owsiak w 1993 r. – wyrazisty lider, który przekonująco wykonałby ten *call to action*.

W lutym zeszłego roku też nie było lidera, a jednak ruszyliśmy do wpłat w sposób bezprecedensowy. Przez trzy pierwsze miesiące wojny na pomoc uchodźcom przekazaliśmy więcej niż na cele dobroczynne w całym 2021 r.

By wyjaśnić, dlaczego tak się stało, potrzebuję krótkiego wstępu. Są dwie szkoły komunikowania potrzeb, proszenia o pomoc. Jedna, na pewno reprezentowana m.in. przez WOŚP, to rzeczowe ich przedstawianie, bez epatowania dramatem ludzi. Druga, stosowana np. przez UNICEF, nie ucieka przed takimi formami przekazu. Widzimy głodne, wychudzone dziecko albo płaczącą, niepełnosprawną dziewczynkę.

Otóż w lutym 2022 r. zrealizował się – wyreżyserowany przez życie, a nie przez speców od marketingu – ten drugi scenariusz: krzywdy na naszych oczach. Z badań wiemy, że chętniej pomagały osoby wierzące niż niewierzące i częściej kobiety niż mężczyźni. To drugie jest łatwo wytłumaczalne: Polka zobaczyła przed sobą – często dosłownie: w progu własnego domu – skrzywdzoną kobietę z dziećmi na rękę. Czyli potencjalną siebie.

Takie okoliczności, jak kolejne edycje WOŚP czy wojna, pokazują, że łatwiej zmobilizować ludzi wokół konkretnych: śpiworów, leków, respiratorów. Pani ma trudniej: będący dzieckiem Stowarzyszenia serwis MamPrawoWiedziec.pl, zbierający informacje o politykach, to na tym tle abstrakcja.

Owsiak przeszedł długą drogę.

Od entuzjazmu, przez konflikt z władzą i rozczarowanie współobywatelami, którzy za mało się angażują w sprawy publiczne, aż do przyjęcia strategii „róbmy swoje”.

Jest trudniej, to prawda. Ale też nigdy nie przyszło mi do głowy, by mieć o to do społeczeństwa żal. Być może nie jesteśmy po prostu jeszcze jako zbiorowość na etapie, kiedy większość ludzi uznaje demokrację za wartość.

Jednak słyszę żal.

Nie, to jest zadanie do wykonania. Choć przyznam, że według mnie jesteśmy w dramatycznym momencie. Z jednej strony mamy agresywny marketing polityczny władzy. Z drugiej, jesteśmy my, obywatele, z których część ulega emocjom, a inna część się kompletnie wycofuje.

Choć jedyny wskaźnik zaangażowania społecznego, jaki wzrósł w ostatnich latach, to udział w strajkach lub demonstracjach. Czego nie da się powiedzieć o zaangażowaniu w wolontariat, które od lat pozostaje na poziomie kilku procent. Przy najmniej jeśli chodzi o wolontariat formalny.

To ważne zastrzeżenie. Nie sędzę, byśmy za wolontariat uznawali np. pomoc sąsiadce w czasie lockdownu czy działanie w Ochotniczej Straży Pożarnej, harcerstwie albo w kościele jako ministrant. To lekcja, której nie udało się przez trzy dekady odrobić – nie mamy u wspólnego pojęcia wolontariatu. Nie dorobiliśmy się też opowieści o tym, co to jest dobro wspólne. Mówię to nie po to, by podważać wyniki badań, bo one generalnie odzwierciedlają prawdę o nas. Po prostu byłoby dla nas lepiej, gdyby matka angażująca się w trójkę klasową postrzegala siebie – zgodnie z prawdą – jako wolontariuszkę.

Co nie zmienia faktu, że stałe zaangażowanie jest w Polsce na niskim poziomie. Widzę to jako matka szkolnych dzieci, słysząc co i rusz od niektórych rodziców, że nie będą wchodzić w działania, „bo to jest zadanie szkoły”. W tej postawie da się czasami wyczuć nutkę przekonania, że nadmierne zaangażowanie to rodzaj frajerstwa. Nawet gdy mamy wewnętrzną potrzebę realizacji siebie jako aktywisty, to często za wstydlive uważamy skrzykiwanie się. Wolimy, żeby ktoś nas skrzyknął.

Ćwiczmy to w Stowarzyszeniu, prosząc ludzi o to, by poszli do trzech swoich znajomych z informacją, jak mogą zostać wyborczymi obserwatorami społecznych. „Mam iść do koleżanki?” – takie np. słyszymy pytania. Bywa, że boimy się społecznego „wyautowania”; tego, że ktoś nas uzna za zbyt zaangażowanych.

A co z 30-letnią lekcją Orkiestry? WOŚP skupia co roku ponad 100 tys. wolontariuszy.

To zaprocentuje. 12-latką, która potrafi wyjść ze swojej strefy komfortu i trochę wbrew sobie nawoływać obcych ludzi do wrzucania pieniędzy, stojąc w dodatku na mrozie, będzie kiedyś 30-latką. Może odwoła się do tego doświadczenia, gdy urodzą się jej dzieci?

To też część tego fenomenu: WOŚP działa ponad pokoleniami, mimo iż dowodzona jest przez coraz starszego i coraz bardziej siwego pana.

Który w dodatku, powiedzmy sobie szczerze, od dawna nie mówi językiem dzisiejszych młodych ludzi. Nawet to jego „siema” traci chyba myślką (*śmiech*)...

Tyle że tu sprawdzają się lokalni liderzy, osoby identyfikujące się z Orkiestrą, choć niekoniecznie będące w jej strukturach. Ludzie już mogą nie widzieć Owsiaka, a nawet nie przepadać za jego boomerskim sposobem bycia i żółtą koszulą, ale zawsze się znajdzie ktoś, kto na tej lokalnej scenie mówi do nich ich językiem.

Zanim w 2019 r. zdarzyła się ta straszna tragedia, Paweł Adamowicz – jeden z owych lokalnych liderów identyfikujących się z ideą Owsiaka – opowiadał przecież ludziom ich opowieść: o nadziei, o światelku do nieba, o najpiękniejszym mieście świata.

Jak zestarzał się polski sektor NGO?

Dobrze się zestarzał – jego trzon stanowią organizacje z wieloletnim stażem, które zdążyły się już sprofesjonalizować, a równocześnie nie straciły jeszcze swojej zwinności. To było doskonale widać po lutym ubiegłego roku.

Rozmawiałem niedawno o kryzysach psychicznych młodych uchodźców z Maciejem Pileckim, szefem Oddziału Klinicznego Psychiatrii Dorosłych, Dzieci i Młodzieży CM UJ. Przyznał, że bezwład publicznej jednostki sprawił, iż nie udało mu się zatrudnić ukraińskiego psychiatry ani psychoterapeuty – zrobili to natomiast stowarzyszenia i fundacje.

Dokładnie o tego rodzaju zwinności mówię. Choć mam też świadomość, że dla wielu centralnych, dużych organizacji ceną profesjonalizacji jest biurokracja. Chodzi o prawo pracy, przepisy skarbowe, RODO itd. Księgowość nie leży już w kartonach na podłodze, jak 30 lat temu, ale dużo pary idzie w gwizdek.

Po 30 latach organizacje wciąż borykają się też z najbardziej prozaicznym problemem – brakiem stabilizacji. Nadal niewielki ich odsetek ma tzw. żelazny kapitał, który daje pełną niezależność.

A równocześnie pada zarzut, że za dużo pieniędzy wydają na marketing.

To akurat nie jest poważny zarzut, bo niby jak by miały opowiadać ludziom, co i dlaczego robią? Chyba że mówimy o sytuacji, a i takie się zdarzają, że wielka międzynarodowa organizacja zbiera 20 milionów, by tylko pięć wydać na deklarowany cel...

Ale generalnie jestem zwolenniczką patrzenia na skuteczność tego marketingu: czy dzięki niemu NGO-sy mogą realizować lepiej swoją misję? Jeśli tak, to nie widzę problemu.

Czy rozpoznawalne twarze frontmów to walor, czy obciążenie?

Czasami walor, innym razem obciążenie.

A da się inaczej? Zna Pani jakąś powstałą po 1989 r. organizację, która – nie mając znanego lidera / liderki – jest rozpoznawalna przez większość Polaków?

(milczenie) Tak, Fundację Dajemy Dzieciom Siłę... Ale gdybym miała podać więcej przykładów, byłoby ciężko. Model



ARCHIWUM PRYWATNE

RÓŻA RZEPLIŃSKA jest prezeską Stowarzyszenia 61, prowadzącego m.in. portal MamPrawoWiedziec.pl, serwis służący przybliżaniu poglądów polityków. Działa na rzecz świadomego udziału w wyborach. Z wykształcenia etnografka.

przyjęty przez WOŚP czy Fundację Anny Dymnej ma – przy wszystkich swoich zaletach – także wady. Najważniejszą jest obawa o sukcesję. Mówiąc wprost: te idee mają duże szanse upaść wraz z odejściem lidera czy liderki.

Jest też inne ryzyko silnego, jednoosobowego przywództwa. Objawiło się przy okazji podejrzeń o mobbing ks. Stryczka, szefa Stowarzyszenia Wiosna, czy nadużyć w fundacjach Kidprotect i Nie Lękajcie Się.

Organizacji są w Polsce tysiące, afer kilka... Ale zgadzam się, to realne ryzyko: jeśli daję wyrazistą ideę, ale nie ma koło mnie nikogo, kto w razie potrzeby ściągnie lejce i powie: „Hej, stary, wstrzymaj konie, nie tędy droga”, to może być różnie. Taką kontrolną funkcję powinien spełniać prawdziwy, silny zarząd organizacji, ale nie wszędzie ma on mocną pozycję.

A mniejsze organizacje często nie mają nawet pieniędzy na warsztaty antymobbingowe, bo cały zespół to pięć osób działających na haju idei. Domyślam się, że sporo przemocowych praktyk miało prawo zaistnieć w organizacjach pracujących przy dwóch kryzysach migracyjnych. Nie znam takich historii, ale nie zdziwiłabym się, gdyby się zdarzyły.

Znamy jednak dobrze podglebie dla takich historii: niskie płace, śmieciowe umowy itd.

To warunki, w których ratując jedną osobę, inną możemy zniszczyć. Przez 30 lat wiele organizacji się sprofesjonalizowało, ale niekoniecznie w tej sferze.

To także pokłosie wspomnianego ubóstwa, ale też pokutującego w społeczeństwie absurdałnego przekonania, że „w organizacjach pozarządowych nie powinno się zarabiać”.

Kolejny problem, tym razem świeży: chyba nigdy sektor NGO nie był w tak silnym zwariowaniu z władzą.

Batalia trwa na wielu poziomach. To nękanie sędziów. To „wycinanie” NGO-sów ze szkół, bo choć Lex Czarnek nie weszło w życie, to efekt mrozący działa w najlepsze – dyrektorzy nie chcą zapraszać nikogo, kto by się z czymkolwiek „wrażym” kojarzył. To sprawdzanie działalności pracowników instytucji publicznych, np. pod względem aktywności na Facebooku.

To wszystko już się zdarzyło, teraz trwa faza kolejna.

Jaka?

Branie głodem jednych organizacji, a pompowanie środków w inne, te „nasze”. NGO-sy, które nie są pod skrzydłami obecnej władzy, muszą się albo rozwiązać, albo pogodzić z większymi lub mniejszymi szyskanami. To jest atak na strukturę i konkretne nazwiska, jak we wspomnianym przypadku Jerzego Owsiaka.

Mówi Pani też o sobie?

Gdzie Rzym, gdzie Krym... To zupełnie nieporównywalna skala.

W sierpniu 2016 r. TVP Info „doniosło”, że do kasy stowarzyszenia i do prywatnej kieszeni „córkę prezesa TK” płyną pieniądze od milionera-filantropa George’a Sorosa.

Nie ma sensu do tego wracać, poza oczywistym wnioskiem, że chodziło o mojego ojca, o atak na sektor NGO, a w ostatniej kolejności o mnie. Jedyne, czego do dziś żałuję, to że nie oddałam sprawy do sądu. Naradzałyśmy się z koleżanką, z prawnikami. Ci drudzy mówili, że to było doniesienie niejasne, insynuacyjne, i nie bardzo jest się czego chwycić.

Bo też trudno doszukać się tu cokolwiek poza próbą wytworzenia atmosfery niejasności i spisku.

A jednak należało przeciwstawić proces sądowy z TVP. Mistrzostwem tej władzy jest doprowadzenie do tego, że jej ofiara bierze na siebie emocje, a potem trudno

→ oddzielić to, co jest atakiem osobistym, od tego, co jest zamachem na sprawę czy ideę.

Pani w mediach dawała do zrozumienia, że Panią to nie rusza.

Bo ja się takich ataków spodziewałam. Choć przyznaję: życie blisko taty, który dostawał wtedy regularne pogroźki, któremu odmawiano ochrony, a równocześnie uparcie jeździł na co dzień metrem, nie było łatwe...

A wracając do Owsiaaka: gdy zdał sobie sprawę, że to coś więcej niż osobista rozgrywka, postanowił jednak walczyć.

A w ostatnich kilku latach przestał, paradoksalnie, funkcjonować jako dyżurny wróg prawicy.

Bo jej politycy zobaczyli, że to się zwyczajnie nie opłaca. Nie ma co atakować Owsiaaka, bo jak przyjdzie co do czego, to sikawki z ochotniczych straży pożarnych i tak wyjadą na wsiach na cześć WOŚP, a panie z koła gospodyń wiejskich upieką kołacz. Tę Polskę trudno wyrzucić.

A nawet można się o nią wyrwać. Orkiestrze, wedle badań Grupy IQS z grudnia 2020 r., ufa w różnym stopniu aż 84 proc. Polaków. Wychodzi więc na to, że w tym mitycznym woodstockowym błocie mogą się tarzać także wyborcy PiS.

W związku z czym lepiej Owsiaaka ignorować, niż hejtować. Więc zwykle ignorują, hejtowanie pozostawiając – na szczęście pojedynczym – księżom.

Co musi się stać, by do czterdziestej rocznicy WOŚP polski sektor pozarządowy zrobił krok do przodu?

Musimy siebie nawzajem zobaczyć. Mówię o różnych organizacjach, pracujących pozornie na rzecz odrębnych dziedzin. Edukacji, klimatu, praworządności. Nie wykorzystujemy siły łączenia potencjałów – i nie mówię tu o żadnych formalnych związkach. Mamy duże, wspaniałe wyspy, między którymi brakuje połączeń i komunikacji.

Potrzebujemy też zmiany przekonania: żeby za dekadę nikt już nie uznawał wspólnego działania za frajerstwo.

©® Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Obywatele innej demokracji

PAWEŁ MARCZEWSKI

Nieprawda, że młodzi nie interesują się polityką. Po prostu nie interesują się taką polityką, jaką proponuje większość polskich partii. Głównie PiS, ale nie tylko.

PARTIA RZĄDZĄCA PRZEKSZTAŁCIŁA SIĘ z ugrupowania mającego ambicję zdobycia poparcia wszystkich Polek i Polaków w polityczną reprezentację najstarszych pokoleń – tezę tę, postawioną już przeze mnie na łamach „TP”, potwierdziły wyniki grudniowego sondażu Ipsos, przeprowadzonego na zlecenie Oko.press i Tok FM. W wyborach w 2015 i 2019 r. na PiS głosowało odpowiednio 26,6 proc. i 26,2 proc. osób w wieku 18-29 lat, ale w sondażu Ipsos poparcie dla PiS deklaruje już tylko 3 proc. respondentów i respondentek w tym wieku.

Odpływ najmłodszych wyborców, czy raczej tama, która odgradza ich od PiS (ponieważ większość z osób będących dziś w wieku 18-29 nigdy na to ugrupowanie nie głosowała), nie oznacza jednak, że opozycja przejmuje młody elektorat. W 2021 r. CBOS mierzył średnie poparcie dla partii wśród najmłodszych badanych (18-24 lata). Wynik PiS już wówczas był słaby – wyniósł 8 proc. – ale żadna z partii nie mogła się pochwalić poparciem przekraczającym 20 proc. Najlepszy wynik, 17 proc., uzyskała Polska 2050, za nią Konfederacja i Lewica (14 proc.).

Niskie odsetki poparcia dla ugrupowań politycznych (z przekąsem można by powiedzieć, że wśród młodych najpopularniejsza jest partia „trudno powiedzieć” – wskazało ją 21 proc. badanych w 2021 r.) połączone z niskim wskaźnikiem zaufania do partii pokazują, że kiedy młodzi decydują się pójść na wybory, to wybierają raczej z konieczności, a nie z przekonania. I ten rozdźwięk jest coraz większy, ponieważ wbrew stereotypom absencja wyborcza wśród najmłodszych wyborców wcale nie rośnie.

Przeciwnie: o ile do 2020 r. w badaniach CBOS odsetek młodych deklarujących chęć udziału w wyborach nigdy nie przekroczył 70 proc., to w badaniu młodych przeprowadzonym na zlecenie Fundacji Eberta w 2021 r. chęć udziału w najbliższych wyborach zadeklarowało aż 79,3 proc. respondentów. Większość młodych dostrzega w głosowaniu obywatelski obowiązek, ale duża część przy urnie wybiera mniejsze zło albo oddaje głos zgodnie z drugą, trzecią czy n-tą preferencją, nie odnajdując się wśród oferty istniejących partii.

Życie jest gdzie indziej

O tym, że życie polityczne młodych toczy się poza korytarzami sejmowymi i z dala od partyjnych siedzib, dobitnie przekonuje jedno porównanie. W przywołanym już badaniu Fundacji Eberta 58 proc. ankietowanych stwierdziło, że brało udział w demonstracjach. W badaniu aktywności społecznej Polaków w 2021 r., zrealizowanym przez CBOS wśród ogółu obywateli, ten odsetek wyniósł 9 proc.

Warto sobie uzmysłowić, co pokazują te dane. Badanie Fundacji Eberta, zrealizowane na dużej próbie 1500 respondentów w wieku 15-29 lat, daje rzetelny przekrój opinii młodych na temat życia publicznego oraz ich aktywności społeczno-politycznej. Jeśli w tego rodzaju studium ponad połowa badanych deklaruje, że brała udział w demonstracji, jest to trudny do zbagatelizowania dowód na to, że duża ich część nie odnajduje się w instytucjach demokracji przedstawicielskiej – nie ma poczucia, że jest przez nie słyszana i reprezentowana. A XX-wieczny klasyk refleksji politologicznej nad demokracją Robert A. Dahl



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Protest przed gmachem Sądu Okręgowego w Lublinie przeciwko zmianom w sądownictwie wprowadzanym przez PiS. 27 lipca 2017 r.

pisał, że w sytuacji, kiedy niedopuszczająca głosów sprzeciwu władza marginalizuje lub ucisza opozycję parlamentarną, pojawia się opozycja „uliczna”. Dziś rzeczywiście, bo reprezentującą głos większości pokolenia opozycją uliczną są właśnie młodzi.

Ten wniosek kłóci się z konstatacją, jaką część komentujących życie publiczne poczyniła kilka lat temu po protestach w obronie Trybunału Konstytucyjnego. Mówiono wówczas, że skoro w tamtych demonstracjach brało udział bardzo mało osób poniżej 30. roku życia, to młodzi nie interesują się stanem demokracji i praworządności w Polsce i będą dobrym materiałem dla pisowskiej „małej stabilizacji”. Jednak kiedy PiS zamachnął się na fundamentalne dla młodych kwestie, takie jak prawa reprodukcyjne, wyszli tłumnie na ulice pomimo pandemicznych obostrzeń i policyjnych represji, stosowanych wówczas nagminnie i z wyjątkową brutalnością. Protest i represje, wbrew wygłaszanym w 2016 czy 2017 tezom o politycznej apatii młodych, stały się doświadczeniem formacyjnym dla osób dorastających i wchodzących w życie publiczne po 2015 r.

Demokratyczny paradoks

Uwikłani w krajowe spory polityczne, mamy tendencję do traktowania rządów PiS albo jako zjawiska absolutnie wyjątkowego, powodującego skutki polityczne i społeczne niespotykane w innych krajach, albo jako kolejnej odsłony europejskiego zła absolutnego, nowego faszy-

zmu – i wywoływane przezeń skutki też traktujemy jako wyjątkowe. Oczywiście rządy formacji Jarosława Kaczyńskiego mają wiele cech podyktowanych specyfiką polskiej historii (np. antyniemiecka polityka historyczna) czy słabościami polskiego państwa (demontaż profesjonalnej służby publicznej), ale nie jest to jeszcze pełny obraz.

W 2015 r. zespół uczonych z London School of Economics badał młodzież w Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii, Austrii, Finlandii i na Węgrzech, wyraźnie dostrzegając zjawisko określane w naukowych pozycjach jako „demokratyczny paradoks”. Pojawia się on wówczas, kiedy mamy do czynienia z rozchodzeniem się bardzo wysokich oczekiwań oraz idealistycznego wyobrażenia o demokracji z coraz bardziej krytycznymi opiniami na temat jej rzeczywistego funkcjonowania. Demokratyczny paradoks prowadzi z jednej strony do wycofywania się obywateli z „systemowej”, instytucjonalnej polityki, z drugiej jednak stwarza ogromny potencjał do zaangażowania w odnowę demokracji. Może prowadzić zarówno do apatii, jak i do eksplozji aktywności obywatelskiej.

W przypadku młodych obywateli i obywateli Polski również chyba możemy mówić o demokratycznym paradoksie, a ich liczne uczestnictwo w protestach może sugerować, że skutkuje on raczej próbami zmiany niezadowolającego *status quo* niż apatią. Chcąc się przekonać, czy faktycznie mamy do czynienia z tym zjawiskiem, ośrodek badawczy Młodzi

w Centrum LAB (SWPS) oraz Fundacja Batorego przeprowadziły wspólnie badanie jakościowe młodych zaangażowanych publicznie, pytając m.in. o to, jak definiują demokrację i jak te definicje mają się do ich praktyki jako aktywistów i aktywistek, działaczy i działaczek społecznych.

Więcej niż „słupy”

Badanie „Demokratyczny paradoks w praktyce: doświadczenia młodych aktywistów i aktywistek” zrealizował zespół w składzie Justyna Kajta (kierowniczka), Sylwia Barakeh, Paweł Marczewski i Paula Pustulka. Przeprowadziliśmy 28 wywiadów pogłębionych z młodymi osobami, aktywnymi zarówno politycznie, jak i społecznie, mieszkającymi zarówno w niewielkich miejscowościach, jak i w dużych miastach oraz reprezentującymi bardzo różne poglądy polityczne – od lewicy do prawicy.

Tego rodzaju badanie nie dostarcza, rzecz jasna, reprezentatywnego obrazu stosunku polskiej młodzieży do demokracji. Jego cel był skromniejszy – chcieliśmy się dowiedzieć, jak młodzi definiują ten ustrój i czy działając publicznie dostrzegają rozdzźwięk między tymi definicjami a praktyką. Innymi słowy: tropiliśmy demokratyczny paradoks w jego codziennych przejawach.

Większość naszych rozmówców oraz rozmówczyń podchodzi do demokracji poważnie i definiuje ją bardzo szeroko: jako ustrój, w którym odbywają się wolne wybory, ale też stwarzający szeroką przestrzeń wolności i poszanowania jednostkowych praw. Bartek (imię zmienione), działacz Zielonych, ujął to dobitnie: „Demokracja to jest coś więcej niż tylko proces wyborczy. To jest cały system naszego życia”.

Jako cechy kluczowe dla demokracji młodzi wymieniali wolność wypowiedzi, swobodę podejmowania inicjatyw obywatelskich, możliwość zmanifestowania sprzeciwu wobec władzy. Kiedy wymieniano wybory, często pojawiały się zastrzeżenia, że wyborcze obietnice zwykle rozmijają się z rzeczywistością – i winni temu są zarówno politycy, którzy ich nie dotrzymują, jak też obywatele, którzy nie poświęcają wystarczającej uwagi programom partyjnym i nie wkładają dość wysiłku w podjęcie wyboru w sposób świadomy.

Większość naszych rozmówców, również osób zaangażowanych w młodzieżówki partyjne, deklarowała sceptycyzm →

→ wobec zawodowej, zinstytucjonalizowanej polityki. Padły stwierdzenia, że młodzi w partiach potrzebni są jedynie w charakterze „słupów”. Realne poczucie sprawstwa młodzi widzieli natomiast w aktywizmie społecznym i zaangażowaniu lokalnym. Te formy działania, postrzegane jako najbardziej „odpartyjnione”, traktowane były niemal jednoznacznie pozytywnie.

Młoda Polska

Silna nieufność wobec partyjnej polityki szła u naszych rozmówców w parze z przekonaniem, że jeśli chodzi o sprawy warte zaangażowania, to niewiele ich łączy z poprzednimi pokoleniami. Pytani o demonstracje, na których mogliby pojawić się z rodzicami czy dziadkami, często odpowiadali, że nie ma takich lub z zastrzeżeniami podawali jednego członka rodziny o zbliżonych poglądach. Ich zaangażowanie miało na ogół źródło w rozmowach i wspólnych doświadczeniach z rówieśnikami, rzadko kiedy wynoszone było z domu. Szkoła jako czynnik aktywizujący do działania była praktycznie nieobecna.

Z naszego badania wyłania się zatem obraz młodego pokolenia, które rzeczywiście doświadcza demokratycznego paradoksu – myśli o demokracji idealistycznie, ale jest bardzo sceptyczne wobec tego, jak funkcjonuje ona w praktyce. Młodzi o wiele częściej uczestniczą w demonstracjach i protestach, rzadko łącząc swoje zaangażowania z doświadczeniami rodziców. Brakuje międzypokoleniowej wspólnoty protestu.

Doświadczenie demokracji jest więc różne dla różnych pokoleń – w tym przypadku rzeczywiście możemy mówić o dwóch Polskach. Polska PiS i Polska PO nadal posługują się wspólnymi punktami odniesienia, nawet jeśli inaczej je oceniają (jak w przypadku decyzji o wybuchu powstania warszawskiego). Głębokie konflikty i podziały wiążą się z tymi samymi symbolicznymi figurami czy zdarzeniami. Polska młodych pozostaje osobna. I przez większość starszych obywateli oraz polityków jest kompletnie niedostrzegana.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu „Obywatele” w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.



ADAM PODSTAWCZYŃSKI / CC BY-SA 4.0

Betonowa fala

DAMIAN NOWICKI

Najdłuższy polski budynek ma 1792 mieszkania i 6 tys. mieszkańców. Z jednego końca na drugi jedzie się trzy przystanki autobusem. Ideały, które pół wieku temu przyświecały jego twórcom, są aktualniejsze niż kiedykolwiek.

ZABUDOWA GDAŃSKIEGO OSIEDLA Przymorze odbiega od typowego miejskiego krajobrazu Polski za sprawą ośmiu budynków. Ze względu na bryłę i układ balkonów, niemal natychmiast nazwano je „falowcami”. Najdłuższy z nich, przy ul. Obrońców Wybrzeża, świętuje w tym roku 50-lecie zakończenia budowy.

Matką i ojcem założycielami głównego falowca są Danuta Olędzka, Tadeusz Różański i Janusz Mork, którzy za-

projektowali budynek w ramach miejskiego konkursu. Naczelnym założeniem było stworzenie małych, ale funkcjonalnych mieszkań w obrębie jednego wielkiego bloku. Budowa trwała w latach 1970-1973. Efekty? 10 pięter, 16 klatek schodowych, 32 metry wysokości i 860 metrów długości.

W 1792 mieszkaniach dziś zameldowanych jest niespełna 6 tys. osób, choć faktyczna liczba osób żyjących w budynku jest wyższa. A w ciągu półwiecza



Falowiec przy Obrońców Wybrzeża w Gdańsku, widok z nowego bloku po przeciwnej stronie ulicy. Lipiec 2020 r.

na temat mieszkającej w nim społeczności wykształciło się wiele miejskich legend i (nierzadko spolaryzowanych) opinii.

Plaża pod blokiem

Pani Krystyna wylosowała mieszkanie pod koniec roku 1972. Być może ze względu na męża i córkę, z którą była w ciąży, otrzymała największe (4 pokoje, 70 m²). Gdy się okazało, że przydzielono ją do falowca, a na dodatek na piętrze, jakiś mężczyzna chciał się z nią zamienić. Oferował 5 tys. zł, co wtedy stanowiło majątek. Odmówiła i 17 września 1973 r. wprowadziła się do falowca.

– Były tu wówczas piękne łąki, na których opalaliśmy się z koleżankami po pracy. Tuż pod oknem stały drzewa, plaża i morze były w zasięgu spaceru. A kiedy w 1975 r. poprowadzono tramwaj, wszędzie mogłam się dostać szybko i wygodnie. Idealne warunki – podkreśla pani Krystyna.

Razem z mężem pracowała w telekomunikacji. Z racji wyjazdów służbowych, zainstalowano im pierwszy

w bloku telefon. Jak tylko wiadomość się rozeszła, ich mieszkanie zmieniło się w centralę telefoniczną.

– Sąsiedzi przychodzili z różnymi sprawami: a to zadzwonić do ciotki, a to do urzędu. Raz przybiegł chłopak z piętra wyżej, że chyba ktoś się utopił w wannie i trzeba wezwać pogotowie. W takich momentach zawiązywała się komitywa – podkreśla pani Krystyna.

Tylko raz rozważała przeprowadzkę. Jeden z najbliższych sąsiadów okazał się krawcem i sprowadził do domu maszynę do szycia, która strasznie hałasowała. Gdy zbliżali się do kresu wytrzymałości, jednego dnia nagle wszystko ustało. Pani Krystyna żartuje, że to była próba jej charakteru.

– Zdarzały się momenty nieciekawe, kiedyś np. wyszłam z domu, a tu trup leży. Okazało się, że z trzeciego piętra wyskoczył facet. Były też za głośne imprezy czy awantury, jak ktoś popił za mocno, ale bez patologii. Nie wiem, może to jakaś magia falowca, że mieszkamy w kupie, ale ludzie są dla siebie mili – mówi.

Starość i młodość

W ciągu prawie 50 lat życia w falowcu pani Krystyna widzi, jak powoli odchodzi jej pokolenie. Sporo ludzi umarło, część się zestarzała i przeprowadziła do dzieci. Z tymi, którzy zostali, czuje wyjątkową więź. Np. z sąsiadami z mieszkania niżej, z którymi żyje razem już 32 lata.

– Za każdym razem gadamy, co słychać. Razem chodzimy na spacer, imieniny, drinki okolicznościowe. Nawet pandemia tego nie zatrzymała – podkreśla.

Jej córka wyprowadziła się dawno temu, a mąż zmarł w 2010 r. Mieszkanie ogromne jak na jej potrzeby, więc pojawił się pomysł, aby zamienić je na jakiś domek pod Gdańskiem. Ale pani Krystyna nie chce o tym słyszeć.

– „Czyś ty oszalała?”, powiedziałam. Ja uwielbiam ludzi, a tam co: oprę się o parapet i będę patrzyła, jak myszki biegają? Serdecznie dziękuję. Tutaj dorastała moja córka i urodził się mój ukochany wnuk, tutaj przeżyliśmy z mężem najpiękniejsze chwile. Na nic falowca nie zamienię – podsumowuje pani Krystyna.

→ Pani Wioletta z kolei wprowadziła się z rodzicami do falowca w 1972 r. Mając siedem lat, zasiłowała armię dzieciaków, które większość czasu spędzały „pod balkonami”, czyli po tylnej stronie budynku.

– Bardzo dobrze wspominam dzieciństwo! Byłam jednym z setek dzieci, które od rana do wieczora latały między placami zabaw. Zanim skończyli budować wszystkie zjeżdżalnie, to zimą np. wykoryzowywaliśmy zamrożone góry z piasku czy materiałów budowlanych i zjeżdżaliśmy na sankach. A gdy byliśmy starsi, to grupkami chodziliśmy na plażę, niespełna dwa kilometry. Dla dzieci ta lokalizacja była wspaniała – twierdzi pani Wioletta.

Gdy dorosła, wyprowadziła się od rodziców i razem z mężem zamieszkała kilka klatek obok. Okoliczności były na tyle sprzyjające, że do dzisiaj mieszkała już w trzech różnych mieszkaniach falowca (kolejno: 38, 46 i 70 m²). Aktualnie rezydują na dziewiątym piętrze, a Grzegorz, mąż pani Wioletty, śmieje się, że przez jej lokalny patriotyzm chyba nigdy nie opuszcza falowca.

Gdzie się podziały karaluchy

Obiegowa opinia na temat budynku jest jednak daleka od pochlebnej. Na forach internetowych, szczególnie dotyczących wynajmu mieszkań, przewijają się oskarżenia o brud, karaluchy, kradzieże i porównania do „ludzkiego mrowiska”. Koronne argumenty – ścisk, brak prywatności i „dziadostwo z PRL-u”, gdzie wszyscy „siedzą sobie na głowach” – są jednak, zdaniem pani Wioletty, niesprawiedliwe.

– Falowcom zarzuca się brak intymności, bo mieszka tyle ludzi w jednym miejscu. Gdy bywam u rodziny czy znajomych w nowych budynkach, to nieraz się skarżą, że słyszą, jak sąsiad za ścianą spuszcza wodę albo robi gorsze rzeczy. Nie wiem, może mam farta, ale całe życie mieszkam w falcu, a nigdy żaden sąsiad nie przyszedł do mnie z awanturą. Powiem więcej: znajomi sami proszą, abym zrobiła sylwestra, „bo u ciebie nie ma problemu z głośnością”. Najbardziej jednak nie lubię tematu karaluchów. Prusaki zniknęły wiele lat temu, gdy zlikwidowano zsypy na śmieci. W każdym bloku w mieszkaniach, które sąsiadowały ze zsypami, w końcu pojawiały się robaki, ale opinia przykleiła się tylko do falowca – podkreśla kobieta.

Współczesna deweloperka

jest często gorsza
niż osiedla socjalistyczne
– często projektowane tak,
by służyły
sąsiedzkiej wspólnotcie.

Wizerunkowi budynku na pewno nie pomagają przypadki samobójstw, których na przestrzeni lat było kilkanaście – ostatnie w lutym 2022 r. Zdaniem pani Wioletty, nie można jednak wystawiać oceny całemu blokowi za sprawą pojedynczych przypadków.

– Jestem sentymentalna i bardzo przeżywam, gdy ktoś pisze, że mieszkańcy falowca to margines czy patologia. Jak mogę, to komentuję i podkreślam, żeby nie generalizować. Spośród osób, które skoczyły, znałam dwie i obie chorowały. Kilka tysięcy ludzi to małe miasteczko, wszystko się może zdarzyć – podkreśla mieszkanka budynku.

Już jako dorosła kobieta pani Wioletta doświadczyła sąsiedzkiego życia falowca: – W 1986 r. wyszłam za mąż i pamiętam, że gdy szłam galeriami, to sąsiedzi wychodzili i gratulowali, ściskaliśmy się. Tak samo przy narodzinach dziecka: sąsiadki przychodziły pogratulować, jakieś drobne prezenciki przynosiły – wspomina.

Nieludzki standard

Ale pokolenie rodziców pani Wioletty odchodzi, ich mieszkania zaś idą na wynajem. Najczęściej trafiają do nich studenci i młodzi ludzie przyjeżdżający z mniejszych miejscowości. Czynsze są tu wyraźnie niższe niż w okolicy.

– Największe różnice w cenach widoczne są w sezonie letnim. Przykładowo wynajęcie mieszkania w falcu o powierzchni 46 m² kosztowało 300 zł za dobę. Tymczasem po drugiej stronie ulicy, na nowoczesnym osiedlu Cztery Oceany, już 500 zł – podsumowuje pani Wioletta.

Podobnie mówi Anna z piątego piętra. Morze zawsze było jej pasją, ale ponieważ nie dostała się na studia do Trójmiasta, architekturę kończyła w Kra-

kowie. Dopiero dzięki przebranżowieniu na programistkę spełniła marzenie o przeprowadzce. Przez trzy lata wynajmowała mieszkania w różnych częściach Gdańska. Twierdzi, że do decyzji o zapuszczeniu korzeni na północy skłoniły ją trzy rzeczy: natura, krajobraz i skrajnie niekorzystny rynek wynajmu gdzie indziej.

Wysokość jej mieszkania to 2,4 metra, co tworzy wrażenie klitki, ale ponieważ Anna nie ma nawet 160 cm wzrostu, kompletnie jej to nie przeszkadza. Po długim i skomplikowanym remoncie zamieszkała w falcu w lipcu 2021 r. Mieszkanie kupiła za 325 tys. zł, ponieważ było jednym z tańszych w okolicy. Z ciekawości co jakiś czas sprawdza oferty w pobliżu. Patrząc na ceny żałuje, że nie podjęła decyzji szybciej.

– Rynek rynkiem, inflacja inflacją, ale na podbijanie cen ma wpływ także obecność luksusowych osiedli. Tam jest generalnie dramat, mieszkania po kilkanaście tysięcy za metr. To już nawet nie jest warszawski standard, to nieludzki standard. Gdy miałam do wyboru mieszkanie w falcu o przyzwoitym metrażu a luksusową komórkę pod schodami, decyzja stała się oczywista – twierdzi Anna.

Hardkor beton

Praktycznie od pierwszego dnia Anna konfrontuje opinie na temat falowca z własnymi doświadczeniami. Najczęściej obala legendy dotyczące insektów, kradzieży czy przemocy, chociaż parę kwestii, jej zdaniem, należałoby rozwiązać.

– Zdarzają się spięcia, szczególnie latem, gdy ktoś przeleje roślinki na balkon i naleje sąsiadowi na głowę. Dźwięki niosą się po pionie: jak wszyscy mają po otwierane okna, to może być problem, gdy ktoś zorganizuje wieczorem imprezę. Ale odkąd zakodowałam sobie, że o godz. 22 zamykam balkon i okna, nic mi nie przeszkadza – mówi kobieta.

Jej zdaniem rozmiary falowca nie pozwalają stworzyć dobrze zorganizowanej wspólnoty. Niby jest grupa na Facebooku, która ma niespełna 1500 członków, a jednak nie ma wspólnej mobilizacji, by wywalczyć np. remont elewacji.

Jako architektka Anna podkreśla, że falowiec jest specyficznym budynkiem. Dopiero na miejscu dowiedziała się, że nie może mieć prądu trójfazowego, co

wyklucza kuchenki indukcyjne. Twierdzi, że remont zajął tyle czasu, ponieważ musiała kuć ściany i wymieniać całą elektrykę.

– Każdą ingerencję na wszelki wypadek konsultowałam z konstruktorem, który mi powiedział, że mogę zburzyć nawet ścianę działową, ponieważ falowiec to „hardkor beton”. Nie zmienia to jednak faktu, że bez dbania ze strony administracji budynek będzie się coraz mocniej sypał – podkreśla Anna.

Co do mikroświata, który wyrósł wokół falowca, to jej zdaniem najłatwiej go dostrzec z perspektywy wystroju. Szczególnie od strony balkonów.

– Mamy tu wiele przykładów samowolki: widać, co kto sobie zamurował, wstawił okna, które kompletnie nie pasują, czy obkleił balkon boazerią. Moim zdaniem to smutne, bo nasz falowiec ma duży potencjał estetyczny, a miejscami wygląda jak architektoniczny maszkaron – twierdzi Anna.

Widok z okna

Wielu myśli, że falowiec to przykład patodeweloperki z PRL-u. Ale Anna stara się udowodnić, że „straszydło epoki socjalizmu” jest znacznie bardziej przyjazne do życia niż dzisiejsze apartamenty.

– Moim największym zaskoczeniem były galerie, którymi wchodzi się do mieszkań. Z czasem zauważyłam, że to bardzo praktyczne, chociażby pogodowo. Wiele razy udało mi się uniknąć błędów ubraniowych, bo cofałam się po kurtkę czy parasol. Gdybym wyszła już z bloku, na pewno nie chciałoby mi się wracać – śmieje się.

Anna przyznaje, że dla kogoś, kto mieszkał np. w domu jednorodzinnym, przeprowadzka do falowca może być szokiem. Ale ponieważ spędziła całe życie w blokach i kamienicach, nie miała wrażenia „zamknięcia w puszczy” i z czasem zaczęła dostrzegać praktyczne funkcje budynku.

– Wszystkie mieszkania są od strony południowej, dzięki czemu mają sprawiedliwy podział światła. Nawet najmniejsze kawalerki na parterze mają balkon. Myślę, że architekci myśleli o tym, żeby się ludziom dobrze żyło, a nie chcieli wycisnąć jak najwięcej mieszkań z tej przestrzeni. Dzięki temu za oknem mam drzewa, a ci z apartamentowców gapią się sobie w okna – podsumowuje Anna.

Rdzeń nowoczesności

W ciągu półwiecza społeczny odbiór falowca przy Obrońców Wybrzeża mocno się zmieniał. Z czasem zaczęły dominować negatywne oceny, ale gdy powstał, budził pozytywne emocje. W tamtych czasach architekturę modernistyczną uznawano w Polsce za przejaw nowoczesności.

– Zmiany w polskiej architekturze są powiązane z odwilżą po śmierci Stalina, gdy szybko zaczęto odchodzić od sztywnego socrealizmu na wzór sowiecki, który był tworem sztucznym i narzuconym urzędowo. Dziś to może dziwić, ale nowoczesne osiedla, w tym Przymorze z falowcami, były odbierane z entuzjazmem jako zwrot w kierunku zachodnim; wreszcie mogliśmy projektować i budować tak jak Holendrzy, Francuzi czy Skandynawowie. A jądrem architektury modernistycznej na Zachodzie, już w okresie międzywojennym, była właśnie tzw. mieszkaniówka. Architektoniczni reformatorzy chcieli budować porządne domy dla zwykłego człowieka – mówi dr hab. Jacek Friedrich, historyk sztuki i dyrektor Muzeum Narodowego w Gdańsku.

Friedrich podkreśla, że falowce są też przykładem zmian, jakie zachodziły w architekturze mieszkaniowej modernizmu. Początkowo nowoczesne osiedla były skrojone na ludzką miarę: niewysokie i na ogół kameralne. Z czasem jednak europejscy architekci pozazdrościli Ameryce rozmachu i zaczęli projektować gigantyczne wielopiętrowe bloki.

– Moim zdaniem to właśnie przeskalowanie sprawiło, że pozytywnie kojarzone osiedla zaczęły zamieniać się w otoczone czarną legendą „blokowiska”. Gdy nałożyły się na to jeszcze przemiany społeczno-ekonomiczne po roku 1989, z czasem wytworzył się ów powszechny negatywny odbiór osiedli socjalistycznych – podkreśla profesor.

Tym, co – zdaniem Friedricha – przemawia na korzyść nie tylko falowców, ale w ogóle osiedli PRL-owskich, jest ich jakość urbanistyczna. O osiedlu myślano całościowo, projektowano szkoły, żłobki, przedszkola, sklepy, boiska, punkty rekreacyjne, place zabaw i uporządkowaną zieleni. W realiach socjalistycznej gospodarki niedoboru nie zawsze udawało się w pełni zrealizować ambitne plany: priorytetem zawsze były mieszkania, a resztę odkładano na później. Nawet wówczas zostawiano jednak przestrzenną rezerwę, by móc wrócić do pierwotnych projektów.

Gdańskie Przymorze jest tu dobrym przykładem. Niestety, gdy zaczął się posttransformacyjny boom budowlany, na place, które w zamyśle miały służyć sąsiedzkiej wspólnotcie, weszli deweloperzy. Balansując na granicy przepisów, a na pewno na granicy urbanistycznej przyzwyczajeni, zaczęli nasycać te przestrzenie kolejnymi budynkami.

– Z punktu widzenia standardów mieszkaniowych współczesna deweloperka jest często gorsza niż osiedla socjalistyczne. W PRL-u np. nie do pomyślenia było, żeby korytarz budynku nie miał dostępu do światła naturalnego. Dziś coraz częściej spotyka się oświetlenie wyłącznie elektryczne. A to tylko jeden z przykładów. Przede wszystkim współczesne osiedla są niesamowicie zagęszczone, a ich infrastruktura „wspólnotowa” jest uboga i chaotyczna. Myślę, że zamiast krytykować socjalistyczne blokowiska, warto przyglądać się temu, jak wygląda dzisiejsze budownictwo. Wtedy starano się budować bloki daleko od siebie, oddzielać je zielenią. A teraz? Zabudowa cztery metry od granicy działki, wieżowce budowane okno w okno? Przecież to dopiero życie jak w puszczy – podsumowuje prof. Friedrich.

© DAMIAN NOWICKI

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy - Mokotowa w II Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt II Ns 298/22 toczy się postępowanie z wniosku Piotra Wiśniewskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Bogdanie Józefie Wiśniewskim, s. Marcina i Ireny, zm. 27 marca 2022 roku w Milanówku, ostatnio stale przed śmiercią zamieszkałym w Warszawie przy ul. Stefana Bryły 3 m. 485.

Wzywa się, aby spadkobiercy wskazanej osoby w ciągu trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla Warszawy - Mokotowa w Warszawie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński: Wszystko jest jawne



WSZYSTKO JEST JAWNE. ZARÓWNO SKŁAD osobowy tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos – wśród gości byli m.in. Bill Gates, szefowie Amazona, JP Morgan Chase, Pfizera, Moderny, przewodniczący Komisji Europejskiej, sekretarz generalny NATO, szefowie FBI i MI6, dziennikarze „New York Timesa” i „The Wall Street Journal” (akurat tym razem nie dojechał George Soros, bo coś mu wypadło). Jak i pełna lista podmiotów finansujących organizatora – czyli fundację prowadzoną przez Klausa Schwaba – na której znajdują się np. Coca Cola, Saudi Aramco, Shell, Chevron, BP, Google, Facebook, AstraZeneca, Pfizer, Moderna, Microsoft i Apple. Oraz skład rady nadzorczej, w której zasiada m.in. Mark Schneider, CEO firmy Nestlé. Obrady tych znamienitych przedstawicieli świata biznesu, mediów i polityki można było śledzić online w czasie rzeczywistym. Żadnych zatem tajemnic, żadnych niewidocznych konspiracji.

A jednak przed, po i w trakcie Światowego Forum Ekonomicznego konta twitterowe i facebookowe wszystkich szanujących się propagatorów teorii spiskowych rozgrzały się do czerwoności. Pisano o obradujących tam w skrytości przedstawicielach działającego od dawna globalnego rządu, a nawet o reptilianach pożywiających się ludzką krwią gdzieś w ciemnych alpejskich sztolniach. Nic nowego – już od pierwszego zjazdu w 1988 r. Forum jest wszak jednym z najbardziej znaczących punktów na zawiąklej mapie światowych spisków.

Jedna z moich ulubionych teorii spiskowych – czy raczej należałoby powiedzieć: metateorii – powiada, że teorie spiskowe nie tyle wydobywają na powierzchnię jakąś starannie ukrywaną prawdę, ile raczej skutecznie odwracają naszą uwagę od tego, co mamy wprost przed oczami. Zanim jeszcze w 2004 r. Samuel Huntington scharakteryzował pojęcie „człowieka Davos”, wszystkie specyficzności, które ten typ definiują, przedstawił nieodżałowany Christopher Lasch w swojej ostatniej wydanej za życia książce „Bunt elit”. „Nowe elity – twierdził – są u siebie tylko w drodze, *en route* na prestiżową konferencję, wielką galę z okazji otwarcia nowego oddziału sieci handlowej, międzynarodowy festiwal filmowy lub do jeszcze nieodkrytej miejscowości wczasowej. Ich spojrzenie na świat jest spojrzeniem turysty – i nie jest to perspektywa,

która mogłaby zachęcać do żarliwego przywiązania do demokracji” (przeł. Dobrosław Rodziewicz).

Kim są te nowe elity? To właśnie „ludzie Davos”, bywalcy Światowego Forum Ekonomicznego, o których Huntington, z dużym prawdopodobieństwem znający teksty Lascha, pisał, że narodowe ograniczenia traktują jak przeszkody, które szczęśliwie odchodzą w przeszłość. A rządy poszczególnych państw uważają wyłącznie za rezydualne dawnych dni, użyteczne o tyle, o ile umożliwiają im realizację ich własnych ponadnarodowych interesów.

Dla Lascha tego rodzaju zerwanie tożsamości pomiędzy elitami a przeciętnym obywatelem oznaczało poważny kryzys demokracji. Nie demokracja bowiem – podkreślał – a tworzenie, zabezpieczanie i rozbudowywanie nowych zupełnie struktur akumulacji prestiżu i kapitału są dzisiaj głównym celem tej formacji. Spotkania Światowego Forum Ekonomicznego są zaś dla jej rozwoju i ekspansji tym samym, czym szalka Petriego dla hodowli mikroorganizmów – środowiskiem wysoce dogodnym. Pisząc w 1993 r. „Bunt elit”, Lasch przewidywał – a pamiętajmy, że wówczas jeszcze w najlepsze królował optymizm spod znaku Fukuyamy, chętnie i z entuzjazmem zresztą przez „ludzi Davos” czytano – że w związku z buntem elit nadchodzi epoka załamania *status quo* i ekspansji populizmów. Czy się pomylił? No właśnie. Wszystko jest jawne.

Cóż, biorąc to pod uwagę, nie trzeba angażować spiskowej wyobraźni, żeby rozumieć fakt oczywisty: zgodnie z rozpoznaniem Lascha i Huntingtona, w przypadku Davos mamy do czynienia z wydarzeniem, którego uczestnicy i architekci podejmują decyzje mające służyć przede wszystkim reprezentowanym przez nich wielkim międzynarodowym korporacjom. Zgadza się to w pełni z logiką późnego kapitalizmu, zgadza się to z tym, o czym od lat piszą i mówią alarmujący o rosnących nierównościach ekonomicznych, od Thomasa Piketty'ego po Elżbietę Mączyńską.

A historii o wielkim światowym rządzie, reptiliańskich kształtach ukrywających się pod świetnie skrojonymi garniturami albo jakichś tajnych machinacjach rozpoczynających się wtedy, kiedy zatrzymują się wszystkie streamingi... no właśnie, co najwyżej skutecznie odwracają uwagę od tego, co widzieć gołym okiem. A mianowicie, że w polu ekonomiczno-polityczno-kulturowej władzy warunki dyktuje dzisiaj społeczność, która, jak to charakteryzowali Lasch i Huntington, stanowi autonomiczną klasę dbającą przede wszystkim o siebie.

Wedle najnowszego raportu organizacji Oxfam 1 proc. najbogatszych – to znaczy „ludzie Davos” – radykalnie wzbogacił się od czasu wybuchu pandemii, zgromadziwszy dwie trzecie całego majątku ludzkości. Wszystko jest jawne. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



W chwili najcięższej dla mojego narodu próby znalazłam się za granicą. Czy nie jest moim obowiązkiem dopowiedzieć wszystko do ostatniej kropki?

OKSANA ZABUŻKO

24 lutego 2022 roku ziemia zatrzęsała się od rosyjskich rakiet padających na Ukrainę. Czy świat zobaczył wreszcie w Rosji to, co od dawna widzą w niej Ukraińcy? W poruszającym i wnikliwym eseju Oksana Zabuzko pomaga nam zrozumieć sprawy, które dla naszych sąsiadów są oczywiste – że ta wojna nie zaczęła się ani w 2022, ani w 2014 roku, a także podsumowuje ostatnie miesiące, gdy stała się „pisarką w podróży”.

J U Ż W S P R Z E D A Ż Y

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Wydawnictwo
Agora

OTTO PIENE. GWIAZDY

22.01–25.06.
2023

Pawilon
Czterech Kopuł
Muzeum Sztuki
Współczesnej
Oddział Muzeum
Narodowego
we Wrocławiu
ul. Wystawowa 1

mnwr.pl



Muzeum Narodowe we Wrocławiu
jest instytucją kultury gromadzoną
przez Ministerstwo Kultury i
Dziedzictwa Narodowego

Patronat honorowy



Konsulat Generalny
Republiki Federalnej Niemiec
we Wrocławiu

Mecenas Muzeum Narodowego we Wrocławiu



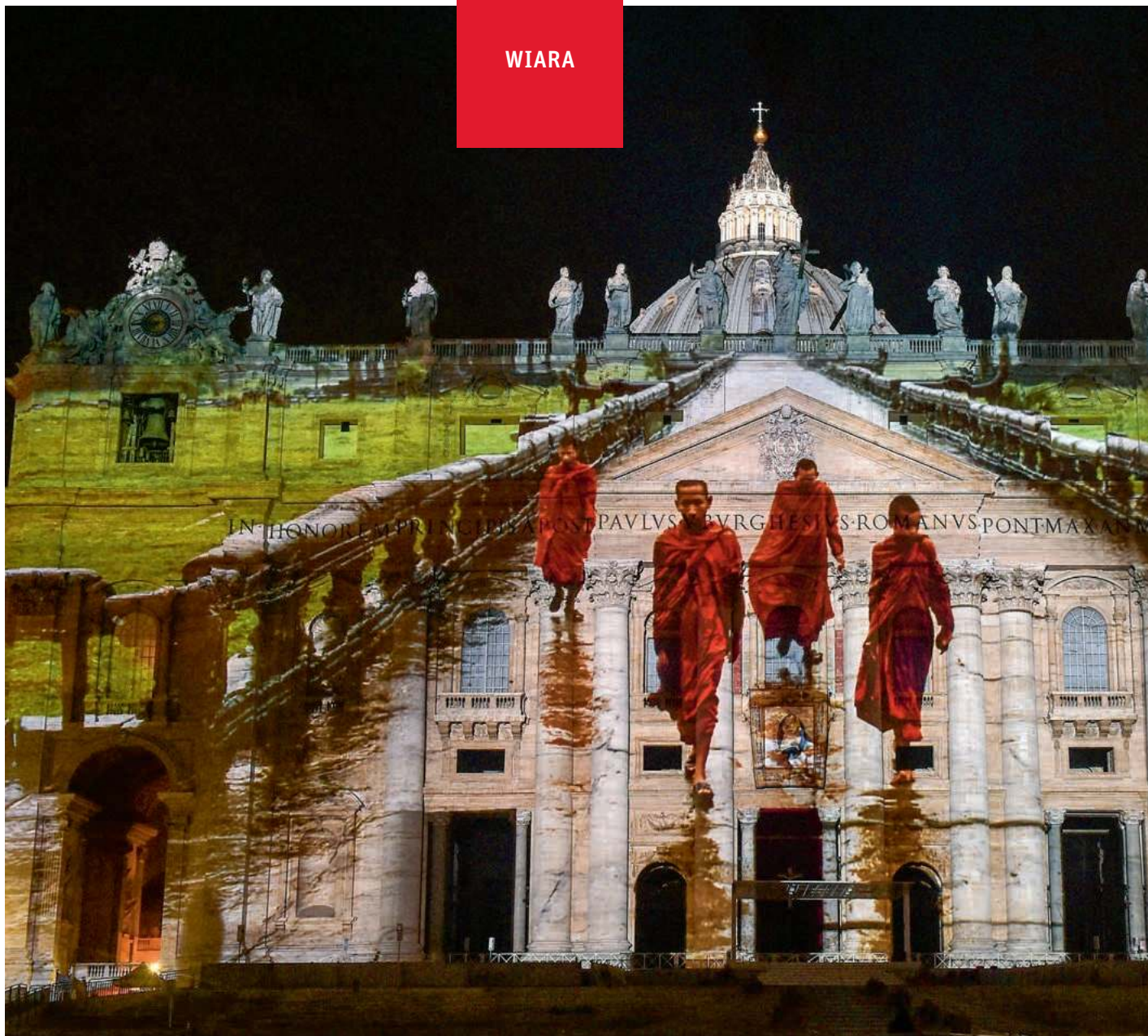
Bank Polski

Darczyńca



Patroni medialni





Projekcja „Fiat lux: Nasz wspólny dom” na frontonie bazyliki św. Piotra w Watykanie, grudzień 2015 r.

MIESZKAŃCY JEDNEGO OGRODU

KS. JOSHTROM KUREETHADAM, WATYKAŃSKI „MINISTER” DS. EKOLOGII:

Spotykałem ludzi, którzy mówili, że są pro-life,
a popierali prawo do posiadania broni,
karę śmierci czy ostrą politykę antyemigracyjną.



EDWARD AUGUSTYN: Co to jest ekologia integralna?

KS. JOSHTROM KUREETHADAM: To odpowiedź na kryzys, który przeżywa świat. Używamy tego terminu od siedmiu lat, od czasu opublikowania encykliki „Laudato si”, mówiącej nie tylko o ochronie środowiska i klimatu, jak się często uważa, ale też o trosce o wspólny dom – po grecku *oikos*. Papież Franciszek w encyklice przypomina nam wielokrotnie, że „wszystko na świecie jest ze sobą powiązane”. We wspólnym domu nie jesteśmy sami. Są z nami nasze siostry i bracia: zwierzęta, rośliny, przyroda nieożywiona. Wszyscy jesteśmy od siebie zależni.

Mówił już o tym św. Franciszek z Asyżu, 800 lat temu, nazywając swoimi siostrami i braćmi słońce, księżyc, wodę, ogień, kwiaty, zwierzęta.

Tytuł papieskiej encykliki pochodzi właśnie z „Pochwały stworzenia” św. Franciszka. „Laudato si” – „bądź pochwalony, mój Panie, ze wszystkimi twymi stworzeniami”. Zachwyt św. Franciszka z Asyżu nad każdym stworzeniem był zachwytem nad Tym, który je stworzył.

Ale jednak zanim św. Franciszek zobaczył Boga w ptakach i kwiatkach, spotkał go w trędowatym. Może człowiek jest ważniejszy?

Encyklika mówi nam, że mamy słyszeć krzyk Ziemi i krzyk człowieka biednego. Na tym polega ekologia integralna. To nie jest projekt przyrodniczy, ale społeczny. Nie jest biocentryczna czy kosmocentryczna, ale nie jest też antropocentryczna. Bo ani przyroda, ani kosmos, ani człowiek nie są Bogiem. Natomiast w każdym z nich Bóg nam się objawia – Stwórca w swoim stworzeniu. Ekologia integralna to nowe spojrzenie na świat i człowieka. Zmiana paradygmatu.

Na czym konkretnie ma ona polegać?

Dziś często uważamy Ziemię za przedmiot jednorazowego użycia. Albo myślimy, że wystarczy jej recykling i znów będzie się nadawała do użycia. A powinniśmy widzieć w niej dzieło Boga, cud stworzenia. Musimy inaczej patrzeć na przyrodę, las, rzekę, kwiaty, ale też na ludzi, naszych braci. Ograniczam konsumpcję, aby nie niszczyć środowiska, aby rozsądnie używać jego zasobów, ale też by dzielić się z innymi, bardziej potrzebującymi. Skoro wszyscy mieszkamy we wspólnym domu, to jesteśmy siostrami i braćmi. Encyklika „Fratelli tutti”, o powszechnym braterstwie, której tytuł też został wzięty z pism św. Franciszka, jest naturalną konsekwencją encykliki „Laudato si”.

Metafora wspólnego domu, który trzeba ratować, jest bardzo ładna. Tyle że dziś wielu ludzi musi martwić się o swoje nie metaforyczne, ale całkiem realne domy, obracane w ruinę przez bomby. Muszą myśleć o ratowaniu życia, własnego i bliskich, a nie o ochronie przyrody. Idea powszechnego braterstwa też się jakby nie przyjęła. Czy to dobry

czas, by mówić o ekologii, nawet integralnej?

Wojna w Ukrainie jest właśnie czasem wsłuchania się w krzyk tych, którzy zostali najbardziej skrzywdzeni, i skierowania ku nim naszej pomocy. Co w niczym nie przekreśla potrzeby mówienia o ratowaniu naszego wspólnego domu. Bo przecież, jak mówiłem, nie chodzi tu o ekologię w jej dotychczasowym rozumieniu – jako ochronę przyrody. Troska o wspólny dom jest też troską o człowieka.

Wojna, zarówno w Ukrainie, jak i w wielu miejscach na świecie, jest smutną rzeczywistością, przypominającą, że we wspólnym domu, w pięknym ogrodzie stworzonym przez Boga, jest też zło. Mieszka w nim również Kain. Pamiętamy tę opowieść z Księgi Rodzaju, gdy Bóg pyta Kaina, gdzie jest jego brat, Abel. A bratobójca odpowiada: czy jestem stróżem mojego brata? Bibliści zauważają, że autor użył tu słowa „stróż”, „opiekun”, które dwa rozdziały wcześniej odnosiło się do Adama i Ewy. Bóg umieścił ich w ogrodzie i kazał im opiekować się każdym stworzeniem. Dał człowiekowi dwojakie zadanie: opiekować się ziemią i drugim człowiekiem.

Do tej pory mówiono raczej, że kazał im panować nad całym stworzeniem.

To nieporozumienie, wynikające z niewłaściwej interpretacji słowa „panować”. Tego samego terminu Biblia używa, gdy mówi o panowaniu pasterza nad swoją trzodą, a to znaczy, że wyraża ono troskę i opiekę, a nie władzę. Pan jest dobrym pasterzem. Czy pasterz będzie niszczył pastwiska i źródła, z których korzysta jego stado?

Jest Ksiądz kosmologiem, a jako argument przytacza Ksiądz biblijną opowieść o stworzeniu świata.

Bo nieustannie ten tekst mnie zachwyca. Zwłaszcza intuicja, że człowiek został wprowadzony do ogrodu, gdy ten był już gotowy. Nie jest jego właścicielem ani twórcą. Adam i Ewa nie zostali stworzeni pierwszego dnia. Najpierw Bóg stworzył niebo, gwiazdy, ziemię, wodę, rośliny i zwierzęta. I dopiero gdy świat był gotowy, stworzył człowieka.

Ziemia powstała 4,5 miliarda lat temu. Minęły setki milionów lat, zanim pojawiły się pierwsze formy życia i cyjanobakterie wytwarzające tlen. Kolejne organizmy i gatunki powstawały przez →

→ następne 3 miliardy lat. Różnorodność biologiczna, jaką dziś znamy, to kwestia ostatnich 500 milionów lat. A człowiek, gatunek *Homo sapiens*, pojawił się dopiero wtedy, gdy ogród był gotowy. Jakies 200-300 tys. lat temu. Został do niego zaproszony, by się nim opiekować.

Niektórzy w tym ogrodzie dobrze się urządzili, wykorzystując prawie wszystkie jego zasoby. A teraz chcieliby, żeby wszyscy solidarnie płacili za zniszczenia. Co zrobić, by koszty naprawy świata ponosili ci, którzy go zepsuli?

Przedstawiciele państw rozwijających się mówią o tym na każdej międzynarodowej konferencji poświęconej kryzysowi klimatycznemu. Bardzo ostro postawili tę kwestię podczas ostatniego spotkania COP27 w Egipcie. Watykan jest po ich stronie. Kryzys klimatyczny, który obserwujemy, jest wynikiem emisji CO₂ przez ostatnie 100-150 lat. Ma początek w rewolucji przemysłowej, na której nie wszyscy jednakowo skorzystali. Nie można dziś mówić krajom biedniejszym, że nie wolno im się rozwijać, bo jest kryzys. Nauka ma narzędzia, by policzyć, w jakim stopniu każdy kraj czy blok państw przyczynił się do zanieczyszczenia świata. Jeśli wyrządziłeś szkodę sąsiadowi, bo wywołałeś pożar, który zniszczył jego dom, nie wystarczy powiedzieć: przepraszam. Ponośisz odpowiedzialność i powinieneś pokryć koszty naprawy szkody.

Biedni płacą największą cenę za kryzys, którego nie spowodowali. Amerykańskie dziecko już w pierwszym roku życia zużywa więcej zasobów energetycznych niż Tanzańczyk w ciągu całego swojego życia. W dodatku ci, którzy najwięcej niszczą, mają środki i możliwości, by się przed skutkami swoich działań zabezpieczyć. Czym innym jest huragan na Florydzie czy w Kalifornii, gdzie prawie wszystkie domy są ubezpieczone, a czym innym w Bangladeszu albo na małej wyspie, która nagle cała znajduje się pod wodą.

W Stanach Zjednoczonych też są ludzie, którzy nie mają ubezpieczenia i tracą w kataklizmach wszystko.

Oczywiście. Są tam też ludzie, którzy żyją na ulicach, i jest ich całkiem mało. Z kolei w Indiach, skąd pochodzę, mieszka jeden z najbogatszych ludzi w Azji. Ma w Mombaju 27-piętrowy



EDWARD AUGUSTYN

JOSTROM KUREETHADAM

jest salezjaninem, profesorem filozofii nauki oraz dyrektorem Instytutu Nauk Społecznych i Politycznych na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim w Rzymie. Od 2017 r. pełni funkcję watykańskiego „ministra” ekologii, kierując sekcją „ekologia i stworzenie” w Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka.

dom, tylko dla siebie, swoich dwóch żon i trójki dzieci. A parę kilometrów dalej są największe slumsy w Azji, w których mieszka milion ludzi. Więc mówimy nie tylko o odpowiedzialności państw, ale i o odpowiedzialności osobistej.

Każdego z nas?

Każdego na taką miarę, na jaką go stać. Wielkim programom finansowanym przez najbogatsze państwa i osoby powinny towarzyszyć nasze działania, choćby najskromniejsze.

Czyli gasić światło, zakręcać wodę i nie jeść mięsa?

A przynajmniej ograniczać spożycie, zwłaszcza czerwonego. Przemysłowa hodowla bydła zużywa ogromne ilości wody. Na wyprodukowanie jednego kilograma wołowiny potrzeba 15 tys. litrów. A potem i tak dużą część jedzenia marnujemy w restauracjach i domach.

Papież Franciszek mówi w encyklice „Laudato si”, że każdy może przyczynić się do ratowania świata. Mówi o potrzebie małych gestów. Powiemy: kropla w morzu. Ale morze składa się właśnie z kropli, jak mówiła św. Teresa z Kalkuty.

Problem w tym, że sporo osób w żaden kryzys klimatyczny nie wierzy. Uważają go za lewacki wymysł albo spisek. Kto dziś wierzy nauce? Nie mówiąc o tym, że każda ze stron ma własnych naukowców.

Tu nie trzeba nikomu wierzyć, wystarczy otworzyć oczy. Nie trzeba pytać na-

ukowców, wystarczy porozmawiać z rolnikiem, który widzi, że nie ma już takich pór roku jak dawniej. W każdej strefie klimatycznej, choć niektóre narażone są bardziej. W Polsce był zawsze klimat umiarkowany. Teraz macie pogodowe skrajności – od upałów, jakich kiedyś nie było, przynajmniej w takiej częstotliwości, po nagłe, ulewne deszcze, powodujące powódzie. To są naprawdę proste rzeczy do zrozumienia.

Dodam tylko, że dla katolika, chrześcijanina, nie powinno być obojętne, że jego brat cierpi – w jakimkolwiek miejscu na świecie. Pamiętamy o słowach: byłem głodny, spragniony, chory, nagi... Cokolwiek uczyniliście jednemu z braci najmniejszych...

Jak przekonać Polaka czy Włocha, że Amazonia to także jego dom?

Wszystko jest ze sobą połączone. Gdy wycinamy las amazoński, niszczymy specyficzny mikroklimat. To wpływa na cykl klimatyczny na całej Ziemi. Stąd susze i powódzie w różnych miejscach świata. Tego lata byłem w Pakistanie. Najpierw było bardzo gorąco – przez 2-3 miesiące temperatura dochodziła do 50 stopni. Potem przyszyły ulewne deszcze i jedna trzecia populacji znalazła się pod wodą. Kryzys klimatyczny nie jest abstrakcyjnym problemem. Widzimy go na własne oczy.

Amazonia jest chyba szczególnie ważna dla papieża Franciszka?

Z nią wiąże się jego „nawrócenie ekologiczne”. Gdy jeszcze jako arcybiskup Buenos Aires jeździł na spotkania episkopatów Ameryki Łacińskiej, trochę się zżywał na biskupów brazylijskich, którzy bez przerwy mówili o Amazonii. Nie mógł tego zrozumieć. Czy Kościół nie ma innych problemów? Czy nie powinien zajmować się ewangelizacją? Dopiero gdy sam pojechał do Amazonii, spotkał mieszkających tam ludzi, zrozumiał, że zniszczenie lasu amazońskiego to nie tylko niszczenie przyrody. To zagłada ludności rdzennej.

Jak my możemy temu zapobiec?

Choćby zmieniając styl życia. Za wyłesianie Amazonii w 80 proc. odpowiada rolnictwo przemysłowe, głównie produkcja mięsa. Pozostałe 20 proc. to produkcja drewna. Z każdych 10 wyciętych drzew 7-8 trafia do Chin. Tam robi się z nich meble, które znów w 60-70 proc. idą do Eu-

ropy i Stanów Zjednoczonych. Najmniej z tego mięsa i drewna korzystają oczywiście sami mieszkańcy Amazonii.

Papież mówi też o Amazonii jako o zielonych płucach naszej planety.

Jeśli chodzi o tlen, ważniejsze są oceany. Plankton produkuje połowę tlenu dla świata. W dodatku jest pierwszym ogniwem morskiego łańcucha pokarmowego. Podniesienie temperatury mórz i oceanów, a przyjmują one 93 proc. ciepła, przyspiesza jego wymieranie i zagraża całemu cyklowi życia. Możemy mieszkać daleko od oceanu, ale jeśli tam zginie plankton, wszyscy będziemy pozbawieni tlenu.

Co zmieniła encyklika „Laudato si”?

Wiele osób, także spoza Kościoła, mówi o wpływie, jaki na nich wywarła. Gdy papież ją ogłosił w czerwcu 2015 r., sekretarz ONZ Ban Ki-Moon powiedział swoim współpracownikom, że dzięki niej na grudniowym szczycie w Paryżu uda się wreszcie podpisać porozumienie, o które starano się od 2009 r.

Papieska encyklika zmieniła myślenie o ekologii. Przedtem uważano ją za kaprys klasy średniej, która troszczy się o egzotyczne gatunki, a los umierających w Afryce dzieci jej nie interesuje. Papież mówi, że ekologia integralna jest tak ważna, jak adoracja Jezusa w Eucharystii. Bo jest adoracją Boga w jego stworzeniu.

Nie wszyscy potrafią to przyjąć.

W Stanach Zjednoczonych spotykałem ludzi, którzy mówili, że są pro-life, a popierali prawo do posiadania broni, karę śmierci czy ostrą politykę antyemigracyjną. A z drugiej strony byli zwo-

lennicy pro-choice i praw obywatelskich, którzy chcieliby pozbawić nienarodzone dziecko prawa najbardziej podstawowego: do życia. Papież mówi o trosce o każdego człowieka: biednego, chrego, imigranta, nienarodzonego dziecka. Spory ideologiczne, typowe dla lat 80. i 90. XX w., ma dawno za sobą. My też musimy się od nich uwolnić.

Może świat przejął się encykliką bardziej niż Kościół?

Wiele pracy przed nami, by ekologia integralna trafiła do parafii. Co roku przez ponad miesiąc, od 1 września do 4 października, obchodzimy w Kościele „Czas stworzenia”. W ilu parafiach o tym słyszemy? Naszym pierwszym zadaniem jest ukształtować księży, a do tego musimy mieć przygotowane kadry, które będą uczyć w seminariach duchownych. W Rzymie uruchomiliśmy międzywydziałowe studia z ekologii integralnej, do których przystąpiło 15 wydziałów uniwersyteckich, w tym siedem uczelni papieskich.

W 2018 r., trzy lata po opublikowaniu encykliki, rozpoczęliśmy prace nad platformą internetową Laudato si, do której zapraszamy nie tylko parafie i diecezje, ale też rodziny, grupy, organizacje, szkoły i uniwersytety, szpitale i ośrodki zdrowia, biznes, przedsiębiorstwa rolne. Już dołączyło prawie 200 uniwersytetów z całego świata, w tym kilka bardzo znanych, jak Georgetown w Waszyngtonie, Loyola w Chicago czy uniwersytet w Manili na Filipinach. Te uczelnie pod wpływem encykliki papieskiej zmodyfikowały programy nauczania nie tylko teologii czy filozofii przyrody, ale też na kierunkach inżynierskich czy medycznych.

A jakie było Księdza nawrócenie ekologiczne?

Zajmowałem się naukowo kosmologią, więc od zawsze byłem wrażliwy na kwestie ekologiczne. Jednak prawdziwe nawrócenie, oznaczające zmianę paradygmatu, przeżyłem dużo później. Byłem już dziekanem salezjańskiego centrum filozofii, gdzie studiowali klerycy, zakonnice i osoby świeckie. Wakacje i święta spędzałem w okolicznych wioskach, żeby nauczyć się miejscowego języka i poznać warunki życia ludności. W jednej wsi, do której przyjeżdżałem, była mała dziewczynka, bardzo inteligentna. Miała na imię Vijayalakshmi. Uczyla mnie lokalnego języka ze swoich szkolnych podręczników. Bardzo ją polubiłem, może dlatego, że była półsierotą – bardzo wcześnie straciła matkę.

Mieszkańcy tej wsi co jakiś czas odwiedzali mnie w seminarium, gdy przyjeżdżali do miasta. Przychodzili na kawę, opowiadali, co u nich słychać. Pewnego dnia powiedzieli mi, że ojciec tej dziewczynki popełnił samobójstwo. Był rolnikiem, wziął pożyczkę na ziarno, jak wszyscy biedacy. Przyszła susza, nic nie udało się zebrać, w kolejnym roku sytuacja się powtórzyła. Dług rósł, mężczyzna nie był w stanie go spłacić. Widział tylko jeden sposób uwolnienia rodziny od problemów – prawo mówi, że po śmierci kredytobiorcy bank musi anulować kredyt. W Indiach każdego roku z tego powodu popełnia samobójstwo wielu biedaków. Wiedziałem o tym, ale dopiero śmierć tego człowieka dotknęła mnie do głębi. Zrozumiałem, że zmiany klimatyczne to nie jest abstrakcyjny czy naukowy problem. To kwestia życia lub śmierci.

©® Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **WARSZAWA**, czwartek 26 stycznia, warsztaty „Dialog mimo różnic. Doświadczenie rozmowy w Kregu Dialogowym” / stacjonarne /
- **GRUDZIĄDZ**, poniedziałek 30 stycznia, klubowe śniadanie, spotkanie integracyjne / stacjonarne /

- **ZIELONA GÓRA**, wtorek 31 stycznia, dyskusja po pokazach filmowych „Ukraińcy, jak jesteście? Ukraińcy, jacy jesteście?” / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA**, środa 1 lutego, oprowadzanie kuratorskie po wystawie „Jerzy Nowosielski, Stanisław Niemczyk – spotkanie” / stacjonarne /
- **ŁÓDŹ**, sobota 4 lutego, benefis Zdzisława Bolanowskiego (architekta, malarza, projektanta) / stacjonarne /



KLUB TYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



Tajemnicza droga Opatrzności

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Dialog z islamem jest jednym ze strategicznych celów pontyfikatu Franciszka. Jednocześnie religia ta jest trudnym wyzwaniem dla chrześcijańskiej teologii.

NIE MA GŁĘBSZEGO NIŻ ISLAM PROBLEMU dla teologicznego myślenia Kościoła na temat religii niechrześcijańskich. Judaizm od niedawna postrzegany jest jako korzeń chrześcijaństwa, religia o wspólnych źródłach, świadectwo wierności Boga, który nigdy nie rezygnuje z własnego przymierza. „Dary łaski i wezwanie Boże są nieodwołalne” (Rz 11, 29) – pisał przecież jasno św. Paweł, a wcześniej wskazywał, że na końcu czasów „cały Izrael będzie zbawiony” (Rz 11, 26). Teologia chrześcijańska, choć przez wieki głosiła, że Żydzi nie są już narodem wybranym, a sam judaizm nie jest kontynuacją religii żydowskiej, miała zatem na czym oprzeć nową, odmienną interpretację.

Inne religie niechrześcijańskie, szczególnie te, które połączone są z głębokimi systemami filozoficznymi, także można wpisać w myślenie teologiczne i uznać je za *praeparatio evangelica* (przygotowanie do Ewangelii) albo wskazywać na „ziarna prawdy” rozsiane po tekstach i wierzeniach innych ludów. Mogą one prowadzić do Boga chrześcijan lub przynajmniej pomagać w budowaniu autentycznej religijności i życia moralnego, które – poprzez wierność sumieniu – zwraca się ku prawdziwemu Bogu.

Z islamem sprawa jest o wiele trudniejsza. Religia ta bowiem czerpie obficie z tekstów i głębokich przekonań zarówno judaizmu, jak i chrześcijaństwa, przetwarza najważniejsze prawdy, sym-

bole i opowieści Starego i Nowego Testamentu, nadając im odmienne znaczenia, a niekiedy zmieniając treść. Wreszcie kolonizuje samo chrześcijaństwo (judaizm także), wpisując je we własny system uniwersalizmu, unieważniając je i czyniąc z samego siebie wypełnienie częściowych prawd, jakie niosły ze sobą tamte wcześniejsze od niego religie.

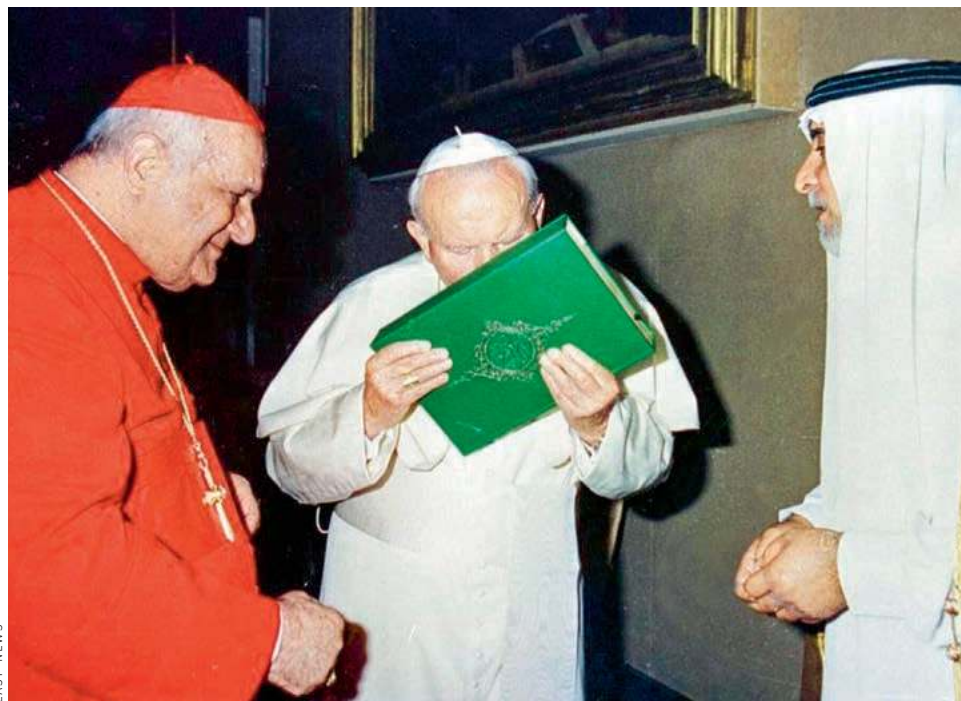
I tak chrześcijaństwo i judaizm stają się w islamie „religiami Księgi”, które niosły do czasów „ostatniego z proroków” prawdziwe przesłanie Boga do człowieka. Abraham i Mojżesz, a także narodzony z dziewicy Maryi Jezus są prorokami, którzy jednak nie byli w stanie przekazać Bożego objawienia w całości tak, by nie zostało ono zafałszowane. Objawienie ostateczne dokonało się bowiem dopiero przez Mahometa, któremu objawiona została Święta Księga Koranu istniejąca odwiecznie w Bogu. Wszystko, co istotne, zawarte jest zatem w Koranie i islamie, a chrześcijaństwo – choć powinno pozostawać tolerowane – zawiera w sobie niebezpieczny fałsz, jakim jest wiara w Tróję Świętą (co Koran określa „dodaniem Bogu towarzyszy” i uznaje za jedną z form bałwochwalstwa). Islam oddaje cześć Jezusowi i Maryi, ale – na co wskazuje Jan Paweł II w „Przekroczyć próg nadziei” – nie ma w nim miejsca dla krzyża i zmartwychwstania. Jezus wspomniany jest jedynie jako prorok przygotowujący przyjście proroka Mahometa. Nie ma całego dramatu odkupienia. Dla-

tego nie tylko teologia, ale także antropologia islamu „tak bardzo różni się od antropologii chrześcijańskiej”. Te same postacie więc, w pewnym stopniu, zamiast łączyć, dzielą te dwie religie, nadane są im bowiem odmienne znaczenia.

Religijność naturalna

I albo jest tak, że to islam, jako religia późniejsza, ma rację, a posłanie proroka Isy (Jezusa) zostało zafałszowane przez jego uczniów, a Bóg ostatecznie objawił się Mahometowi, albo islam jest zaprzeczeniem najistotniejszych prawd chrześcijaństwa, i jako taki jest herezją lub religią antychrysta (bo zaprzecza boskiej godności Jezusa), albo jest chrześcijaństwem głęboko zdeformowanym. Takie właśnie postrzeganie islamu obecne było od samego początku w biznatyjskim chrześcijaństwie. Jako pierwszy – choć trwa spór o jego autorstwo dzieł krytykujących islam – miał wypowiedzieć się w tej kwestii św. Jan z Damaszku, który uważał Mahometa za „herolda Antychrysta”. Analogicznie postrzega Mahometa Teodor Abu Kurra, który uznaje go za „fałszywego proroka arianina”.

Jeszcze mocniej Mahometa i islam oceniał św. Tomasz z Akwinu. „Jako dowody prawdy zaś podawał tylko takie, które każdy średnio mądry człowiek może poznać rozumem przyrodzonym. Co więcej, prawdy, których nauczał, mieszał z wieloma bajkami i zupełnie błędnymi naukami. Nie ukazał też żadnych zna-



EAST NEWS

Jan Paweł II całuje Koran, Watykan, 22 maja 1999 r.

ków nadprzyrodzonych, które jedynie dają odpowiednie świadectwo natchnieniu Bożemu, gdyż działanie widzialne, takie jakie może pochodzić tylko od Boga, wykazuje, że nauczyciel prawdy otrzymuje natchnienie niewidzialne” (przeł. Zofia Włodek) – wskazał Akwinata. Jeśli próbować przetłumaczyć te słowa na język współczesności, można powiedzieć, że św. Tomasz uznał islam za religię zawierającą istotne elementy religijności naturalnej, która zostaje obudowana za fałszowanymi opowieściami religijnymi.

I, jeśli pominąć bardziej przyjazny islamowi ton, w istocie trzeba powiedzieć, że nawet po Soborze Watykańskim II to rozpoznanie szczególnie się nie zmieniło. „Kościół spogląda z szacunkiem również na mahometan, oddających cześć jednemu Bogu, żywemu i samoistnemu, miłosiernemu i wszechmocnemu, Stwórcy nieba i ziemi, Temu, który przemówił do ludzi; Jego nawet zakrytym postanowieniom całym sercem usiłują się podporządkować, tak jak podporządkował się Bogu Abraham, do którego wiara islamu chętnie nawiązuje. Jezusowi, którego nie uznają wprawdzie za Boga, oddają cześć jako prorokowi i czczą dziewicą Jego Matkę Maryję, a nieraz pobożnie Ją nawet wzywają. Ponadto oczekują dnia sądu, w którym Bóg będzie wymierzał sprawiedliwość wszystkim ludziom wskrzeszonym z martwych. Z tego powodu cenią życie moralne i oddają Bogu cześć głównie przez modlitwę, jałmużny i post. Jeżeli więc w ciągu wieków wiele powstało sporów i wrogości między chrześcijanami i mahometanami, święty Sobór

wzywa wszystkich, aby wymazując z pamięci przeszłość szczerze pracowali nad zrozumieniem wzajemnym i w interesie całej ludzkości wspólnie strzegli i rozwijali sprawiedliwość społeczną, dobra moralne oraz pokój i wolność” – napisali autorzy soborowi w deklaracji „Nostra aetate”.

Dialog dla współpracy

Co wynika z tego tekstu? Uznanie wiary w tego samego Boga, szacunek dla naturalnych i pozytywnych elementów muzułmańskiej religijności, a także wskazanie na te elementy, które islam zaczerpnął z chrześcijaństwa i które są nam wspólne. I paradoksalnie, choć papież wielokrotnie wypowiadali się później na temat islamu, to niewiele się w takim jego postrzeganiu zmieniło. „Wierzmy w tego samego Boga, w Boga żywego, w Boga, który stworzył świat i doprowadza swe stworzenia do ich doskonałości” – mówił Jan Paweł II w przemówieniu do młodych Marokańczyków z 1985 r. Benedykt XVI do tej wspólnoty wiary w tego samego Boga dodał świadomość braterstwa, jaka może z tego wynikać. „Wszyscy, chrześcijanie, żydzi i muzułmanie, jesteśmy dziećmi jednego Ojca i powinniśmy jednoczyć się coraz bardziej w wierze Abrahamowej” – mówił podczas pielgrzymki do Turcji.

Franciszek, i to od samego początku pontyfikatu, skupia się na budowaniu pokoju międzyreligijnego. Islam, także od samego początku, pozostaje w centrum tych starań. Walka z każdym rodzajem fundamentalizmu, podkreślenie znaczenia wiary i religii dla budowania przestrzeni

dialogu są istotnym elementem nauczania papieskiego. „Bóg pokoju nigdy nie prowadzi do wojny, nigdy nie nawołuje do nienawiści, nigdy nie skłania do przemocy. A my, którzy w Niego wierzymy, jesteśmy powołani do krzewienia pokoju za pomocą narzędzi pokoju, takich jak spotkanie, cierpliwe negocjacje i dialog, który jest tlenem współistnienia” – mówił papież do islamskich starszych podczas pielgrzymki do Bahrajnu w ubiegłym roku. To właśnie pokój (a niekiedy wyłącznie) jest jego centralnym punktem budowania współpracy z wyznawcami islamu.

Jan Paweł II również nie wychodził poza spojrzenie na islam jako na sojusznika Kościoła w walce z laicyzacją, depopulacją i postępującym materializmem. „Modlitwa, jałmużna i post są wysoko cenione w obu naszych tradycjach i stanowią niewątpliwie wspaniałe świadectwo wobec świata, któremu zagraża niebezpieczeństwo pochłonięcia przez materializm” – wskazywał św. Jan Paweł II w przemówieniu do przywódców muzułmańskich w Nairobi 7 maja 1980 r. Dwa lata później w Nigerii papież przypominał, że muzułmanie i chrześcijanie mogą też wspólnie walczyć o rodzinę.

Gesty ponad słowami

Współpraca z islamem w osiągnięciu rozmaitych celów politycznych czy społecznych, a także podkreślanie wiary w tego samego Boga nie wyczerpuje jednak tego, co kolejni papieże przekazują nam w odniesieniu do islamu. Od słów i teologicznych tez bowiem istotniejsze są w przypadku islamu gesty. I tak Jan Paweł II ucałował Koran (14 maja 1999 r.), Benedykt XVI położył rękę na Koranie, modląc się w stronę Mekki w Błękitnym Meczezie w Istambule 30 listopada 2006 r. W tym samym Błękitnym Meczezie modlił się w ciszy także Franciszek, który wskazywał, że cześć oddawana jednemu Bogu łączy chrześcijan i muzułmanów.

Co oznaczają te gesty i słowa? Papież nie wypracował do nich teologii i nie wydaje się, by była ona w najbliższym czasie możliwa do wypracowania w wymiarze doktrynalnym. Islam pozostaje dla chrześcijaństwa problemem niezmiernie trudnym, przypisuje sobie bowiem dokładnie te same cechy (uniwersalizm, ostateczność objawienia, a nawet uznaje się za ostateczną pełnię), jakimi chrześcijaństwo określa się w odniesieniu do judaizmu, a jednocześnie jest w wielu kwestiach →

Do Boga prowadzi wiele ścieżek

ŚWIADOMOŚĆ GŁĘBOKICH

różnic doktrynalnych pomiędzy religiami, w szczególności pomiędzy chrześcijaństwem a islamem, spowodowała, że na przełomie XX i XXI wieku rozwinęła się forma dialogu międzyreligijnego, którego celem było raczej wzajemne poznanie, zaprzyjaźnienie się i inspiracja – przy zachowaniu fundamentalnych różnic.

Tak działa powstała przy Uniwersytecie w Cambridge inicjatywa Scriptural Reasoning – uczestnicy (chrześcijanie, muzułmanie i żydzi) spotykają się i czytają wspólnie fragmenty z Biblii Hebrajskiej, Nowego Testamentu i Koranu jako ksiąg, które mogą inspirować i kształtować wiarę (inicjatywa funkcjonuje obecnie w kilkunastu krajach świata).

Podobnie działa też The Elijah Interfaith Institute, gromadzący liderów i „teologów” światowych religii. Taka forma dialogu zakłada, że do Boga prowadzi wiele dróg. Franciszek jest pierwszym papieżem, który założenie to uznał za zasadne w deklaracji z Abu Zabi (wystosowanej wspólnie z wielkim imamem Al-Azhar). © P. PIOTR SIKORA

→ radykalnie sprzeczny z Ewangelią. Wiele wskazuje więc na to, że jeszcze przez lata będziemy trwać w przestrzeni domysłów, podejrzeń i delikatnych przesunięć znaczeniowych.

Już teraz nie brakuje teologów, którzy sugerują, że Mahomet był kimś na wzór starotestamentowych protoprogów, którzy mieli odwiedzić bliskie mu ludy od bałwochwalstwa i doprowadzić je do monoteizmu. W takim myśleniu można by potraktować islam (a także zaratusztrianizm) jako swoiste preobjawienie. W przypadku zaratusztrianizmu, który powstał na wiele wieków przed objawieniem w Jezusie Chrystusie i w sposób niewątpliwy wpłynął na rozwój judaizmu, a pośrednio także chrześcijaństwa, takie jego traktowanie może być usprawiedliwione. Aby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do myśli Klemensa Aleksandryjskiego (150-215), który filozofię grecką uznawał za swoiste praobjawienie (nieco mniej istotne niż Stare Przymierze, ale jednak niezwykle ważne). „Jeśli więc powiadają, że Hellenowie przez czysty przypadek głosili pewne elementy prawdziwej filozofii, to jednak można ten przypadek uznać za wyraz Boskiego zarządu światem (...), a jeśli już zaszła pomyślna zbieżność okoliczności, to musiała być ona zamierzona z góry” – pisał Klemens Aleksandryjski w „Kobiercach” (przeł. J. Niemirska-Pliszczyńska). Islam z takiej perspektywy stałby się *praeparatio evangelica*, sposobem, w jakim ludy arabskie miałyby być przygotowane do monoteizmu.

Jeszcze inne podejście proponuje prawosławny teolog Olivier Clément, który w eseju „Wierność bez nadziei” stwierdza, że „niezależnie od obecnych trudności nie można nie uznać, że Koran oświecony jest autentycznym profetycznym światłem, a przede wszystkim oświecone są nim sury mekkańskie. Czyż nie jest to jakaś tajemnicza droga Opatrzności? Czy w tych tekstach nie daje się wyczuć »dotknięcia« Słowa?”.

To oczywiście radykalnie odmienne podejście, pozwalające inaczej spojrzeć na islam, ale i ono nie unieważnia fundamentalnych pytań o to, jaka jest natura duchowa objawień proroka Mahometa, jak traktować tę religię i jak prowadzić z nią głębszy dialog teologiczny niż tylko dialog życia.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI



Bóg w rozumieniu ustawy

JAKUB KRZYŚKA

Jesteśmy związkiem wyznaniowym ponad wszelką wątpliwość – przekonuje wspólnota religijna, która od dwóch lat stara się o rejestrację.

SALA W DOMU DŹWIĘKU NA POZNAŃskiej Wildzie. Nim zdążę powiedzieć, kim jestem, biorą mnie w objęcia. Piotr – pierwszy sui, sui Teresa i inni, kilkanaście osób. Sui to osoba duchowna, zgodnie ze statutem Rodu Przy-Jaźni.

– Po co to robimy? Żeby ludzie byli bliżej Jaźni. Żeby było więcej miłości i wdzięczności. Robimy wielką robotę dla dzielnic, Poznania, Polski i świata – podkreśla sui Teresa.

– Mamy swoją strukturę, nomenklaturę. Inaczej rozmawiamy, inaczej czujemy. Właściwie my bardziej czujemy,

niz kierujemy się rozumem – mówią inni sui. – Możemy się ze sobą nie zgadzać, ale nie próbujemy się nawzajem zmieniać. Poznajemy się, uwspólniamy swoje pole.

Częstują mnie Ogniem, Ziemią, Metalem, Wodą i Drzewem w filiżance czarnej kawy. Te pięć żywiołów to tworzywo świata, rodem z filozofii chińskiej. Symbolizują ciągły ruch, pięć elementów w cyklu rodzenia się i niszczenia. Kawa pięciu przemian topi powidok zimowego chłodu. Są też owoce, słodczyce. Kobiety siedzą na długiej sofie, mężczyźni na krzesłach. Z sufitu dochodzą



RÓD PRZY-JAŹNI / MATERIAŁY PRASOWE

*Piotr, pierwszy sui Rodu Przy-Jaźni,
i sui Tomasz przy pracy nad statutem.
Sierpień 2022 r.*

wych. Taki status umożliwia utrzymanie osobowości prawnej, zwolnienie z obowiązku odprowadzania podatku VAT oraz wsparcie z Funduszu Kościelnego przy opłacaniu składek ZUS.

Większość tych związków wyznaniowych wywodzi się z chrześcijaństwa, tak jak Reformowany Kościół Katolicki, który po czterech latach prób uzyskał wpis w styczniu 2020 r. Od Kościoła rzymskokatolickiego różni go m.in. dopuszczenie do kapłaństwa nie tylko mężczyzn i pełna akceptacja osób LGBTQ+ z błogosławieniem par jedнопłciowych. Udzielane śluby mają charakter wyłącznie sakramentalny, nie niosą skutków prawnych, podobnie jak wielożenstwo w legalnych w Polsce wspólnotach muzułmańskich. Mimo to ów aspekt skłonił prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę do złożenia wniosku o wykreślenie Reformowanego Kościoła Katolickiego z rejestru. W październiku tego roku Wojewódzki Sąd Administracyjny uchylił decyzję ministra spraw wewnętrznych i administracji o stwierdzeniu nieważności wpisu do rejestru.

Ród Przy-Jaźni o rejestrację stara się od ponad dwóch lat. 13 października 2020 r. do MSWiA trafił ich wniosek o wpis do rejestru. Zgodnie z wymaganiami ustawy z dnia 17 maja 1989 r. o gwarancjach wolności sumienia i wyznania do wniosku dołączono statut, listę ponad stu osób deklarujących utworzenie związku wyznaniowego, informację o dotychczasowych formach życia religijnego i metodach działania, w której opisano cele, źródła i zasady doktrynalne oraz obrzędy religijne.

W dokumentach rejestrowych Ród przedstawił swoją „siłę wyższą”. Bogiem i *sacrum* dla Rodu jest Jaźń niemająca charakteru osobowego. Wspólnota dąży do działania na jak najwyższych wibracjach, zestrojonych z częstotliwością Jaźni, czyli Absolutu. Jaźń jest całością, manifestującą się w różnych przejawach, czyli również poprzez każdą osobę ze wspólnoty, a jedność z Jaźnią jest celem ich wiary.

Ministerstwo nie przychyliło się do wniosku. 25 stycznia 2021 r. umorzono postępowanie w sprawie wpisu. Powołano się m.in. na wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego z 23 stycznia 1998 r.,

w którym pojawia się definicja Kościoła i religii jako szczególnego związku między człowiekiem a Bogiem, będącym *sacrum*, świętością.

W działaniu i statucie Rodu Przy-Jaźni nie dopatrzonego się Boga, który pozwoliłby na rejestrację w rozumieniu art. 30 ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania. W uzasadnieniu umorzenia wpisu wskazano na brak wyraźnej doktryny religijnej, która winna wyjaśniać świat i nadawać sens działaniu człowieka. Wymogiem ministerstwa są też jasne dogmaty wiary, szczegółowe zasady kultu, liturgii, posług religijnych. Podkreślono, że nie istnieje przepis prawa uzależniający prowadzenie działalności religijnej od uzyskania wpisu w rejestrze, Ród Przy-Jaźni zatem może działać jako stowarzyszenie. Jednocześnie urzędnicy podają, że formuła Kościoła i innego związku wyznaniowego przewidziana została przede wszystkim dla realizacji wolności sumienia i religii, zgodnie z art. 53 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.

Ród złożył wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy. Piotr Pulwicki, pierwszy sui, pokazuje dokumenty, tłumaczy, dlaczego tworzą wspólnotę religijną. Nie zajmują się tym, co jest przypisane organizacjom pozarządowym czy działalności gospodarczej. W przekonaniu Rodu stowarzyszenie jest formą zrzeszania się osób mających zamierzenia ziemskie, materialne. Oni tymczasem swoją wiarę i działania kierują na cele wyższe – wielbienie Jaźni, która jest jedynym źródłem doskonałości. Wierzą, że przez podwyższanie własnych wibracji i oddziaływanie na wibracje innych, czyli nauczanie, oddają cześć Jaźni. Praca nad wibracjami to modlitwa uwielbienia, która, podobnie jak mantry w innych religiach, ma dostroić świadomość człowieka do harmonii świata.

Ród Przy-Jaźni widzi się w nowym nurcie duchowości, gdzie świętość jest opisywana inaczej i pełni odmienne funkcje niż w zachodnich tradycjach religijnych. Piotr ma nadzieję, że tym razem opis jest zgodny z prawem i odpowiedź powinna być pozytywna: – Dyskutowałem o tym z ekspertem z uczelni. Wszystko się zmienia, same religie też, więc podejdziecie do nich powinno być już inne. Te sztywne urzędowe normy są przestarzałe. Przecież spełniamy wymagania, mamy ceremoniał, a przede wszystkim mamy Jaźń. Przyjmujemy tych, którzy szukają wolności.

oszczędne tony dalekowschodniej mantry. Na piętrze odbywają się zajęcia – koncert mis i gongów oraz alchemia ruchu.

Dzisiaj trwa nadzwyczajne spotkanie Rodu Przy-Jaźni. Departament Wyznań Religijnych oraz Mniejszości Narodowych i Etnicznych ponownie przedłużył termin rozpoznania ich sprawy. Uczestnicząc jako wolny słuchacz, trwa dyskusja.

– Wydawało się, że nie było przeszkód, ale... do 28 października miała być decyzja. Znow przedłużyli – relacjonuje jeden z uczestników.

– Jesteśmy związkiem wyznaniowym ponad wszelką wątpliwość, ale trzeba to udowodnić, użyć argumentów – słyszę kolejny głos.

– Tam są ludzie, którzy nie wiedzą, nie czują. Nie możemy im tego mieć za złe. Po prostu mają za sobą inną historię niż my – diagnozuje sui Teresa – Wystarczy, że będziemy o tym pamiętać, że wytłumaczymy swoje przesłanie.

Wiara wymaga dogmatu

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji zarejestrowanych jest 171 Kościołów i innych związków wyznani-

Vibe Teresy

→ – Mamy piękne zapisy, niesamowicie piękne. Ale czy mamy je również w sercach? – Teresa nie ma wątpliwości, że najważniejsze jest to, co w sercu.

Osoby z Rodu Przy-Jaźni łączy chęć podwyższenia wibracji. Czym są wibracje? Teresa przekonuje, że każdy kiedyś ich doświadczył, psychicznie i fizycznie.

– To drgania, podwyższa je wdzięczność, radość i miłość – wyjaśnia powoli, z uśmiechem. – Zwiększając swoje wibracje, zmieniamy świat, jak motyl zmienia go przez ruch skrzydeł. Kiedy się uśmiechasz, uśmiecha się cały świat. Kiedy kochasz, kocha cały świat. Wnosimy swój wkład do sumy wszystkich wibracji. Wszechświat podsuwa nam niezliczone dary, możliwości i okazje, aby zbliżyć się do Jaźni, Boga, wszechogarniającej miłości. Tęsknota za bliskością do Jaźni, za bliskością ludzi, którzy czują podobnie, sprawiła, że wstąpiłam do Sui Kapituły.

Teresa jest skupiona na rozmowie, przed nią stygnie kawa – to jej żywioł, ale nie rusza filiżanki, choć lubi wypijać ich kilka w ciągu dnia. Członkowie kapituły twierdzą, że właśnie ona, gdyby tylko spotkała się z urzędnikami, mogłaby przekonać ministerstwo do Rodu Przy-Jaźni. Przeprowadzić dowód na istnienie Boga w Jaźni i uzasadnić potrzebę powołania w Polsce kolejnego Kościoła.

– Wychowałam się w rodzinie katolickiej. Z czasem zaczęły przeszkadzać mi blokady, bariery, na które trafiałam w tej religii. Mam wrażenie, że duchowni czasami uważają nas za bezmyślny motłoch. Nie powinniśmy myśleć, czuć, mamy tylko słuchać. Mówią nam, jacy jesteśmy grzeszni. My tymczasem jesteśmy piękni, wewnętrznie piękni. Mogliby powiedzieć o tym ludziom, uwznioślić ich. W Rodzie zależy nam, żeby człowiek nie czuł się źle, jeżeli ma inne potrzeby niż reszta ludzi. Ja czasem mam odmienne zdanie niż moja wspólnota, ale to mnie nie wyklucza. I to jest najważniejsze. Jestem sui, ale cały czas uwielbiam Jezusa, modłę się do św. Marii Magdaleny.

Według Teresy urzędnicy MSWiA są na innym etapie. Nie chcą, żeby zmieniać to, co zostało ustalone raz na zawsze.

– Kościół lubię jako świątynię, budowlę. Nie jestem dobra w rytuałach katolickich, chociaż zawsze brałam w nich udział. I zawsze byłam zestresowana: czasem zamyślałam się i klęczałam, gdy wszyscy już wstali, może na-

Mam wrażenie, że duchowni czasami uważają nas za bezmyślny motłoch.

Mówią nam,
jacy jesteśmy grzeszni.
A my jesteśmy piękni.

wet stałam, gdy inni klęczeli. Przeszkadzało mi to „padnij, powstań”. Ceremoniał jest czymś, za czym nie przepadam i zupełnie się do tego nie nadaję. Rozumiem, że można mieć stroje czy słowa na specjalne okazje, żeby podkreślić ich uroczystość, na przykład mianowanie nowych sui albo chrzest czy bierzmowanie w Kościele katolickim, ale nie lubię schematów. Nie przekonuje mnie, gdy celebra ma wymiar warunku: jeżeli nie odmówisz tyłu i tyłu modlitw albo nie ubierzesz się w taki, a taki kolor, to nie dostąpisz łaski albo nie uzyskasz odpustu. Niebo nie jest tylko dla tych, którzy przyjmą komunię albo odeszli w stanie łaski uświęcającej.

Wszystko ma prawo być

Przez ręce innych ludzi Wszechświat ofiarowuje Teresie obfitość znajomych, rodziny, przyjaciół, wszelkich darów.

– Urodziłam się w dworku pod lasem, pełnym pięknych przedmiotów. Jeździłam karetą, szczerze miałam w życiu. W socjalizmie wszystko to się rozeszło, zostało wyprzedane, wyburzone. Do dziś boję się iść do powozowni w pałacu w Rogalinie, bo tam może być moja karetka.

Od dziecka miała skłonność do kontemplacji. Dorosli mówili: „Jaka ta Teresa jest inna, stoi sobie i patrzy w przestrzeń”. W dorosłym życiu uczyła chemii. Bywało, że pracowała w różnych szkołach, na trzech etatach równocześnie. Z tamtych lat wspomina, jak uciwała sobie minutowe drzemki na czerwonym świetle. Ma trzy córki i syna, ale każdego ucznia starała się traktować jak własne dziecko.

– Ktoś kiedyś mi powiedział: „Chciałbym mieć odrobinę twojej odwagi”. A to nie tak. Ja się wszystkiego boję, ale przed niczym się nie cofnę. Nie wiem, dlaczego, czy to świadomość, że świat się mną opiekuje? – zastanawia się. – Brałam udział w nieskończonej liczbie medytacji, warsztatów, ćwiczyłam jogę. I w końcu

po 12 latach nabrałam odwagi do prowadzenia zajęć z jogi i rekapitulacji. Sesje rekapitulacji organizuję już 25 lat. To w uproszczeniu metoda rytmicznego oddychania, dzięki której odzyskujemy za blokowaną w traumach energię. Wtedy rośnie nasza moc i otulamy się miłością. Na przykład ktoś kiedyś powiedział ci coś tak przykrego i niestosownego, że boli cię to do dziś, wciąż to rozpamiętujesz, wracasz do tego. Ból masz w szczękach albo w klatce piersiowej, u każdego jest w innym miejscu ciała. Tam jest uwięziona twoja energia, przez to nie masz potencjału do zmian. Żeby odzyskać moc, musisz odzyskać swoją energię.

Co robi, gdy spotyka zło?

– Ja wszystko przyjmuję i nie oceniam – tłumaczy. – Każdy żyje tak, jak może, jak potrafi. Jeśli nam się nie podoba, jak żyją inni, jak żyli nasi przodkowie, to pomyślmy: tylko tak umieli. Zrozumiałam, że ludzie nie mają wyboru, chociaż mają wolną wolę. „Żli” realizują plany swojej duszy i ponoszą tego konsekwencje. Wszystko ma prawo być. Mąż nadużywał alkoholu. Gdy podniósł na mnie rękę, to była ostatnia kropla. Wystraszył się konsekwencji i wyprowadził się, a ja zaprosiłam koleżanki. Dziewczyny, mówiłam, przynieście gałązki oliwne i pomóżcie mi Bogu dziękować. Ja bym u jego boku tkwiła dalej, gdyby nie to, co się stało. Od tego momentu zaczęło do mnie przychodzić wszystko, czego potrzebowałam, a nawet jeszcze więcej. Teraz mam Niebo na Ziemi.

Za to, co się wydarzyło w jej życiu, Teresa jest – co powtarza kilka razy – nieskończenie wdzięczna. Nie pielęgnuje poczucia krzywdy, nie ma w niej napaśtliwości. Szuka przyczyn i dobrych skutków. Cieszy się, że ma Ród Przy-Jaźni i wspaniałych ludzi dookoła. Są jednością, muszą działać razem.

■ ■ ■

Ród Przy-Jaźni wciąż czeka na wpis do rejestru Kościołów i związków wyznaniowych. Piotr otrzymuje informację z ministerstwa o kolejnym przedłużeniu terminu odpowiedzi, tym razem do 27 stycznia 2023 r. Czy Ród wierzy w literę prawa, w dobrą wolę albo w cud?

– Wszelkie cuda są możliwe – twierdzi sui Piotr – ale muszą być realne.

– Cuda mają być realne? – uśmiecha się sui Teresa. – Myślałam, że wszystko jest możliwe.

© JAKUB KRZYŚKA

WOJCIECH

Bonowicz:

Po angielsku



i ciężkiej chorobie.

JUREK ODSZEDŁ PO CICHU, W POŁOWIE listopada. Informowały o tym krótkie notki. Pisano: działacz społeczny, dyplomata, propagator kultury, interdyscyplinarny artysta. Przede wszystkim

pisano: poeta. I że zmarł po długiej

Widywaliśmy się rzadko, na ogół przy jakichś oficjalnych okazjach. Scenariusz był zawsze ten sam: on mówił, ja słuchałem. Musiałem najpierw wysłuchać rytualnych narzekań na współczesną poezję, co było o tyle dziwne, że Jurka fascynowało malarstwo abstrakcyjne, ale poetyckich abstrakcjonistów docenić nie potrafił. Kiedy kończyły się narzekania, robiło się ciekawie. Najbardziej lubiłem, gdy wspominał – Filipowicza, Wojaczka i innych. Z Wojaczkiem zaprzyjaźnił się już w pierwszym dniu studiów: na uroczyste rozpoczęcie roku obaj przyszedli z książkami Przybosa pod pachą. Może to był nawet ten sam tytuł, nie pamiętam. Razem studiowali polonistykę na UJ i razem mieszkali w akademiku „przy błoniach i oleandrach”, w pięciu czy sześciu chłopaków, „w mrocznym, zapchłonym pokoju 135”, jak napisał Jurek w jednym z wierszy. Wojacek w jego wspomnieniach nieustannie palił, dużo czytał i od czasu do czasu objadał kolegów, bo na jedzenie szkoda mu było pieniędzy. Lubiał też śpiewać, co w wieloosobowym pokoju było męczące, oraz recytować cudze utwory, co akurat Jurkowi się podobało. W przywołanym wierszu wspomina, jak przyszedł autor „Sezonu” deklamował Norwida: „Cedr nie ogrody, lecz pustynie rodzą: / Próżnia – kołyską olbrzyma... / Eginej!... wielcy poeci przychodzą, / Gdy poetów wielkich nie ma...”.

Z Filipowiczem połączyła Jurka Kronholda miłość do Cieszyna i wszystkiego, co z Cieszynem związane. Pisarz zjawiał się u niego zwykle na początku listopada. Kiedy przyjeżdżał, zawsze szli na cmentarz i nad rzekę, to były stałe punkty. „Zbliżał się do granicznej Olzy, żeby zbadać, czy są w niej jeszcze ryby”, pisał Jurek we wspomnieniach. „Wzdłuż rzeki poruszały się patrole WOP-u, pilnujące, aby

nikt nie ośmielił się naruszyć jej integralności. Zbudowane z kruchego łupka cieszyńskiego, z fliszu karpackiego, łożysko Olzy dawało schronienie na swych głębocznach modrociemnym jelcom i zgrabnym kleniom. Zdarzały się lipienie, brzany, świnki i potokowce, ale rzeka nie była dostępna dla rybaków, podobnie jak mosty ją przekraczające zarezerwowano dla przechodniów i pojazdów legitymujących się odpowiednim dowodem”.

Cieszył się, kiedy mówiłem, że zazdroścę mu tego czy innego wiersza. Najbardziej ceniłem te zaskakujące, lekko surrealne, pisane językiem niemal mówionym, pozbawione retoryczności. Wiersze, w których ujawniało się jego poczucie humoru, a wzniosłość zjawiała się jakby niezamierzenie, jako rezultat obserwacyjnej czułości i niedopowiedzeń. Jak w tym, zatytułowanym „Jasny dom”:

*Trafiły się nam dwa koty, dwa psy
i jeden koń.
Trochę chyba za dużo.
Więc wrzeszczę zniecierpliwiony:
– Idźcie do jasnej cholery!
Ale one podobnie jak ja
wolą
światło w domu.*

Albo w tym, noszącym tytuł „Zimno”, wspaniałym wierszu o samotności i współczuciu, i na pewno o czymś jeszcze, czego nie umiem nazwać:

*Tak zimno,
że chyba się okryję
drzwiami,
wyrzuconymi na śmietnik,
albo włożę
jesionkę,
powieszoną na konarze kasztana
przez jakiegoś wędrownego partyzanta,
a do leżenia
wsunę
pod głowę
trampki, od miesiąca
uśmiechające się
do mnie
z drutów wysokiego napięcia.*

W jednym z ostatnich tomów opisał swoje marzenie: wyjść z życia po angielsku, wymknąć się cichcem, żeby nikt nie zauważył. I to mu się udało. Prawie. ©



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KSIAŻKI W TYGODNIKU

Eseje, recenzje, felietony, podcasty

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIAZKI



WYŚCIG O HRAD

Albo emerytowany natowski wojskowy Petr Pavel, albo uwikłany w skandale ekspremier Andrej Babiš: taki wybór mają Czesi przed drugą turą wyborów prezydenckich.

PATRYCJA BUKALSKA

GRATULUJĘ PRORZĄDOWEMU KANDYDATOWI, panu Pavlowi” – stwierdził Andrej Babiš na konferencji prasowej po ogłoszeniu wyników pierwszej tury, w której z Petrem Pavlem nieznacznie przegrał: generał zdobył 35,4 proc. głosów, były premier zaś 34,99 procent.

Pavel bynajmniej nie jest kandydatem rządzącej w Pradze koalicji, lecz niezależnym – Babiš starał się go jednak jako takiego przedstawiać. Niedawno, jesienią 2022 r., w Czechach odbyła się seria antyrządowych demonstracji, z których największą zgromadziła 70 tys. ludzi – to na ich głosy liczy dziś Babiš. A jego stwierdzenie miało być jedynie wstępem do zaskakującego – i absurda – ataku na konkurenta. Na konferencji nie tylko porównał go do... Władimira Putina, ale zarzucił Pavlowi, że miał witać okupacyjne wojska sowieckie w roku 1968 – choć ten miał wtedy siedem lat.

Kolejne dni nie pozostawiły złudzeń, jak będą wyglądały dwa tygodnie przed drugą turą, zaplanowaną na piątek i sobotę 27-28 stycznia (wybory trwają tu dwa dni). Już nazajutrz na ulicach czeskich miast pojawiły się billboardy Babiša z hasłem: „Nie wciągnę Czech do wojny. Jestem dyplomatą, nie żołnierzem”.

Pozostając przy militarnej retoryce, można powiedzieć, że linie frontu zostały wytyczone, a plan bitwy o prezydenturę stał się oczywisty – taktyką Babiša jest wypróbowana już metoda „na strach”. To nic nowego, poprzednie kampanie pre-

zydenckie w Czechach też były rozgrywane przez strach: przed wysiedlonymi po II wojnie światowej Niemcami sudeckimi, mającymi wracać po swoje majątki (to w roku 2013 r.), albo przed imigrantami (to w 2018 r.). Wtedy za każdym razem wygrywał Miloš Zeman, dziś ustępujący prezydent i zarazem sojusznik Babiša.

Petr Pavel i rosyjska agresja

Tym razem przyszła pora na metodę pod tytułem „strach przed wojną”. A problemów z billboardami Babiša jest kilka. Nie tylko ten, że żeruje on zarówno na tragedii Ukrainy, jak też na niepokojach i lękach Czechów, nieodpowiedzialnie je pogłębiając.

Przede wszystkim jednak jego przesłanie oparte jest na nieprawdzie: czeski prezydent nie ma uprawnień, by komukolwiek wypowiedzieć wojnę czy decydować o udziale czeskiej armii w jakimś konflikcie zbrojnym. Nie kieruje też armią, choć jest zwierzchnikiem sił zbrojnych – to pozostaje w gestii szefa sztabu generalnego, który jest mianowany na wniosek rządu. Prezydent nie decyduje też o wydatkach na zbrojenia.

Prawdą w tym przesłaniu jest tylko to, że 61-letni Petr Pavel rzeczywiście jest żołnierzem, a ściślej – emerytowanym oficerem. Był szefem sztabu generalnego czeskiej armii oraz szefem Komitetu Wojskowego NATO. Ma stopień generała i tak też jest powszechnie znany – jako generał Pavel.



Plakaty Babiša skomentował krótko: „Wojny zaczynają politycy, a nie żołnierze”. Na wyborczym spotkaniu z mieszkańcami Ústí nad Labem, na które zresztą przyszedł nieprzebrany tłum ludzi, Pavel stwierdził zaś, że jako żołnierz wojnę widział na własne oczy i nikomu by jej nie życzył. I że swój kraj chciałby trzymać od niego z daleka.

O jeden plakat za daleko

„Babiš tym razem posunął się za daleko. Obraził armię, służby wywiadowcze i inne instytucje bezpieczeństwa. Wystraszył ludzi, którzy nie potrafią odczytać jego słów w odpowiednim kontekście” – tak słowa ekspremiera skomentował Ja-



Billboard wyborczy Petra Pavla, emerytowanego generała, kandydata na prezydenta Czech. Olomuniec, 28 grudnia 2022 r.

roslav Spurný, znany dziennikarz śledczy. Zwrócił też uwagę na szczególnie niebezpieczny aspekt: „Pośrednio poparł on Putina, jedynego agresora w tej wojnie – bo Babiš kłamliwie i demagogicznie stwarza wrażenie, że Zachód chce tej wojny”.

Czy strategia Babiša może mu przynieść korzyści? W jednym z opublikowanych w listopadzie 2022 r. badań opinii publicznej ponad połowa Czechów przyznała, że boi się, iż wojna w Ukrainie przerodzi się w wojnę światową. W innym badaniu jednak na lęk przed wojną wskazało jedynie niespełna 19 proc. – za to ponad 68 proc. bało się wtedy rosnących cen energii, które też związane są z sytuacją na wschodzie Europy.

Zdaniem czeskiego politologa Jiřego Pehe, wojskowa karta Pavlowi nie zaszkodzi, wręcz przeciwnie, może działać na jego korzyść. – A te billboardy mogą obrócić się przeciwko Babišowi – mówi Pehe „Tygodnikowi”. – Babiš obiecuje pokój zamiast wojny, ale jak chce to osiągnąć? Będzie negocjować z Putinem? Czy czeski prezydent, głowa stosunkowo małego państwa, ma taką pozycję, aby organizować negocjacje pokojowe?

– Z badań wynika, że ponad połowa Czechów źle reaguje na opowieści o pokoju, który byłby oparty na *status quo*. Pokój tak, ale tylko, gdy Rosja wycofa się z okupowanych terytoriów. Stosunek

Czechów do Rosji jako agresora bynajmniej się w ostatnim czasie nie zmienił – dodaje Pehe.

Wspólnie pokonajmy zło

„Nadal jest tu wielkie zło. I to zło nazywa się Andrej Babiš” – tak stwierdziła Danuše Nerudová, która w pierwszej turze uplasowała się na trzeciej pozycji. „Nie zapominajmy, że to człowiek, który posiada media, partię polityczną, posłów, a teraz chciałby jeszcze Hrad [siedzibę prezydenta w Pradze – red.]. To zło musimy wspólnie pokonać” – dodała.

Nerudová, która w pewnym momencie kampanii wydawała się mieć szansę na przejście do drugiej tury, a nawet

→ na wygraną, i była porównywana do słowackiej prezydent Zuzany Čaputovej, straciła sporo poparcia na ostatniej prostej.

– To jedna z dwóch niespodzianek pierwszej tury. Po pierwsze oczekiwano, że wygra Babiš, a Pavel i Nerudová będą walczyć o drugie miejsce – wyjaśnia Jiří Pehe. – Po drugie, tych niecałych 14 proc. poparcia dla Nerudovej to mniej, niż przewidywano. Wydaje się, że zapłaciła za to, że w ostatnich tygodniach była w defensywie w związku z nieprawidłowościami, do których dochodziło na Uniwersytecie Mendla, gdy była tam rektorką.

Nerudovej, popieranej głównie przez młodszych wyborców, nie udało się przekonująco wyjaśnić zarzutów dotyczących m.in. plagiatów oraz ułatwień przy zdobywaniu dyplomów przez zagranicznych studentów.

I Nerudová, i Pavel uważani byli za kandydatów prodemokratycznych, którzy mogą przeciwstawić się Babišowi i z nim wygrać. Po pierwszej turze Nerudová, mówiąc o wspólnym pokonywaniu zła, nie rzucała słów na wiatr – wkrótce poinformowała, że udziela swojego poparcia Pawłowi. Podobnie zrobili inni kandydaci: Pavel Fischer (dostał 6,7 proc.) i Marek Hilšer (2,5 proc.).

„Żeby było lepiej”

„Przykro mi, że jestem uważany za zło. Nie rozumiem, dlaczego” – zastanawiał się głośno Babiš. Jak podkreślał na wspomnianej już konferencji, poświęcił krajowi ponad dziesięć lat ze swojego życia, a przecież wcale nie musiał zajmować się polityką, bo miał swoją znakomicie działającą firmę. I zrobił to tylko, żeby pomagać ludziom. „Będzie lepiej” – obiecywał slogan jego partii ANO.

W rzeczywistości jednak Babišowi, który dorobił się majątku w mało transparentnych czasach transformacji ustrojowej, daleko do bezinteresownego filantropa. Na czeskiej scenie politycznej pojawił się w 2012 r., zakładając ANO – partię, którą wkrótce wprowadził do parlamentu pod hasłami walki z korupcją i na prawy systemu politycznego.

Jednocześnie przejął kontrolę nad częścią mediów. Od tego czasu jego działalność jest źródłem skandali i kontrowersji. Dopiero na kilka dni przed tymi wyborami został po wieloletnim dochodzeniu oczyszczony z zarzutów o defraudację unijnych funduszy. W ciągu 10 lat poli-

W zakładach bukmacherskich Pavel zdecydowanie wygrywa z Babišem, ale wiele może się jeszcze wydarzyć.

tycznej działalności Babišowi zarzucano konflikt interesów, populizm, kłamstwa, upadek standardów.

Jest jednak twardym graczem i choć jego koniec wydawał się bliski już wielokrotnie, to od władzy udało się go odsunąć dopiero w 2021 r. Jego partia przegrała wtedy wybory niewielką różnicą – zaledwie o 36 tys. głosów. Od tego czasu poparcie dla ANO jednak znów rośnie – w grudniu 2022 r. wyniosło prawie 31 proc., podczas gdy dla ODS, największej partii koalicji rządzącej, jedynie ok. 14 proc.

Jeśli Babiš wygrałby teraz wybory prezydenckie, a ANO kolejne parlamentarne, to jego władza byłaby kompletna. Czy i jak może mu się to udać?

Głosy niezagospodarowane

W pierwszej turze na Babiša oddano więcej głosów niż na jego partię w wyborach parlamentarnych. Czy teraz zdobędzie kolejne? – Zdobył głosy wyborców partii pozaparlamentarnych. W ostatnim głosowaniu do parlamentu przepadło aż milion takich głosów. Teraz pół miliona z nich oddano na Babiša – mówi politolog Pehe. – Jednak innego źródła poparcia już nie ma. Może poza tymi, którzy nie poszli do wyborów w pierwszej turze.

Te niezagospodarowane po poprzednich wyborach głosy – a było ich rekordowo dużo – to choćby głosy komunistów, części socjaldemokratów, a także po prostu ludzi rozczarowanych obecną sytuacją i czujących, że nikt ich w parlamencie nie reprezentuje. To oni wychodzili na ulice podczas demonstracji w ubiegłym roku i część z nich mogła zagłosować dziś na Babiša.

Po pierwszej turze nie udało mu się natomiast uzyskać oficjalnego poparcia największej po ANO partii opozycyjnej – antyimigracyjnej formacji Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD), której kandydat Jaroslav Bašta zdobył ok. 4,5 proc. po-

parcia. Tymczasem generała Pavla oficjalnie poparli teraz Nerudová, Fischer i Hilšer, na których oddano w sumie 23 proc. głosów.

– To łącznie 1,2 mln głosów. Jeśli pójdzie na niego zagłosować choćby połowa z nich, Pavel zostanie prezydentem – prognozuje Pehe. – Babiš dobrze wie, że wielu z nich nie głosowało na Pavla w pierwszej turze z powodu jego przeszłości sprzed roku 1989, i dlatego robi wszystko, by przedstawić go jako komunistycznego szpiega, którego przeszłość jest jeszcze gorsza niż jego własna. Babiš może wygrać jedynie wtedy, gdy zniechęci od udziału w wyborach wystarczającą liczbę wyborców obozu demokratycznego.

„Zło może dotrzeć i do nas”

Z trójki głównych kandydatów jedynie 44-lletnia Nerudová nie miała obciążenia przeszłością.

Urodzony w 1961 r., Pavel rzeczywiście był członkiem partii komunistycznej, podobnie zresztą jak Babiš, który ponadto był współpracownikiem ówczesnych tajnych służb. I to Babiš złamał niepisany konsensus w demokratycznych Czechach i zdecydował się na współpracę w parlamencie z partią komunistyczną – na głosach komunistycznych posłów opierał się jego mniejszościowy rząd w 2017 r. Teraz jednak stara się prezentować siebie niemal jak dysydenta, a Pavla jak komunistycznego aparatchyka, zrównując go z Putinem. Dla wyjaśnienia: pretekstem ma być tu udział Pavla, wtedy młodego oficera wojsk powietrznodesantowych, w rozpoczętym w 1988 r. szkoleniu na żołnierza wywiadu wojskowego. Swoje członkostwo w partii komunistycznej Pavel, który w momencie upadku komunizmu miał 28 lat, otwarcie uważa dziś za błąd.

Od tego czasu minęły ponad trzy dekady – w tym czasie Pavel nie tylko służył w czeskiej armii, ale też sprawował jedno z najwyższych stanowisk w NATO. Naiwnością byłoby sądzić, że Sojusz go nie zlustrował, i to skrupulatnie.

Ma on też powody do dumy: w 1993 r. podczas misji UNPROFOR w byłej Jugosławii dowodził oddziałem, który uratował kilkudziesięciu francuskich żołnierzy odciętych między stanowiskami Chorwatów i Serbów; został za to odznaczony francuską Legią Honorową. W 2018 r., po trzech latach kierowania

Komitetem Wojskowym NATO, wrócił do Czech i zaangażował się w działalność obywatelską, szczególnie w czasie pandemii.

Po inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Pavel opowiadał się za surowymi sankcjami wobec agresora i zdecydowaną pomocą dla Ukrainy. Teraz, tłumacząc na wiecu w Ústí, że wbrew Babišovym plakatom nie będzie wciągać Czech w wojnę, dodał, że unikanie wojny nie może oznaczać obojętności na zło. „Jeśli będziemy tylko beczynnie się przyglądać, to zło dotrze i do nas” – powiedział.

Moda na flanelę

Na spotkania z wyborcami Pavel często przychodzi w bezpretensjonalnej flanelowej koszuli w kratę. Tak też prezentuje się w mediach społecznościowych – na tyle skutecznie, że flanelowa koszula stała się znakiem rozpoznawczym jego i jego zwolenników. Nie jest to podobno zabieg marketingowy, a Pavel rzeczywiście miał takie koszule w swojej szafie przed kampanią.

Marketing czy nie – flanelowa koszula stała się w Czechach popularna, a magazyn „Forbes” poświęcił jej artykuł, podkreślając, że flanelę proponują nawet takie domy mody jak Gucci czy Jil Sander. „Flanela jest symbolem męskości, przystępności i nowego luksusu” – czytamy. Generał z pewnością wygląda w niej swojsko i o to wizerunkowe skrócenie dystansu też zapewne chodzi.

Gdy pod koniec kampanii poproszono go, aby opisał się trzema słowami, wymienił: doświadczenie, spokój i odpowiedzialność. Tymi cechami wpisuje się w oczekiwania Czechów wobec prezydenta, a w zakładach bukmacherskich zdecydowanie wygrywa z Babišem.

Jednak do drugiej tury wiele może się wydarzyć. Frekwencja w pierwszej wyniosła ok. 68 proc. i jest to tutaj rekordowo dużo – zarazem jednak jedna trzecia uprawnionych pozostała w domach. Czy teraz się zmobilizują? I kogo poprą? Z drugiej strony nie wiadomo, czy część wyborców po tym, jak zagłosowała na swoich faworytów w pierwszej turze, nie uzna, że swój obowiązek już spełniła. © PATRYCJA BUKALSKA

Wynik nie jest przesądzony

**Czego spodziewać się przed drugą turą czeskich wyborów?
Co Czesi myślą o wojnie w Ukrainie? Pytamy o to politologa Nikolę Hořejša z ośrodka badania opinii publicznej STEM.**

PATRYCJA BUKALSKA: Czy pierwsza tura wyborów prezydenckich w Czechach przyniosła niespodzianki?

NIKOLA HOŘEJŠ: Tak. W żadnym z przedwyborczych sondaży Danuše Nerudová nie miała poparcia mniejszego niż 18 proc., choć oczywiście trend malejący było widać. Liczba głosów oddanych na Andreja Babiša też trochę zaskoczyła – i komentatorów, i bukmacherów. Przypadek Nerudovej pokazuje, że Czesi dają szansę nowym twarzom – tak jak kiedyś dali Partii Piratów czy ANO – które mogą popularność szybko zdobyć, ale też jak widać szybko ją stracić.

Od pierwszych dni było wiadomo, że ta kampania może być brutalna. Jakie kwestie są w niej najważniejsze?

Paradoksalnie tematem stała się komunistyczna przeszłość. Babiš, który według historyków sam był współpracownikiem bezpieki StB, wyciąga teraz Pavlovi kilkuletnie członkostwo w partii komunistycznej. Przez to toczy się wśród Czechów dyskusja, czy partia komunistyczna to dla nich problem fundamentalny, czy może tylko względny. Ponadto istotne są dwie inne kwestie: gospodarka i wojna. Czesi bardzo boją się wzrostu cen i wątpią, czy rząd im pomoże. Na tym Babiš najbardziej zyskuje.

A wojna?

Tutaj sprawa jest bardziej złożona. W Czechach nadal utrzymuje się poparcie dla Ukrainy, choć nie tak wysokie jak w Polsce. Jednocześnie jednak zauważalne jest pragnienie porozumienia pokojowego i przekonanie, że Ukraina mogłaby Rosji nieco ustąpić. Czesi są pacyfistami i ustepstwa są elementem myślenia dużej części społeczeństwa.

Od kwietnia ubiegłego roku wsparcie dla Ukrainy spadło, ale to nadal poziom 60-70 proc. To bynajmniej nie oznacza, że zostało 30-40 proc. popiera Putina; oni skła-



JAN HROMADKO / ARCH. PRYWATNE

nają się raczej ku neutralności. Problem w tym, że nawet to poparcie dla Ukraińców jest dość „pacyfistyczne”. Wysyłanie broni do Kijowa popiera jedynie 30 proc. Czechów.

Bezpieczeństwo jest dla nich niezwykle ważne i to daje Pavlovi przewagę. Armia cieszy się tu olbrzymim zaufaniem. Ale z drugiej strony boimy się wojny i konfliktu, co jak widać Babiš wykorzystał od razu po pierwszej turze. Powiedziałbym jednak, że wojskowe doświadczenie Pavlovi może pomóc, choć nie aż tak, by jego zwycięstwo było przesądzone.

Czy te wybory zdecydują także o wizji państwa, o tym, czy Czechy mają być neutralne, jak np. Szwajcaria, czy bardziej aktywne na scenie międzynarodowej?

Czesi są podzieleni mniej więcej pół na pół w sprawie tego, czy mają być zamknięci, czy aktywnie prozachodni. Tego nie zmieniła nawet rosyjska inwazja. Wynika to z tego, że ponad połowa Czechów myśli, iż jesteśmy małym narodem, który nie ma i nie będzie mieć wpływu na świat. Nazywam to narodowym zwątpieniem w siebie. Na każdy kryzys tacy ludzie reagują otoczeniem się murem i schowaniem w swojej hobbiciej norcie.

Czy ta kampania może podzielić społeczeństwo jeszcze głębiej?

Z pewnością. Babiš celowo niszczy konsensus wokół Ukrainy. Na razie robi to sprytnie i po kawałku. Równocześnie i on, i jego media straszą problemami gospodarczymi. Jednak, w przeciwieństwie do kandydatów startujących w poprzednich wyborach prezydenckich – takich jak Jiří Drahoš czy Karel Schwarzenberg – Petr Pavel jest akceptowalny dla części wyborców opozycji i mógłby, po wybraniu na prezydenta, zacząć społeczeństwo spajać.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA



Materiał jednorazowy

TEKST I ZDJĘCIA **WOJCIECH PIĘCIAK**
Z DRUŻKIWKI (OBWÓD DONIECKI)

Nie byłoby sukcesów na froncie, gdyby nie ukraińska kreatywność: wyciskanie, ile się da, z tego, co dostępne. Ale jeśli Ukraińcy mają dalej walczyć, potrzebują sprzętu. Cenę za jego brak płacą ludzie.

PIERWSZE WRAŻENIE: TO JAKAŚ KOSZMarna żebrać zbieranina. Kolumny samochodów, które co chwila mijamy na drogach obwodu donieckiego – posiłki, jakie idą na front, pewnie na Bachmut i Sołedar, gdzie trwają najcięższe walki – to głównie piechota zmotoryzowana. Jako oznaczenie na mapie brzmi to dobrze: tu brygada zmechanizowana, tam szturmowa. Ale gdy patrzy się na te kolumny, można zwątpić w nazwy przypisane do jednostek.

Oto jedna z nich, właśnie pędząca na wschód, blokując ruch innych pojazdów – wszystkich poza sanitarkami, które mają tu pierwszeństwo absolutne (i których mijamy wiele). Na oko, kompania: około dwudziestu aut osobowych, w nich pewnie ponad setka ludzi. Jeszcze chwilę temu, zanim pomalowano je pospiesznie na zielono, były cywilne: stare dzipy i kombiaki, nawet osobówki, byle pojemne. Numery rejestracyjne: polskie, litewskie, niemieckie. Zdarza się zabyt-

kowa łada. Do tego jedna ciężarówka na kompanię, z przyczepką, pewnie z zapasami żywności – czasem polski cywilny star, iveco (z zasobów Bundeswehry?) albo kamaz, który wygląda jak wyciągnięty ze złomowiska.

Niektórych nawet nie przemalowano – używane auta cywilne, sprowadzone z zagranicy i będące podstawowym narzędziem zapewniającym mobilność ukraińskiemu żołnierzowi, są, jak sami mówią, „materiałem wojennym jednorazowego użytku”. Prędzej czy później (raczej prędzej) zostaną na polu walki, zniszczone przez drona albo zwyczajnie popsute. Niektóre padają, zanim dotrą na front – co i rusz mijamy je na poboczu, z otwartą maską; obok krząta się paru ludzi w mundurach, usiłując przywrócić je do życia.

UKRAINA CZYŚCI EUROPE – a przynajmniej, sądząc po tablicach rejestracyjnych (tych też nawet nie zmieniono; jaki sens byłby je przerejestrowywać?), środkową jej część – z używanych aut. Ekolodzy powinni się cieszyć: w cenie są te z silnikami diesla, one mają być bezpieczniejsze w razie trafienia od tych z silnikami benzynowymi. Choć i benzynowe są w użyciu. Każdy złom się liczy, byle jechał.

Tak na pierwszy rzut oka wygląda żebrać iście wojsko, które od prawie roku stawia opór mocarstwu i jego „drugiej armii świata” (jak sama siebie nazywała; określenie dziś raczej ironiczne). Dla porządku dodajmy, że czasem trafia się rodzynek: oto ulicą Drużkiwki, miasteczka w obwodzie donieckim, pędzi brytyjski bushmaster. Chwilę wcześniej trafił się amerykański terenowy humvee. Ci, którzy w nich jadą, muszą się chyba czuć jak elita. Cóż z tego jednak – humvee ani bushmaster nie mają takiego pancerza, który chroniłby na poważnie. A gdy front ma kilkaset kilometrów,

Wrak rosyjskiego czołgu i pole minowe przy drodze Słowiańsk-Izium, styczeń 2023 r.

niewiele pomoże też kilkadziesiąt opancerzonych (lekko) bradleyów i marderów – ich dostawy, z USA i Niemiec, niedawno zapowiedziano.

Jak na razie, po roku ukraińskiej wojny egzystencjalnej, najwinniejszym narzędziem tej armii pozostaje używane auto cywilne. W nim transportuje się rannych do punktów medycznych pierwszej pomocy (profesjonalne sanitarki są zbyt rzadkie, by zużywać je na pierwszej linii); w nim transportowani są ludzie i wszelki materiał wojenny.

UŻYWANE AUTO CYWILNE – ono mogłoby być symbolem tej wojny. Wieloznacznym: z jednej strony biedy, braków w sprzęcie, ograniczonej zachodnich dostaw. Z drugiej – kreatywności. Jak wtedy, gdy stary pick-up staje się wyrzutnią rakiet po tym, jak ustawione zostają na nim sprawne nadal rury zdemontowane ze zdobytego Gradu. Albo gdy zespół zwiadowców pędzi nimi po donbaskich bezdrożach, by przeniknąć przez dziury we froncie, puścić drona i nakierować zespoły obsługujące Himarsy (te, jak słyszymy, pracują jak w fabryce: na trzy zmiany, aby rzadki sprzęt mógł być stale w użyciu).

Jeśli jednak ta wojna musi trwać – a nic nie wskazuje, by miało być inaczej – na dłuższą metę kreatywność nie zastąpi systemu: systemowego przezbierania brońiącej się armii w sprzęt zachodni. Systemowego, to znaczy takiego, który nie ma znamion „czyszczenia magazynów” (w niczym nie ujmując doraźnej efektywności owego „czyszczenia” – choć dla logistyków to pewnie stały ból głowy, jak zapewnić takiej zbieraninie części zamienne czy amunicję).

Zwłaszcza że cenę za brak poważnego sprzętu w poważnej liczbie płacą ludzie. Gdy niektórzy mówią dziś, że Bachmut to „ukraińskie Verdun”, porównanie to ma w sobie drugie dno: tu i tam „materiałem jednorazowego użytku”, który zużywał się najbardziej, był i jest człowiek. ©P

Miejsca, gdzie zginęli ukraińscy żołnierze, znaczą proste miejsca pamięci: flagi i znicze. Tu przy drodze Donbas-Izium, styczeń 2023 r.





Most na rzece Drina znalazł się w tytule najsłynniejszej powieści Ivo Andrića. Wyszegrad, 16 listopada 2022 r.

Krwawy most

TEKST I ZDJĘCIA **DARIUSZ KAŁAN** Z WYSZEGRADU (BOŚNIA I HERCEGOWINA)

Turyści, którzy chętnie przybywają dziś do tego urokliwego miasta w Republice Serbskiej – jednej z części składowych Bośni i Hercegowiny – nie dowiedzą się, co działo się tutaj 30 lat temu.

NA „ŚNIADANIE ANDRIĆA” SKŁADAJĄ się: dwie parówki hotdogowe, dwa jajka sadzone, cztery plasterki wędzonej szynki wołowej, dwie smażone kielbaski, mała kostka sera edamskiego, kilka plasterków twarogu, kajmak, musztarda, keczup i majonez.

Jeśli Ivo Andrić każdego ranka raczyłby się takimi przysmakami, wątpliwe, czy dożyłby osiemdziesięciu trzech lat. Zresztą kelner z restauracji hotelu Višegrad przyznaje, że to tylko chwyt marketingowy.

Nie jest łatwo zorientować się, co w Wyszegradzie jest chwyttem marketingowym, a co prawdziwą spuścizną po Andriću (1892-1975), bodaj największym pisarzu Jugosławii, a w każdym razie jej

dynym laureacie literackiej Nagrody Nobla. Czy w miejscu, gdzie dziś jest parking z murałem z podobizną Andrića, rzeczywiście kiedyś była szkoła, do której chodził? Czy w zamkniętym na cztery spusty domu przy obecnej ulicy Andrića pod numerem 10 mały Andrić spędził dzieciństwo, jak informuje tablica? Czy siedział przy drewnianych ławkach w „klasie Andrića”? Może tak. Może nie.

Most na talerzu

Pewne jest w zasadzie jedno: Wyszegrad robi, co może, żeby z Andrića uczynić magnes na turystów. Bogiem a prawdą wielu innych możliwości tu nie ma. Wyszegrad – wciśnięty zachwycająco w ciasną gardziel Butkowych Turni i Gór

Uzawnickich, i rozdzielony rzeką Driną – to senne pięciotysięczne miasteczko w Republice Serbskiej, jednej z dwóch części składowych Bośni i Hercegowiny, niespełna dziesięć kilometrów od granicy z Serbią.

W zeszłym roku odwiedziło je 150-200 tys. turystów. Informuje mnie o tym pracownik Turystycznej Organizacji Gminy Wyszegrad, Branislav Andrić (a jakże!). W dużej mierze to zasługa Andrićgradu, czyli budowanego od ponad dekady na terenach dawnego kompleksu sportowego miasteczka z miejscami noclegowymi, restauracjami, cerkwią i kinem. Stylizowane na Wyszegrad z czasów Andrića, pochłonęło dotychczas ponad 20 mln euro.

Andrić jest na pomnikach, tablicach, koszulkach i magnesach. Jest też w księgarni, gdzie na półkach majestatycznie kurzą się jego książki w kilku językach. No i w menu hotelowej restauracji. Owe „śniadanie Andrića” to nie jedyny popis fantazji kulinarnej. Na obiad można zamówić „Most na Drinie” w dwu wersjach: fileta z kurczaka albo kotleta wieprzowego, obie przyrządzane z grzybami, warzywami, serem żółtym i szynką.

→ Oryginalny „Most na Drinie” (wyd. 1945) – najbardziej znana powieść Andrića, monumentalny hołd dla Wyszegradu – to dziejąca się na przestrzeni blisko czterystu lat historia społeczności serbskiej i muzułmańskiej zamieszkującej kasabę (miasto) po obu stronach mostu, pod władzą turecką, a potem od końca wieku XIX – austriacką. Niewiele miejsca poświęcono w niej kulinarnym upodobaniom mieszkańców.

Zwierz w człowieku

Dużo jest za to w tej książce o okrucieństwie. Andrić należał do tego rodzaju pisarzy, którzy przyglądają się bezdusznej naturze ludzkiej bez emfazy. Jego fraza jest chłodna i precyzyjna. Wyszegradzianie znoszą zatem wszystkie dopustы boże z niemal „melancholijną bez troską”. Traktują jak nieuniknioną konieczność zmiany granic, najazdy kolejnych okupantów albo mordercze wy-lawy Driny.

Sama trwająca sześć lat budowa blisko dwustumetrowego, jedenastoprzęsłowego mostu, który wzniesiono na rozkaz wezyra Mehmeda Paszy Sokolovicia, to – w opisach Andrića – przegląd wyzysku, upokorzeń i zwykłej złośliwości. Bodaj najbardziej zapadającą w pamięć sceną z tego okresu jest powolne wbijanie pała do zadka jednego z chłopów, który próbował sabotować prace. „Człowiek był wbity na pał jak jagnię na rożen, tylko że koniec nie wychodził ustami, lecz przez plecy, i nie uszkodził wątroby, serca ani płuc” – konkluduje Andrić.

Następne stulecia przynoszą kolejne bestialstwa. Na moście ku przestrodze dla buntowników pojawiają się głowy skazanych (czasem słusznie, czasem nie) na śmierć. Panna młoda w sprzeciwie przed niechcianym zamążpójściem skacze stąd do rzeki. Jednemu hołdy przybija się gwoździem ucho do belki. Lokalnego głupka zakochanego bez pamięci podjudza się, by ulżył miłosnym udrękom, topiąc się w szmaragdowych niespokojnych wodach Driny.

Akcję powieści Andrić kończy na I wojnie światowej, bo dzięki temu zyskuje efektowną pointę: most, który przez wieki dzielnie znosił kaprysy losu i stał się symbolem niezmienności i trwałości, zostaje wreszcie uszkodzony. O tym, że pisarz sądził jednak, iż historia mostu unurzanego we krwi jest otwarta, może świadczyć *passus*, który pojawia się przy



DEJAN FURTULA,
LOKALNY AKTYWISTA:

Nadal nie możemy
wydobyć się z traumy
tamtej wojny.

opisie nagonki na miejscowych Serbów po zamachu serbskiego konspiratora na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w czerwcu 1914 r.

Andrić – jak każdy klasowy autor – wydobywa z epizodu prawdę uniwersalną. Pi-sze: „Wyzwolił się drzemający w człowieku dziki zwierz, który nie śmie się pokazać, póki nie runą bariery dobrych obyczajów i praw. Znak został dany, bariery runęły. Podobnie w dziejach ludzkości często się zdarza, że prawo pozwala na gwałty, rabunek i grabież, a nawet na mord, pod warunkiem, że dopuszczano się tego wszystkiego w imię wyższych celów, pod ustalonymi hasłami, nad określoną liczbą ludzi określonego stopnia zamożności i przekonania. Ówczesnie żyjący człowiek o czystym sumieniu i otwartych oczach mógł być świadkiem, jak niby cudem całe społeczeństwo przeobraża się w ciągu jednego dnia” (cytaty pochodzą z wydania „Mostu na Drinie” z 1956 r., reprint z 2007 r., w tłumaczeniu Haliny Kality).

Życie z agresorem

Dziki zwierz w człowieku wyszegradzkim wyzwolił się ponownie blisko pół wieku po napisaniu tych słów. Latem 1992 r., kilkanaście tygodni po ogłoszeniu niepodległości przez Bośnię i Hercegowinę, w miasteczku rozgrywają się wydarzenia, które zapowiadają to, co w jeszcze większej skali dzieć się będzie

przez kolejne trzy lata w niemal całej Jugosławii.

Po zajęciu miasta przez Jugosłowiańską Armię Ludową miejscowi Serbowie, w tym policja i tworzone *ad hoc* organizacje paramilitarne, w ciągu kilku gorących tygodni mordują blisko 3 tys. bośniackich Muzułmanów. Każdego dnia są oni zbierani z miasta i okolic do ciężarówek, a potem wiezieni na most. Tam zostają rozstrzelani. Ich ciała trafiają do Driny.

Ponad siedemdziesiąt osób, w tym kobiety i dzieci, zostaje zamkniętych w domu Adema Omeragicia przy ulicy Pionierskiej. Do środka serbscy żołnierze wrzucają kamienie, a potem granaty ręczne. Wreszcie dom zostaje podpalony. Ludzie palą się żywcem.

Dwa tygodnie później ten sam schemat zbrodni zostaje powtórzony w domu Meho Aljicia we wsi Bikavac, sąsiadującej z Wyszegradem. W męczarniach ginie około siedemdziesięciu osób. Cywile są gwałceni, torturowani i mordowani także w koszarach w okolicach Wyszegradu, hotelu-uzdrowisku Vilina Vlas oraz kilku innych miejscach.

W przeciwieństwie do bestialstw opisanych przez Andrića, zbrodnie z 1992 r. są żywe w pamięci wielu tych, którzy w Wyszegradzie zostali – i tych, którzy doń nigdy nie wrócili. W małych społecznościach dramat nie kończy się wraz z ostatnimi wystrzałami.

Widać to dobrze w „Quo vadis, Aida?” z 2020 r. w reżyserii Jasmili Žbanić – jednym z najwybitniejszych filmów ostatnich lat, który rozgrywa się w Srebrenicy także podczas tamtej wojny. Kończy się on sceną szkolnego przedstawienia. Oglądają je zarówno ci, którzy kilka miesięcy wcześniej pracowali dla agresorów, jak i ci, których bliskich wymordowano. Kurz wojenny opadł, nie ma dokąd wyjechać, trzeba sobie ułożyć życie obok siebie. To także przypadek Wyszegradu.

Największa rzeźnia Bośniaków

Kobieta prosi o podanie jedynie jej imienia: B.

Mieszka w Sarajewie, ale nadal ma dom w Wyszegradzie. Trzy dekady temu do tego domu weszły oddziały dowodzone przez szefa policji Veljka Planinicia i na oczach B. pobili i wielokrotnie zgwałcili jej 18-letnią córkę. A także ją samą.

Planinicić należał do ludzi Milana Lukicia, przywódcy jednostki paramilitarnej „Białe orły”, odpowiedzialnej za zbrodnie



Cmentarz muzułmański. Wyszegrad, 15 listopada 2022 r.

przy ulicy Pionierskiej i w Bikavacu. Później Lukić został uznany przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii za winnego zbrodni przeciwko ludzkości i skazany na dożywocie. Planinčić pod sąd nie trafił. Podobno ukrywa się w Rosji.

– W moim Wyszegradzie nie było działań wojennych. Było za to etniczne czyszczenie – mówi B. – A most to największa rzeźnia Bośniaków.

Gušo wyjechał z Wyszegradu w 1992 r. i nigdy nie wrócił. Mieszka w Austrii. – Jestem starym człowiekiem i Wyszegrad w ogóle mnie nie interesuje. Ale chciałbym, żeby turyści, którzy przyjeżdżają do tego miasta, wiedzieli, do czego prowadzi nacjonalizm – mówi.

Raczej się nie dowiedzą.

Wspomniana reżyserka Žbanić, nieustrudzona rejestratorka traum Bośni i Hercegowiny, jeden film poświęciła także Wyszegradowi. „Dla tych, co nie mogą mówić” (2013) to stylizowana na dokument krótka opowieść o australijskiej turystce, która zatrzymuje się w hotelu-uzdrowisku Vilina Vlas – i powoli odkrywa prawdę o tym miejscu. W jednej scenie uparcie dopytuje starszego mężczyznę, co robił w czasie wojny, podczas gdy on zarzuca ją szczegółami z życia Andrića.

Wielu Muzułmanów, którzy przeżyli rok 1992, nie widzi wsparcia władz mia-

sta, które wolą inwestować w legendę Andrića. Czują za to, że pamięć jest systematycznie wymazywana, a godność ofiar – deptana. Osiem lat temu z tablicy na wyszegradzkim cmentarzu Stražište, na którym bieleją groby zamordowanych Muzułmanów, policja na rozkaz władz usunęła słowo „ludobójstwo”. Uznano je za obraźliwe.

Życie idzie dalej

W Wyszegradzie w dużym stopniu streszczają się problemy trapiące cały kraj.

Tylko jeden duży zakład pracy (elektrownia wodna) i wysoki poziom zanieczyszczenia powietrza zmuszają młodych do szukania szans w większych miastach. Wielu z nich, urodzonych w trakcie wojny albo już po niej, jest zmęczonych rozpamiętywaniem. I tym, że Wyszegrad – jedno z najpiękniej położonych miast w Bośni – stale kojarzy się z rozlewem krwi.

Po skończeniu studiów ekonomicznych w serbskich Užyczach po drugiej stronie granicy Dejan Furtula wrócił do rodzinnego Wyszegradu, żeby – jak mówi – aktywizować i jednoczyć młodych ludzi. Jest współwłaścicielem wypożyczalni kajaków, instruktorem wioślarstwa, działaczem ekologicznym i organizatorem festiwalu muzycznego. Festiwal chciał zorganizować na moście.

Grupy zrzeszające rodziny ofiar zaprezentowały.

– W ciągu blisko pięciuset lat istnienia most był miejscem nieprzyjemnych wydarzeń także dla Serbów. Ale oni chcą pamiętać tylko o tym, co działo się w latach 90. XX wieku – mówi 35-letni Furtula.

Twierdzi, że z pięciu tysięcy biletów na festiwal blisko połowę kupili młodzi Muzułmanie. – Szanuję ofiary z obu stron – dodaje. – Ale ludzie, którzy popełnili zbrodnie, zostali skazani. Życie idzie dalej. Nie możemy stale płakać i nienawidzić siebie nawzajem. Tymczasem wśród starszych osób jest tak dużo nienawiści.

– Politycy podburzają. Ale my nadal nie możemy wydobyć się z traumy poprzedniej wojny – mówi Furtula zapytany o to, czy w Bośni wybuchnie nowy konflikt. W mieście nadal stacjonują jednak siły Unii Europejskiej EUFOR Althea. Słowacki żołnierz, spotkany na papierosie przed siedzibą misji, potwierdza intuicję Furtuli: – Niewiele się dzieje. Napięcia nie są widoczne. Do naszej obecności też już się przyzwyczajono.

Mało kto wierzy, że w człowieku wyszegradzkim znowu wyzwoli się dziki zwier.

© DARIUSZ KAŁAN

Artykuł został przygotowany w ramach BIRN's Reporting Democracy Travel and Reporting Programme.

Poniżej unijnej średniej

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISPANII

Już nie tylko Polska i Węgry, ale też Hiszpania musi tłumaczyć się ze swojego systemu praworządności. Chodzi o impas wokół najwyższego organu sądowego, nominacje do Trybunału Konstytucyjnego i zmniejszanie wyroków dla przestępców seksualnych.

NA SALI PLENARNEJ PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO tłumów nie było. Zaledwie kilkudziesięciu europosłów, w tym większość z Hiszpanii, dyskutowało w ubiegłą środę 18 stycznia o praworządności w tym kraju. Było mnóstwo emocji i wzajemnego przerzucania się winą, zwłaszcza w wypowiedziach polityków pochodzących z konserwatywnej Partii Ludowej oraz rządzących obecnie w Madrycie socjalistów. Nawet prowadząca obrady kilkukrotnie prosiła debatujących o „wolniejsze” wypowiedzi.

„Hiszpania cierpi z powodu niepokojącej fali degradacji demokracji, zapaści instytucji i nieodpowiedzialności spowodowanej ostatnimi decyzjami rządu” – mówiła Dolors Montserrat z Europejskiej Partii Ludowej. To właśnie jej ugrupowanie zdecydowało o włączeniu kwestii praworządności w Hiszpanii do porządku obrad europarlamentu.

Szybko odpowiedział jej Juan Fernando López Aguilar, były hiszpański minister sprawiedliwości, a obecnie europoseł z Grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów. „Za blokadę najwyższego organu władzy sędziowskiej wyłączną odpowiedzialność ponosi Partia Ludowa, która, jak widać, nie chce uznać wyniku wyborów. W demokracji europejskiej trzeba umieć przegrywać, a tymczasem mamy tu przypadek Trumpa” – mówił López Aguilar.

Z kolei Paulo Rangel z Europejskiej Partii Ludowej mówił o dużym zaniepokojeniu sytuacją prawną w Hiszpanii. „Zwykle w kontekście problemów z praworządnością rozmawiamy tutaj o Polsce i Węgrzech. Jednak decyzje podejmowane w ostatnich latach w Hiszpanii są alarmujące” – dowodził. I wyliczał: „Naczelna Rada Sądowa jest całkowicie sparaliżowana, a amnestie

są zatwierdzane dla osób wcześniej skazanych przez Sąd Najwyższy”.

Ta dyskusja w Parlamencie Europejskim to nie pierwszy raz, gdy instytucje unijne zajmują się w tym kontekście Hiszpanią. We wrześniu 2022 r. wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Věra Jourová mówiła, że „praworządność w Hiszpanii może być zagrożona”. Teraz, jak widać, przybywa spraw, które politycy w Brukseli i Strasburgu zarzucają lewicowemu rządowi Pedra Sáncheza.

Impas wokół Naczelnej Rady

Cofnijmy się o kilka lat. W czerwcu 2018 r. po konstruktywnym wotum nieufności do władzy w Hiszpanii dochodzi rząd socjalistów. Kryzys w hiszpańskim sądownictwie zaczyna się pół roku później. Wówczas to po pięciu latach urzędowania wygasły mandaty sędziów w Naczelnej Radzie Sądowej (El Consejo General del Poder Judicial; to odpowiednik polskiej Krajowej Rady Sądownictwa).

Naczelna Rada jest ważna, bo to organ kierowniczy całego sądownictwa. Odpowiada m.in. za powoływanie sędziów i nadzór nad nimi oraz za sprawy dyscyplinarne. Ponadto wnioskuje o nominowanie sędziów do Sądu Najwyższego i dwóch sędziów do Trybunału Konstytucyjnego. Obecnie większość z 20 członków Rady sprawuje już urząd od ponad dziewięciu lat, mimo formalnie pięcioletniej kadencji.

„Tylko zdrowie sędziów zapewnia utrzymanie dobrego wymiaru sprawiedliwości dla obywateli” – żartował na Twitterze sędzia Sergio Oliva ze stowarzyszenia Asociación Judicial Francisco De Vitoria (AJFV). Ale do śmiechu pewnie nie jest samym obywatelem, którzy przez sądowy impas muszą dłużej czekać na wyroki.



Wybór nowych członków Naczelnej Rady Sądowej nie jest łatwy. Potrzebna jest do tego większość kwalifikowana trzech piątych głosów w obu izbach parlamentu – zarówno w Kongresie Deputowanych, jak i w Senacie. Bo choć to sędziowie wysuwają kandydatury sędziów różnych szczebli na 12 miejsc, to ostatecznego wyboru dokonuje parlament. O obsadzie pozostałych ośmiu miejsc decydują politycy, wybierając prawników (nie sędziów), „o uznanych kompetencjach”. Na czele Rady stoi przewodniczący, który jest jednocześnie prezesem Sądu Najwyższego, a jego wyboru dokonuje sama Rada na sesji założycielskiej.

Tyle teorii, bo obecnie rządząca partia socjalistyczna PSOE nawet razem ze swoimi koalicjantami z lewicowej Podemos nie może liczyć na większość trzech piątych głosów. Potrzebne są do tego głosy opozycyjnej Partii Ludowej, która jednak blokuje wybór nowych członków Rady i domaga się reformy sądownictwa.

Powracająca propozycja reform

Na początku stycznia politycy Partii Ludowej zaproponowali, aby wybór 12 sędziów do Rady odbywał się w bezpośrednim głosowaniu przez samych sędziów,



Premier rządu Hiszpanii Pedro Sánchez przemawia podczas posiedzenia parlamentu. Madryt, 21 grudnia 2022 r.

EDUARDO PARRA / EAST NEWS

zamiast – jak dotychczas – na drodze porozumienia politycznego. Ideę takiej reformy poparły już największe stowarzyszenia sędziowskie w kraju – w tym AJFV.

– Popieramy tę reformę. Tylko pytanie: dlaczego pojawia się teraz? Bo kiedy Partia Ludowa rządziła przez prawie osiem lat, to nie chciała jej przeprowadzić – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” sędzia Sergio Oliva z AJFV.

Oliva zauważa, że Partia Ludowa tę samą propozycję reformy Naczelnej Rady Sądowniczej przedstawiała już przynajmniej trzy razy. Po raz pierwszy w 2011 r., kiedy wpisała ją nawet do swojego programu wyborczego. Następnie podobne zapisy o tym, aby 12 członków Rady wybierali sami sędziowie, przedstawiano także w roku 2018 i 2020.

Reformę konserwatystów stanowczo odrzucają rządzący politycy lewicy, odwołując się do konstytucji. „Obecny model wyboru sędziów do Rady obowiązuje od 35 lat, jest modelem konstytucyjnym i demokratycznym” – w wywiadzie dla telewizji La Sexta mówił Félix Bolaños García, minister ds. prezydencji, kontaktów z parlamentem i demokracji.

O reformę Naczelnej Rady Sądowniczej apelowała też lewicowa Podemos, która

chciała, aby wybór sędziów odbywał się przy zwykłej większości głosów, a nie – jak do tej pory – kwalifikowanej trzech piątych. To wzbudziło jednak szybką reakcję Komisji Europejskiej i propozycja upadła.

Z reformą się nie udało, za to rządzący uchwalili w marcu 2021 r. ustawę redukującą funkcje Rady aż do czasu odnowienia jej składu.

– Na początku Rada funkcjonowała normalnie, pomimo zakończenia mandatu jej członków. Wraz z nowym prawem zmniejszone zostały jej uprawnienia do mianowania nowych sędziów, w tym do Sądu Najwyższego. To w efekcie prowadzi do delegitymizacji samej Rady – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” sędzia Iván Oliver Alonso z Wyższego Trybunału Sprawiedliwości Aragonii i stowarzyszenia Foro Judicial Independiente.

Coraz liczniejsze wakaty

Jeszcze przed impasem związanym z mianowaniem nowych sędziów władza sądownicza w Hiszpanii była krytykowana. Z raportu Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa z 2016 r. wynikało, że niezawisłość hiszpańskiej władzy sądowniczej

jest na jednym z najniższych poziomów w Europie.

W Hiszpanii w roku 2021 pracowało w zawodzie 5320 sędziów. Teraz, jak alarmuje stowarzyszenie AJFV, w ciągu kolejnych 10 lat aż jedna trzecia sędziów przejdzie na emeryturę. Mogą oni bowiem pracować do 70. roku życia (tzw. *edad forzosa*). Budzi to zaniepokojenie stowarzyszeń sędziowskich. Jak tłumaczy Sergio Oliva, na tle innych państw europejskich Hiszpania inwestuje dużo pieniędzy w wymiar sprawiedliwości, ale w statystykach wypada źle.

– Średnio w Unii Europejskiej jest siedemnaście sędziów na sto tysięcy mieszkańców, tymczasem w Hiszpanii zaledwie jedenastu. Spadek liczby sędziów dotyka w równym stopniu cały wymiar sprawiedliwości – mówi sędzia Oliva.

Dopóki jednak skład Naczelnej Rady Sądowniczej nie zostanie odnowiony, liczne stanowiska sędziowskie pozostaną bez obsadzenia. Dla przykładu w Sądzie Najwyższym wśród 79 stanowisk sędziowskich do obsadzenia jest 19 wakatów. Głównie ze względu na przejścia na emeryturę i zgony. W tym roku na emeryturę przejdzie z tego grona kolejnych pięciu sędziów, co zwiększy liczbę wakatów do jednej trzeciej. To w efekcie przełoży się na opóźnienia spraw liczonych już w tysiącach.

Powszechny problem w Europie

Nie tylko Hiszpania ma problem z naczelnym organem sądownictwa.

Jak wynika z unijnego sprawozdania na temat praworządności za rok 2022, „zmiany dotyczące sposobu funkcjonowania krajowych rad sądownictwa stanowią jeden z głównych elementów działań podejmowanych w szeregu państw członkowskich”. Chodzi o takie kraje jak Bułgaria, Irlandia czy Słowacja, gdzie zastrzeżenia budzi zwłaszcza odwoływanie członków rad sądownictwa. Na Węgrzech Krajowa Rada Sądownictwa traci autorytet wobec uprawnień przewodniczącego Krajowego Biura Sądownictwa. W Polsce z kolei są wątpliwości co do niezależności KRS. Znalazło to już odzwierciedlenie w szeregu orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii

→

→ Europejskiej i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Różnica między Polską a Hiszpanią polega na tym, że rządowi w Madrycie na razie nie grozi ewentualne zamrożenie wypłat środków unijnych.

– Może tak się stanie w przyszłości – uważa sędzia Iván Oliver Alonso. I dodaje: – Są pewne podobieństwa między Polską a Hiszpanią związane z wymiarem sprawiedliwości. Jednak jeśli chodzi o wybór rady sądownictwa, to w Polsce odnotowano krok wstecz. W Hiszpanii sposób wyboru sędziów pochodzi z lat 80. XX wieku. Oczywiście nie jest on idealny i wymaga reformy. Jednak do tej pory nie wprowadzono ustawy, która by go istotnie pogarszała.

Zarzutów jest więcej

W Parlamencie Europejskim w minionym tygodniu wybrzmiało więcej zarzutów pod adresem hiszpańskiego wymiaru sprawiedliwości.

Oprócz impasu w Naczelnej Radzie Sądowniczej chodzi o ustawę o powszechnej gwarancji wolności seksualnej, potocznie zwaną „solo sí es sí” („tylko tak oznacza tak”), która weszła w życie 7 października 2022 r. Miała ona chronić ko-

biety i dzieci przed przemocą seksualną. Krytycy ustawy twierdzą, że narusza zasadę domniemania niewinności i równości wobec prawa.

Jednak największe kontrowersje ustawa wzbudziła miesiąc po jej wejściu w życie. Okazało się wówczas, że przez dziurę prawną w sposób niezamierzony nowe prawo może obniżać wyroki dla niektórych skazanych za przestępstwa seksualne. Minister równości Irene Montero tłumaczy to złą wolą sędziów. Ci z kolei odpowiadają, że ciąży na nich obowiązek stosowania prawa najkorzystniejszego wobec skazanego.

A wszystko dlatego, że według ustawy „solo sí es sí” zakres kar za przestępstwa seksualne jest szerszy, co wykorzystują obrońcy niektórych skazanych. W ustawie brakuje zapisów o okresie przejściowym i ograniczeniu rewizji wyroków. Jak szacuje agencja informacyjna Europa Press, od 7 października ponad 200 skazanych za przestępstwa seksualne mogło już wykorzystać nowe prawo i obniżyć swoje wyroki.

– Ta ustawa ma wiele pozytywnych aspektów, jeśli chodzi o ochronę kobiet. Jednak kiedy tworzy się prawo modyfikujące kodeks karny, wymagana jest cierpli-

wość. Tu jej zabrakło i pojawiły się błędy. A teraz krytykuje się nas, sędziów. Mówi się, że jesteśmy konserwatywni i nie chcemy bronić praw kobiet. To niesprawiedliwe. Jedyne, o co zabiegamy, to aby prawo było zgodne i łatwe w interpretacji – mówi sędzia Sergio Oliva ze stowarzyszenia AJFV.

Kiedys wzór, dziś problem

Kontrowersje budzi także niedawny wybór przez rząd byłego ministra sprawiedliwości Juana Carlosa Campo oraz byłej doradczynie rządu profesor Laury Díez do Trybunału Konstytucyjnego.

„Nie widziałem, żeby w którymś kraju europejskim nominowano byłego ministra sprawiedliwości na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. To niezgodne z prawem” – mówił podczas debaty w europarlamencie na temat praworządności w Hiszpanii Paulo Rangel, portugalski eurodeputowany z Europejskiej Partii Ludowej.

I dodał na koniec: „Ubolewam nad tym, że kraj taki jak Hiszpania, który był kiedyś wzorem transformacji demokratycznej, teraz ma takie problemy z sądownictwem”.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA



Podkastu Tygodnika Powszechnego
słucha już ponad **20 000** osób.

Dziękujemy!

dołącz!



JACEK

Podsiadło:

Płaski model samowara



WIOSNĄ 1949 R. ODBYŁA SIĘ DRUGA Wycieczka Chłopów Polskich do Związku Radzieckiego. „Nowa Wieś” zamieściła na rozkładówce fotoreportaż z wycieczki. Nie mogę pokazać samych zdjęć, ale mogę zacytować podpisy pod nimi. „Jak się kieruje takim olbrzymem? – zastanawiają się członkowie wycieczki chłopów, oglądając kombajn Staliniac-6”. „Świnie przynoszą zaszczyt świnikom fermy kolchozu Rok Wielkiego Przełomu”.

Rok później Lech Błaszczyński, przewodniczący Koła ZMP nr 8 w warszawskim mechaniciaku, pisał w imieniu młodzieży do redakcji „Przyjaźni”: „Chcemy hodować pszenicę krzaczastą. Chcemy napisać list do wielkiego kolchozu im. Kirowa na Ukrainie, gdzie w ubiegłym roku bawiła delegacja chłopów polskich – prosimy o jego adres. Będziemy dumni, gdy otrzymamy próbki słynnej pszenicy, dumni z tego, że zdobycze genialnej nauki Miczurina i Łysenki będziemy mogli stosować z powodzeniem na naszej ziemi”.

W czerwcu 1950 r. pojechała do ZSRR wycieczka architektów polskich. Refleksjami z wycieczki podzielili się w książce Katarzyny Hryniewickiej „W miastach radzieckich”: „Architektom naszym architekturę konstruktivistyczną pokazywali autorzy Joffan, Lerwinson i Rozenfeld, zachowując się przy tym bardzo naturalnie. Uznając swe dawniejsze błędy żałują oni tych lat własnego rozwoju artystycznego zmarnowanych w okresie wiary w fałszywe hasła”.

Jerzy Andrzejewski zastanawiał się nad sobą w 1951 r. w książce „O człowieku radzieckim”: „Dlaczego parogodzinny spacer letnim wieczorem po zachodnio-berlińskiej Kurfürstendamm znużył mnie, jakbym chodził z ogromnym ciężarem na plecach, natomiast pobyt w Leninowskim Muzeum w Moskwie dostarczył mi tylu wrażeń i pobudzając umysł jednocześnie głęboko wzruszył?”. Odpowiadając sobie, za ciężar na plecach winił obecnych w niemieckich księgarniach Sartre’a, Gide’a, Eliota i Dos Passosa, ponadto pisma pornograficzne, amerykańskie filmy, „prostytucję obojga płci”, limuzyny i neony. „Owszem, neony na Kurfürstendamm są takie same, jak na Gorkiego w Moskwie, na Newskim Prospekcie w Leningradzie. Jednak (...) o uroku neonów decyduje nie tylko ich efektowny blask, lecz również ustrój, który je zapala”.

W 1953 r. zakładowe koła Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej powiatu radomskiego słały listy do redakcji „Słowa Ludu”. Okazja była szczególna. „My, palące pieców obrotowych Cementowni Wierzbica z okazji zbliżającego się Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zobowiązujemy się wyprodukować dodat-

kowo w miesiącu październiku 500 ton klinkieru cementowego”.

Orbisowski „Przewodnik turystyczny po Moskwie i Leningradzie” z 1965 r. opowiada m.in. o stacji Razliw, gdzie w szopie ukrywał się przez parę dni Lenin. „Już pierwszego dnia napisał artykuł pt. »Położenie polityczne«, który zawierał tezy dla VI Zjazdu Partii. Ta szopa, w której ukrywał się Lenin, znajduje się pod ochroną jak najcenniejszy relikw historyi. Każda deska szopy nasyciona jest specjalnymi środkami chemicznymi, które chronią je przed zniszczeniem”.

„Czy wiecie, że zięba jest szybsza od samolotu?” – pytała „dziewczynki i chłopcy” dziennikarka radiowej „Błękitnej sztafety” w latach 60. „Ustalił to biolog radziecki po wielu badaniach. Oto schwytaną ziębę ważył i wypuszczał w dalszą drogę. Po pewnym czasie ponownie ją chwycił i ważył. W ten sposób udało się dokładnie określić, ile tłuszczu, czyli ptasiego paliwa traci zięba na kilometr na jednostkę ciężaru. I cóż się okazało? Gdyby ptaka powiększyć do rozmiarów samolotu, zużywałby półtora raza mniej paliwa! Uczeń radziecki bada tajemnice ptasiego lotu w nadziei, że pomoże im to zbudować nowy typ aparatu z machającymi skrzydłami”.

„Motywy” zachęcały w 1972 r. uczniów, aby organizowali kuligi i kończyli je „czajem u Andriuszy” w szkolnych świetlicach. „Na honorowym miejscu stawiamy samowar, lub choćby jego płaski model wykonany z papieru”. „Wieczór u Andriuszy uda się nawet wtedy, jeżeli z różnych względów trzeba będzie zrezygnować z samego kuligu”.

„Głos Koszaliński” z 1973 r. zwracał uwagę rolników na potrzebę używania kompasu w procesie sadzenia kartofli: „Jak wykazali uczeni radzieccy, plony ziemniaków zależą także od kierunku redlin. (...) Stwierdzono, że ziemniaki rosnące w redlinach skierowanych południkowo wytwarzają silniejsze krzaki i dają plony średnio o 10-12 proc. wyższe niż rośliny w rzędach o przebiegu równoleżnikowym”.

Polskojęzyczna wersja wileńskiego miesięcznika „Kobieta Radziecka” dawała polskim czytelnikom wyobrażenie o ogromie problemów, jakim stawia czoło radziecka kobieta. Kiedy Wiktor Zatwarski dopytywał w polskiej wersji „Podmoskiewskich wieczorów” milczącą adresatkę: „Czemu patrzysz w bok, czemu kryjesz wzrok? Czemu smutno tak wzdychasz wciąż?”, to chyba musiał się zwracać do D. Marenskiene, która w liście z obory przedstawiła redakcji „Kobiety Radzieckiej” dręczące ją w 1977 r. wątpliwości. „Mnie się zdaje, że nie należałoby nadawać zwierzętom imion ludzi. Oczywiście, nie mam na myśli różnych dziwaków. Jednakże fermy kolchozów i sowchozów – to nie własna obora i nieprzyjemnie słyszeć, gdy wołają na krowę: Ramune, Jewa, Lina itd.”. Redakcja zwróciła się po wyjaśnienie kwestii krowich imion do ministerstwa. „W Ministerstwie Rolnictwa wyjaśniono, że już nieraz wskazano, że nie można nadawać zwierzętom imion ludzkich. Takie nadanie imion świadczy o niskim poziomie kulturalnym kierowników ferm i zootechników, którzy zazwyczaj dobierają imiona dla zwierząt”.

©

WYBÓR MICHASIA

„Wiesz, że cię kochamy, i że nasz dom jest twoim domem.
Ale jesteś Żydem. Idź do swoich, należysz do nich”
– powiedziała Helena Stachowicz chwilę przed tym, gdy serce pękło jej na kawałki.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z BENE BERAK (IZRAEL)

DZIEŃ MICHAELA URICHA ZACZYNA SIĘ zwyczajnie: poranna toaleta, śniadanie, modlitwa i nauka Talmudu. Potem zakupy, drobne porządki w pustym mieszkaniu pełnym pamiątek. Krótki spacer hałaśliwymi uliczkami miasta Bene Berak do biura, w którym przez kilka godzin będzie przyjmował wizyty podobnych do niego, udzielając im wskazówek najlepiej, jak potrafi. Czasem wyjdzie do jakiejś szkoły albo instytucji i będzie opowiadał, przeżywając na nowo to, co spotkało go 80 lat temu.

Potem wróci do pustego mieszkania, wciąż pełen emocji. Wypowie na głos: „Hej, Siri, zadzwoń do mojego syna”. Choć w tej chwili mógłby też: „Siri, jak to możliwe, że przeżyłem? Czemu sześć milionów? Co z mamą, z tatą? Hej, Siri, słyszysz mnie?”. „Nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie” – mogłaby odpowiedzieć metalicznym głosem. Przyjąłby to z pokorą.

Bo Michael – 89-letni dziś rabin, jako dziecko wychowany w Warszawie i ocalały z Holocaustu – Boga już o to nie pyta. Zaufał Mu bezgranicznie.

– Nie bardzo rozumiem, czemu się tak dziwi. Ci świeccy, którzy w kółko zadają pytanie: po co zostałem rabinem, po co się modłę, skoro Bóg pozwolił na takie cierpienie? Wierzący raczej takich pytań nie zadają – stwierdza, gdy rozmawiamy w jego mieszkaniu w Bene Berak, mieście sąsiadującym z Tel Awiwem, znanym ze swojej ultraortodoksyjnej i chasydzkiej ludności.

– Ja im na to mówię: jest zupełnie odwrotnie, niż sądzicie. Skoro przeżyłem mimo Zagłady i osierocenia, to znaczy, że jest Ktoś, kto o mnie zadbał. Żeby tu dziś był, robił, co robię, tak, jak obiecałem moim rodzicom. Kwestia sześciu milionów jest dla mnie trudna. Na to pytanie nie mam odpowiedzi, choć zadaję je sobie od ósmego roku życia. Wiem jedno: ten, co to przeżył, ma misję do spełnienia. Mam prawie 90 lat, a to, co dziś robię, daje mi trzecie życie – mówi. I zaczyna opowiadać o tym, jak dostał to drugie.

Dom otwarty

„Michael Urich, ul. Szustera 19, Warszawa, Żyd, urodzony w Tarnopolu 9 sierpnia 1934 r., syn Barucha-Bernarda i Malki-Malwiny Urich, wnuk Szlomo i Hanny Urichów ze Lwowa oraz Moszego i Fanny Wilnerów z Tarnopola” – napisała mama na karteczce, którą wszyła w podszewkę dziecięcego płaszczka.

„Miała rude włosy, brązowe oczy i piegi. Była młodsza od mojego ojca o cztery lata i niższa o głowę. Pamiętam ją jako wykształconą, bystrą i mądrą kobietę, elegancko ubraną z dobrze dobranym kapeluszem, który zawsze zakładała wychodząc z domu” – napisze potem Urich we wspomnieniach.

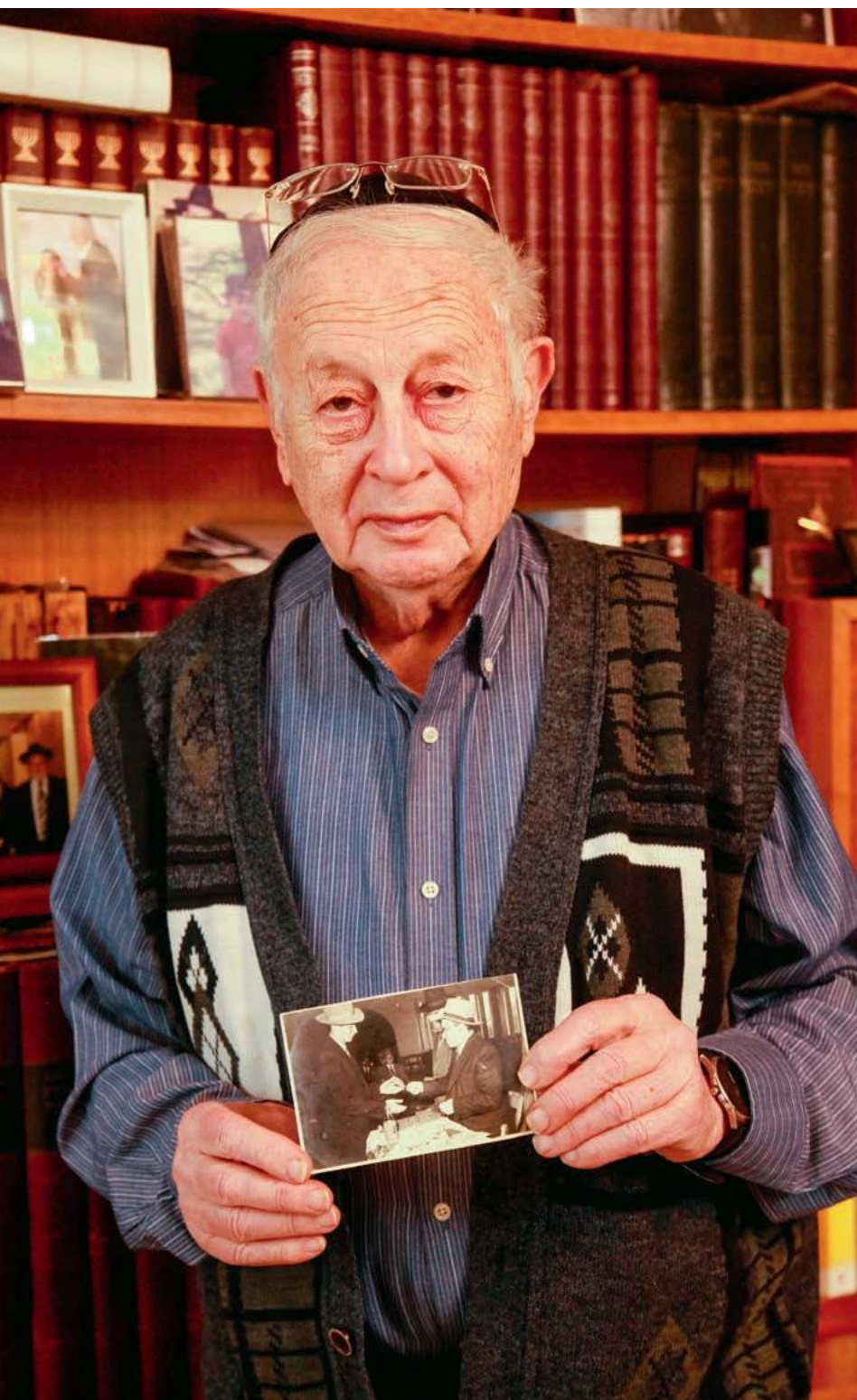
Absolwentka tarnopolskiego gimnazjum, dostała się na wydział farmacji Uniwersytetu Lwowskiego. Łamiąc przyjęte zasady, wyszła za mąż dopiero po ukończeniu studiów. Dziadek od strony ojca,

Szlomo Zalman – ortodoksyjny i otwarty jednocześnie – handlował we Lwowie nowoczesnymi wówczas maszynami do pisania. W domu używał telefonu, a syna posłał na studia, by został inżynierem. W postępowym żydowskim domu Urichów mówiono po polsku, ale z szacunkiem dla tradycji – rodzice używali hebrajskich imion, modlili się, przestrzegali szabatu.

Do Warszawy przeprowadzili się z Tarnopola, gdy Michael – zwany pieśzczotliwie Michasiem – miał dwa i pół roku. Pamięta eleganckie mieszkanie na Mokotowie, niedzielne wizyty rodziców u polskich przyjaciół, ładne ubranka, które zakładała mu mama, i święta u ukochanych dziadków we Lwowie. „Ciepło, jakim rodzice otaczali mnie w dzieciństwie aż do czasu przymusowego rozstania, jest dla mnie do dziś egzystencjalnym fundamentem” – napisze. Wybuch wojny w 1939 r., kilka tygodni po jego piątych urodzinach, przerwał tę sielankę.

Pożegnanie

Prześladowania Żydów sprawiły, że mimo swego statusu rodzina szybko zaczęła odczuwać głód. W październiku 1940 r. Urichowie przymusowo przenieśli się do getta. Jego bramy zamknięto, a pozwolenie matki na pracę poza jego murami cofnięto. „Dużo płakałem. Choć miałem tylko sześć lat, moi rodzice rozmawiali ze mną, jakbym był dorosły. Wyjaśniali mi sytuację, dosadnie i bez ogródek, ucząc mnie wytrwałości i spo-



Michael Urich ze zdjęciem z młodości. Bene Berak, Izrael, 17 stycznia 2023 r.

sobu znalezienia w sobie siły” – pisze Urich.

Przywykł do widoku umierających na chodnikach ludzi. – Interesowało mnie jedno: przeżyć i zjeść – mówi dziś. To głód sprawił, że dołączył do dzieci wymykających się tunelami pod murami getta, by przynieść ze strony aryjskiej coś do jedze-

nia. Pomocą rodzinie służył też polski przyjaciel Czesław Nowak, tramwajarz codziennie przejeżdżający przez getto, który dostarczał im jedzenie, a potem pomógł zaplanować ucieczkę. Rozmawiali o tym już w lipcu 1942 r., gdy zaczęły się masowe deportacje z Umschlagplatzu do Treblinki.

Kilka tygodni później, podczas przygotowań do ucieczki, Malka-Malwina nagle zniknęła. Chłopcu zawałił się świat. Ojciec nie czekał – w wydostaniu się z getta pomógł im Nowak, wywożąc ich w nocy poza mur. Ściągnąwszy opaskę z gwiazdą Dawida, ojciec zaprowadził chłopca do zaprzyjaźnionej Heleny Stachowicz, która mieszkała wraz z mężem Janem i synem Ryszardem przy ul. Lechickiej 30.

„W słabym świetle żarówki dostrzegłem kobietę średniego wzrostu, około czterdziestki, o jasnych włosach i przyjemnym wyglądzie. Gdy tylko drzwi się zamknęły, przytuliła mnie i czule pocałowała. Jej szare oczy wyrażały współczucie, a szeroki uśmiech był szczery i przyjazny” – pisał po latach. Ojciec podał Helenie kopertę z oszczędzonymi pieniędzmi, uściśkał syna i wyznał mu, że zamierza dołączyć do grupy partyzantów. „Jeśli coś mi się stanie, pamiętaj, kim jesteś, i działaj dla dobra świata i narodu żydowskiego” – zapamiętał słowa ojca. Nigdy już go nie zobaczył.

Dym nad gettem

„Od razu zdałem sobie sprawę z tego, że Helena Stachowicz ma złote serce. Jestem pewien, że pieniądze, które otrzymała od mojego ojca, przeznaczyła jedynie na pokrycie wydatków na jedzenie, ubrania, gry i książki. Przez cały ten czas niczego mi nie brakowało nawet po tym, jak pieniądze się skończyły, a mój ojciec dalej nie wracał. Od pierwszej chwili, gdy wszedłem do jej domu, nie zadawała mi żadnych pytań ani nie komentowała niczego. Byliśmy razem prawie trzy lata i nigdy nie dostrzegłem w niej żadnego zwątpienia. Jan i Ryszard też zaakceptowali mnie jako członka rodziny. Jednak czułem się tam obcy, szczególnie na początku” – pisze Michael.

Mimo to szybko się odnalazł w nowej tożsamości. Stał się polskim chłopcem, przykładnym uczniem, katolikiem w niedzielę chodzącym z rodziną do kościoła, zjadającym wszystko, co Helena postawi na stole, z wieprzowiną włącznie. Był ostrożny: po mieście chodził wyłącznie z Heleną lub kolegami z klasy.

Wiosną 1943 r. dowiedział się o likwidacji getta. Pamięta dym nad dawną Dzielnicą Północną. Represje zaczęły się nasilać, a rozmowy w domu Stachowiczów coraz bardziej przypominały rozmowy rodziców w getcie. Latem 1944 r. Niemcy przeprowadzili deportacje ludności ➔

→ polskiej. Rodzina Stachowiczów z Michaśm trafiła do Buchenwaldu.

Wielki gest

Stachowiczów rozdzielono: Jana i Ryszarda zapędzono do obozu dla mężczyzn, a Helenę i dziewięcioletniego Michasia do mniejszego obozu. Helenę wysyłano do pracy w fabryce części samolotowych pod Buchenwaldem, skąd przynosiła chłopcu dodatkowe kawałki chleba. W Buchenwaldzie spędzili dziewięć miesięcy. Jan stracił tam życie.

„11 kwietnia 1945 roku na kilka godzin przed przybyciem żołnierzy amerykańskich do Buchenwaldu większość esesmanów i armii niemieckiej uciekła z obozu. Nagle wszystkie bramy się otworzyły. (...) Wojna się zakończyła, mówiłem sobie. Jednak moje serce było pozbawione uczuć, a głowa myśli. Poza jedną: co włożyć do ust”.

Niemal natychmiast po wyzwoleniu w obozie pojawili się przedstawiciele żydowskich organizacji. Wiedzieli, że żydowskie dzieci mogą się tu znajdować wraz z ratującymi je rodzinami polskimi, rosyjskimi, czechosłowackimi i innymi, które trafiły do Buchenwaldu.

Helena biła się z myślami. W końcu poszła do jednego z rabinów i powiedziała, że jest z nią żydowskie dziecko. Potem wróciła do baraku i przytuliła chłopca. „Michaś, wiesz, że cię kochamy, i że nasz dom jest twoim domem. Ale jesteś Żydem, myślę, że nie powinienś wracać do Polski, tylko dołączyć do swojego narodu. Myślę, że będzie ci tam lepiej” – wspomina jej słowa Ulrich.

„Można powiedzieć, że to ona zadecydowała o mojej przyszłości i że dzięki niej zostałem uratowany podwójnie: fizycznie i duchowo. Gdyby się tak nie zachowała, być może kontynuowałbym swoje życie jako katolicki Polak, jak tysiące żydowskich dzieci ukrywanych przez rodziców we wspólnotach religijnych i u rodzin katolickich, które po wojnie pozostały katolikami” – napisał po latach. „Wykonała wielki gest (...) Nie mam pojęcia, czy złożyła ojcu jakąś obietnicę; z jednej strony mogła rzeczywiście obiecać, że przywróci mnie judaizmowi – a pobożny katolik czuje się zobowiązany do dotrzymania przysięgi – ale z drugiej strony, zgodnie ze swoim credo powinna była wychować mnie na katolika, którym i tak po części już byłem. Dlatego uważam, że jej działania były wyrazem szczerzej matczynej mi-



Dziesięcioletni Michael tuż po wojnie, na rekonwalescencji.

łości, będącej w stanie przeważać nad jej osobistymi pragnieniami”.

Na pytanie rabina o jego imię, chłopiec wyciągnął z podszewki płaszczyka poplamiony papier, zapisany ręką mamy. Pożegnanie z Heleną w bloku nr 66 obozu w Buchenwaldzie było dla obojga bolesne. Długo trwali przytuleni, Michasiem targaly emocje: wrócić do kochającego polskiego domu czy wypełnić obietnicę złożoną ojcu? „Będę cierpiała bez ciebie. Jeśli chcesz z nami wrócić, będę bardzo szczęśliwa. To ty musisz zdecydować – mówiła Helena”.

„Idź do swoich. Należysz do nich” – powiedziała w końcu stanowczo i go ucłowała. Michaś podał rękę rabinowi i poszli. Swojej polskiej mamy już więcej nie spotkał.

Za wszelką cenę

– To była ciężka decyzja. Kochałem ją. Nie miałem już żadnej innej osoby, której mógłbym to powiedzieć. Nie przyszło mi do głowy, by zapytać ją wtedy, dlaczego to dla mnie zrobiła: ocalała, pokochała, a potem pozwoliła iść w swoją stronę, choć sama miała tylko jedno dziecko, a w obozie straciła męża. W domu Heleny spotkało mnie wyłącznie dobro. Poświęciła mi mnóstwo uwagi i troszczyła się tak samo jak o własnego syna. Nie robiło dla niej żadnej różnicy, że jestem Żydem. Również ze strony syna nigdy nie wyczułem jakiegось zazdrości, pomagał jej opiekować się mną, był dla mnie starszym bratem – opowiada Michael Ulrich. – Rodzina Stachowiczów była bardzo religijna. To

byli szlachetni ludzie. Zrobili to, co należało wówczas zrobić.

Po wyjeździe z Polski Michael szukał ze Stachowiczami kontaktu. Przez 10 lat, aż do śmierci Heleny, korespondował z Ryszardem. Dziś jest w stałym kontakcie z Zofią Stachowicz, żoną Ryszarda, która mieszka w Warszawie.

Jego staraniem w 2004 r. Helena Stachowicz otrzymała pośmiertnie tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Dyplom instytutu Yad Vashem odebrała w Warszawie z rąk Szewacha Weissa jej synowa. W Jerozolimie posadzono drzewo i opatrzone je tabliczką.

Co się działo w sercu dziecka z religijnego żydowskiego domu, które z dnia na dzień musiało stać się przykładnym katolikiem? – Rodzice powiedzieli mi: pamiętaj, że jesteś Żydem, i jeśli przeżyjesz, czyn dla Żydów dobro. Zrozumiałem też, że jedynym wyjściem w tej sytuacji jest milczenie. Stanie się częścią większości i przeżycie za wszelką cenę. Zepchnięcie świadomości pochodzenia w sam kąt serca. Moja wiara, też tam upchnięta, wróciła na swoje miejsce dopiero wtedy, gdy już było mi wolno – mówi dzisiaj Ulrich.

Powrót do korzeni

Na czas rekonwalescencji grupę kilkuset dzieci żydowskich z Buchenwaldu przyjechała Szwajcaria. Leczone ich rany fizyczne i psychiczne. Na miejscu pojawili się przedstawiciele organizacji żydowskich. Było dla nich ważne, by przywrócić dzieciom ich tożsamość. Jeszcze w Bu-

chenwaldzie przypominano dzieciom zasady judaizmu. W Szwajcarii przyjęło to bardziej zorganizowany wymiar: dzieci przydzielano do konkretnych ruchów, co miało im pomóc w powrocie do nauk wyniesionych z domu, a ruchom – w liczebnym wzroście, tak ważnym dla rodzącego się państwa żydowskiego.

Michael zapragnął wrócić do religijnych korzeni. Dołączył do chłopców z ruchu Poalej Agudat Israel, ortodoksyjnego ruchu robotniczego, i przez rok uczył się Tory. W czerwcu 1946 r., po otrzymaniu certyfikatów (brytyjskich zezwoleń na przyjazd do Erec Israel), statek z Michałem na pokładzie dopłynął do Hajfy.

Trafił do miasta Bene Berak. Był tam dom dziecka dla dzieci ocalałych z Zagłady. Edukację religijno-ortodoksyjną zapewniała mu szkoła Talmud Tora. Po jej ukończeniu pragnął nadal pogłębiać wiedzę – zdecydował się kontynuować naukę w znanej w ortodoksyjnym świecie jesziwie Ponevez.

„W momencie przejścia w dorosłość poczułem, że mam misję do wykonania. Zgodnie z pożegnalną mową mojego ojca pragnąłem pomagać innym. Uznawałem to za rolę rabina, który potrafił odpowiednio doradzić na poziomie osobistym, prawnym, jak i religijnym. Udzielał pomocy nie ze względu na swoją rolę, ale na posiadaną wiedzę i szerokie kompetencje”. Tak oto Michael postanowił zostać rabinem.

W wieku 22 lat poznał przyszłą żonę, Szoszanę. Dzień ślubu w jego pamięci: „Dla mnie spełniło się marzenie: tworzyłem rodzinę z kobietą, którą kochałem, jednak przez cały wieczór towarzyszył mi smutek: szczególnie pod chupą, kiedy stałem sam [bez rodziny – red.], a moim jedynym świadkiem był Bóg”. Dziś mają troje dzieci i ośmioro wnucząt. Niemal wszyscy są religijni.

Po ślubie Michael kontynuował studia i odbył służbę wojskową. Nadal szukał ocalałych członków rodziny. W Niemczech udało mu się odnaleźć jedną osobę: brata ojca.

Do Niemców czuł głęboką niechęć. Był zdeterminowany, by uzyskać wszelkie możliwe reparacje od tych, którzy zostawili go na świecie samego.

Starość ocalałego

W 1952 r. Izrael podpisał z zachodnimi Niemcami umowę dotyczącą odszkodowania: przewidywała przekazanie pań-



Michael po wojnie, jeszcze w Buchenwaldzie, gdzie dziećmi zajęły się organizacje żydowskie.

stwu żydowskiemu do 1965 r. trzech miliardów marek, element rekompensaty za Zagładę. Michael zaczął zagłębiać się w przepisy dotyczące zasiłków, w spory sądowe i wkrótce świetnie się w tym orientował. Mijały lata. Zauważył, że zagmatwane przepisy uniemożliwiają coraz starszym już ocalałym docieranie do funduszy. Wyszło też na jaw, że wielu z nich żyje w ciężkich warunkach, a izraelskie instytucje, zamiast upraszczać przepisy, komplikują je. Michael był też świadkiem nieuczciwych praktyk adwokatów.

Dlatego w 2000 r. zainicjował w swoim mieście powstanie Centrum Informacji dla Ocalałych z Holocaustu, które do dziś pomaga im w procedurach odszkodowawczych, a także w sprawach codziennych. Pracuje tam kilka razy w tygodniu jako wolontariusz.

Kim jest dziś ocalały z Zagłady? Michael: – Ma przynajmniej 80 lat. Nie słyszy dobrze, słabo widzi, nie rozumie przepisów, nie wie, do czego ma prawo, nie tylko w Izraelu czy w Niemczech, ale i w innych krajach. Każda z tych osób jest w kiepskiej sytuacji finansowej. A przecież zaczynali tu życie bez żadnych „pleców”. Przyjeżdżali z niczym, bez rodzin, które w razie czego mogłyby ich poratować. To nie jest sytuacja, że mama i tata nie żyją i zostawili mieszkankę. Ocalali muszą liczyć na państwo. Dzieci? W drogim Izraelu dzieciom trzeba pomagać, a nie oczekiwać od nich pomocy. Tymczasem izra-

elskie instytucje kierują się zasadą: jeśli o czymś nie wiesz, to znaczy, że ci nie przysługuje. Obliczają jakieś procenty od poniesionych strat. Doradzałem w tej sprawie w Knesecie i powiedziałem im: przestańcie na nas oszczędzać! Iluż nas zostało? Ile jeszcze pożyjemy? Za kilka lat już nas przecież nie będzie – mówiąc to, nie umie powstrzymać emocji.

W 2002 r. dostał się szczytu: zapalił jedną z sześciu pochodni podczas Dnia Pamięci o Zagładzie. Mogą to zrobić ci, którzy przeżyli, i wybrane osoby o szczególnych zasługach dla kraju. Ale to wyróżnienie – jak i fakt, że ofiary Zagłady otaczane są w Izraelu szczególnym szacunkiem – nie przekłada się na ich status materialny.

Kontrola nad snami

Regularnie odwiedza szkoły i instytucje, by złożyć świadectwo. Ma świadomość upływającego czasu, dlatego spieszy się, by dzielić się swoją historią. Boi się, że za kilka lat, gdy takich jak on zabraknie, młodzi zapomną, że była Zagłada, że niektórzy przeżyli i godnie kontynuowali swoje życie. Spotkania z młodymi, podczas których wychodzi na jaw ich niewiedza, napawają go smutkiem.

Dość już się w życiu namilczał. Także wtedy, w pierwszych miesiącach pobytu w Erec Israel. – Jak tu przyjechaliśmy, śmiały się z nas dzieci urodzone na miejscu. Żeśmy pozwolili na to, żeby nas mordowano. Dlatego przestaliśmy o tym opowiadać. Aż do procesu Eichmanna w 1961 r., gdy społeczeństwo zrozumiało, czym była Zagłada – mówi dziś.

Gdy jego dzieci podrosły, zdecydował się spisać wspomnienia. Zatyłował je „Szkłanka do połowy pełna. Wspomnienia ocalałego z Szoa”. Tekst przetłumaczono z hebrajskiego na niemiecki, angielski i włoski. Polskie tłumaczenie czeka na wydawcę.

„Wciąż śnię o Buchenwaldzie – pisze w nich. – Śnię, że chcą mnie schwytać, i że nie mam co jeść (...). Śnię zresztą nie tylko o obozie. (...) Nawet dzisiaj poświęcam się pracy i staram się usunąć wspomnienia, nie mam jednak kontroli nad snami”.

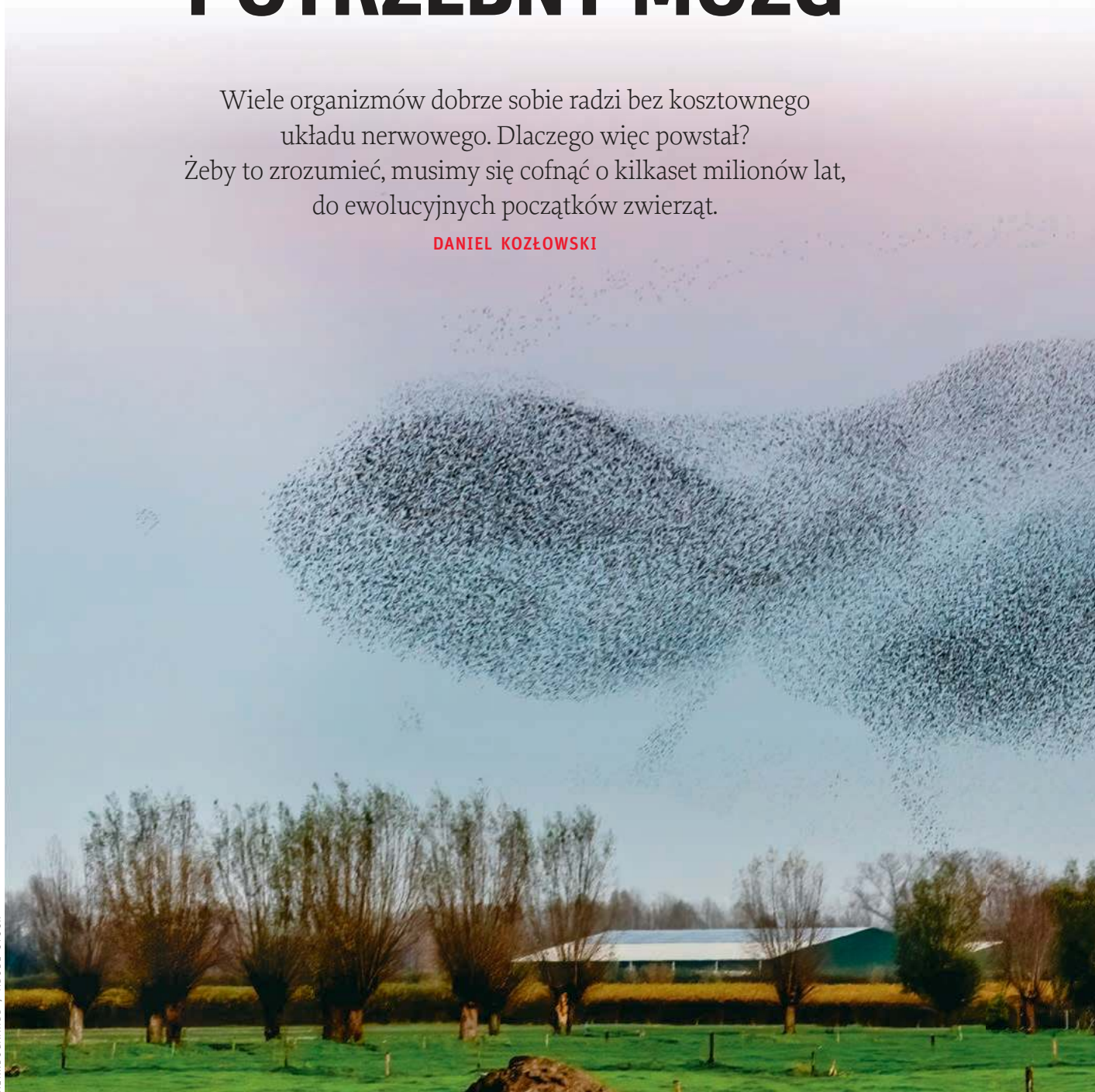
© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

W tekście wykorzystałam fragmenty wspomnień Michaela Uricha w tłumaczeniu Filipa Gabryszewskiego.

KOMU POTRZEBNY MÓZG

Wiele organizmów dobrze sobie radzi bez kosztownego układu nerwowego. Dlaczego więc powstał? Żeby to zrozumieć, musimy się cofnąć o kilkaset milionów lat, do ewolucyjnych początków zwierząt.

DANIEL KOZŁOWSKI



SPOŚRÓD WSZYSTKICH ORGANIZMÓW żyjących na Ziemi – od mikroskopijnych bakterii przez kolorowe rośliny po mniej czy bardziej futrzaste zwierzęta – tylko ostatnia grupa potrzebuje mózgu, by rozmnażać się, zdobywać pożywienie lub sprawdzać e-maile. Sam układ nerwowy również nie jest bardzo stary, biorąc pod uwagę ewolucyjną skalę czasu. Szacuje się, że pojawił się wraz z eksplozją kambryjską różnorodnych form zwierząt ponad 500 mln lat temu, a samo życie jest ponad 3 mld lat starsze. Rodzi to szereg pytań. Po pierwsze: dlaczego mózg w ogóle wyewoluował? I jaką korzyść przyniósł zwierzętom? Czy zachowanie zwierząt, które mózg posiadają, różni się diametralnie od zachowania bakterii, roślin lub innych organizmów, które nie mogą pochwalić się nawet pojedynczą komórką nerwową? Czy jesteśmy w stanie zaobserwować zachowania, które zwykle przypisujemy działaniu umysłu, w pojedynczej komórce? Spróbujmy przyjrzeć się, jakie odpowiedzi przynosi nam współczesna nauka.

Sekunda z życia bakterii

Bakterie pobierają niezbędne składniki odżywcze z otoczenia. Żeby to jednak było możliwe, muszą najpierw zlokalizować w swoim środowisku źródło pokarmu. Znajome nam bakterie *E. coli*, żyjące w naszym układzie pokarmowym, posiadają receptory (białka), które wykrywają różne rodzaje związków chemicznych, takie jak cukry czy aminokwasy. Często jednak źródło tego pokarmu znajduje się w oddali i bakteria się porusza, aby móc skorzystać z odkrytych zasobów.

Dotarcie do celu wymaga zgrania kilku czynników. Po pierwsze, ewolucja wyposażyła bakterię w „narząd ruchu”. *E. coli* posiada wici, które napędzają komórkę ruchem obrotowym i pozwalają jej poruszać się do przodu. Żeby ten ruch nie był losowy, bakteria musi wykryć źródło pożywienia i skierować się w jego stronę. Do tego służą wspomniane receptory, które dodatkowo odpowiadają za... pamięć. Oczywiście pojedyncza komórka bakterii nie pamięta dwudziestu cyfr po przecinku liczby pi albo co jadła tydzień temu na obiad. Jej środowisko życia jest o wiele mniejsze od naszego, żywot zaś – żałośnie krótki. O wiele krócej mogą trwać więc również jej wspomnienia. W zasadzie bakterii wystarczy wiedzieć, co zdarzyło się sekundę wcześniej, i na tyle właśnie szacuje się jej pamięć. Jeśli ilość wykrytej substancji jest większa teraz niż chwilę temu, to opłaca się kontynuować obrany kurs i posuwać się naprzód.

Eksploatacja z wykorzystaniem ekstremalnie krótkiej pamięci nie wydaje się może bardzo efektywna, ale moglibyśmy powiedzieć, że jest wystarczająco dobra dla jednokomórkowca, którego życie spełnia się w przestrzeni może kilkuset mikrometrów. Gdybyśmy spojrzeli na to, jak bakteria dotarła do celu, uznaliby-

śmy prawdopodobnie, że trafiła na źródło pożywienia przez przypadek. I na to wskazuje też nazwa ruchu bakterii – błędzenie losowe (ang. *random walk*) – jakby komórka przeszukiwała każde możliwe miejsce z takim samym prawdopodobieństwem i zainteresowaniem. Tak jednak nie jest. Zobaczyliśmy przecież, że arsenał tego miniaturowego organizmu jest całkiem skomplikowany i pozwala na wykrywanie bardziej „faworyzowanych” kierunków (źródła pożywienia). W ten sposób ruch, który jawi nam się jako losowy, w istocie zwiększa szanse bakterii na znalezienie pokarmu. Bakterie mogą więc pamiętać różne wydarzenia i na ich podstawie podejmować decyzje ważne dla ich przetrwania.

Jak ławica ryb

Daniel Wolpert, neurobiolog próbujący zrozumieć, jak uczymy się różnych zdolności manualnych, wysunął hipotezę, że głównym zadaniem mózgu jest kontrolowanie ruchu. Podał przykład morskich stworzeń – żachw – które na pewnym etapie rozwoju osiadają w koloniach i tak przeżywają resztę swej doczesności. Co jednak ciekawe, gdy tylko żachwy przejdą na osiadły tryb życia, tracą część swojego mózgu. To brzmi rozsądnie. Mózg jest energożerny, a więc pochłania mnóstwo zasobów, które trzeba znaleźć w postaci pożywienia i skosztować. Jeśli zaś mózg zawiadował ruchem tych zwierząt, a osiadłe żachwy już się nie poruszają, to nie ma sensu utrzymywać bezużytecznego organu.

Mózg z pewnością kontroluje ruch – i robi to wyjątkowo sprawnie – ale czy ruch musi być kontrolowany przez mózg? Już przykład mikrometrowej bakterii pokazuje, że organizmy mogą poruszać się w wybranych kierunkach bez sygnałów z układu nerwowego – wystarczy odpowiednia maszyna molekularna, która łączy rozpoznawanie informacji z zewnętrznego świata i narząd lokomocji. Obserwujemy to także u bardziej skomplikowanych organizmów – zwierząt, które nie posiadają nawet jednej komórki nerwowej.

Mowa tu o *Trichoplax adhaerens*, jednym z trzech gatunków zwierząt należących do typu płaskowców (*Placozoa*). →

Złożone formacje szpaków wylaniają się z prostych reguł, którymi w locie kierują się poszczególne osobniki.





Płaskowiec *Trichoplax*
to zwierzę, które potrafi
pamiętać, podejmować
decyzje i poruszać się,
**choć nie posiada
układu nerwowego.**

→ To proste organizmy o długości milimetra, pod mikroskopem widziane jako poruszająca się chaotycznie masa. Składają się z dwóch warstw komórek, między którymi znajduje się siateczkowate syncytium (cytoplasma posiadająca wiele „uwspólnionych” jąder komórkowych, tak jakby wiele komórek połączyło swoje błony i wymieszało swoje zawartości). Syncytium łączy swoimi „ramionami” obie warstwy. Jedna z powierzchni *Trichoplax* posiada liczne rzęski, dzięki którym płaskowiec się porusza. Według niektórych badaczy siateczkowate syncytium, dzięki swym właściwościom propagacji sygnałów i kurczliwości, przypomina trochę układ nerwowy, ale jednak trudno w pełni przypisać mu funkcję kierowania ruchem płaskowca. A mimo to ten organizm może wyczuwać składniki pokarmowe i wykazywać w ich stronę chemotaksję jak bakteria, czyli migrować w stronę określonego związku chemicznego. Jak to możliwe?

Pomyślmy o ławicy ryb w morzu albo stadzie szpaków tworzących w powietrzu fantastyczne kształty. Jak to jest, że te zwierzęta nie wpadają na siebie i poruszają się w skoordynowany sposób? Dlaczego taka grupa szybko się nie rozpadnie? Gdyby każdy członek takiego „niezorganizowanego” stada poruszał się całkowicie chaotycznie, to grupa rzeczywiście rozplynęłaby się na wszystkie strony, ale wystarczy, że każdy będzie oddziaływał na osobniki w najbliższym otoczeniu, utrzymując i wymuszając pewną odległość, by grupa zachowała uporządkowaną strukturę.

Tysiące rzęsek, na których *Trichoplax* przemieszcza się po powierzchni, wykazują podobne własności do ławicy ryb pływającej w toni wodnej. Kiedy *Trichoplax* wyczuwa pokarm i chce się do niego zbliżyć, rzęski zaczynają w skoordynowany sposób przemieszczać ciało płaskowca w danym kierunku. Jest to o tyle fascynujące, że w przeciwieństwie do rzęsek innych organizmów wykorzystujących ten sposób lokomocji rzęski płaskowców nie są ze sobą powiązane w żaden sposób (np. przez połączenia szczelinowe, dzięki którym mogłyby się ze sobą komunikować, przekazując sobie różne sygnały). Ich uporządkowany ruch możemy interpretować jako tzw. zachowanie emergentne, tzn. wyłaniające się z prostych reguł rządzących zachowaniem pojedynczych rzęsek, prowadzących wspólnie zwierzę

w stronę źródła pokarmu wyczuwanego przez liczne receptory.

Przykłady *E. coli* oraz *Trichoplax* sugerują, że organizmy te są w stanie pamiętać, podejmować decyzje i poruszać się, chociaż nie posiadają układu nerwowego, który sterowałby tymi procesami. Rzecz jasna nie jest to coś wyjątkowego – nawet rośliny mogą przemieszczać swoje liście w stronę źródła światła. Skoro jednak te wszystkie organizmy radzą sobie bez mózgow, to warto zapytać, dlaczego tak skomplikowana struktura jak układ nerwowy powstała w trakcie ewolucji? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy cofnąć się o setki milionów lat, do momentu, gdy na świecie pojawiły się pierwsze zwierzęta.

Najstarsze ślady ugryzienia

540 mln lat temu zdarzyło się coś, co stanowiło „fundamentalny problem” dla teorii ewolucji drogą doboru naturalnego, jak określił to sam jej autor, Karol Darwin. Według teorii Darwina organizmy miały ewoluować stopniowo, nabywając nowych cech na drodze selekcji naturalnej. A jednak zapis kopalny wskazywał na coś innego, gdyż wiele skamieniałości zaczęło się pojawiać w skałach z tego samego okresu geologicznego. Ta „eksplozja” fauny w konkretnym momencie historii życia na Ziemi mogła wskazywać na jakieś inne zdarzenia, których darwinowski mechanizm miał nie wyjaśniać.

Eksplodacja kambryjska, jak nazywamy ten okres w paleobiologii, do dziś stanowi zagwozdkę dla naukowców. Nagle w zapisie kopalnym z kambru, okresu geolo-

gicznego, którego początek datuje się na ok. 541 mln lat temu, pojawiła się istna bioróżnorodność organizmów o określonych cechach. U wielu z nich zaobserwowano pierwsze wypustki lub kończyny czy organy, które mogły odpowiadać za wykrywanie bodźców (zmysły). Z kolei odkrycia paleobiologiczne z ediakaru, okresu poprzedzającego kambry, są mniej liczne i nie tak dobrze utrwalone. Wskazują jednak na całkiem inną anatomię tamtych zwierząt, nieposiadających szkieletów czy wielu wyspecjalizowanych tkanek i organów.

Istnieją różne hipotezy, skąd pojawiły się nowe specjalizacje u kambryjskich organizmów. Są one dla nas o tyle istotne, że wydają się powiązane z powstaniem układu, który zaczął to wszystko kontrolować – mózgu. Przyjmuje się, że ediakarańskie zwierzęta żywiły się głównie poprzez filtrowanie zawiesiny pływającej w wodzie. W okresie przejściowym między ediakarem a kambrem obserwujemy jednak coś nowego. Np. w pochodzących sprzed ok. 550 mln lat skamieniałościach *Cloudina*, zwierząt tworzących rurkowate struktury, pojawiają się dziurki w ich zwapniałym ciele, które musiały powstać z powodu czynników zewnętrznych i nie były częścią anatomii tych organizmów. Paleobiolodzy Stefan Bengtson i Yue Zhao zinterpretowali to jako pierwsze ślady, które mogą świadczyć o tym, że zwierzęta zaczęły zjadać się nawzajem. Inaczej mówiąc, w środowisku pojawiły się drapieżniki.

A to oznacza, że organizmy musiały zacząć się bronić, jeśli chciały uniknąć marnego końca. Ewolucja zaczęła faworyzować te jednostki, które wykształciły różnego rodzaju mechanizmy obronne. Jednym z nich były szkielety i pancerze wzmacniające zewnętrzne partie ciała. Przykładem tego jest właśnie grupa *Cloudina*, której przedstawiciele dzięki zwapniałemu pancerzykowi mogli prawdopodobnie uniknąć bycia zjedzonym. Musiały też pojawić się nowe reakcje obronne i metody wykrywania zagrożenia. Stąd wykształciły się i wyspecjalizowały zmysły, jak oczy u trylobitów. Drapieżniki nie pozostały dłużne – selekcja naturalna preferowała nowe cechy, które pomagały w polowaniu. Był to więc wyścig zbrojeń, w którym drapieżnik i ofiara walczyli o przetrwanie.

Myśl, że to drapieżnictwo zapoczątkowało eksplozję kambryjskiej

bioróżnorodności, jest bardzo kusząca. Jak pokazują różne analizy, drapieżnictwo ma istotny wpływ na bioróżnorodność i może wprowadzić „twórczy” czynnik, powodujący powstawanie nowych zachowań i gatunków. Z naszej perspektywy interesujące jest to, że zwierzęta filtrujące z ediakaru mogły być spokojne o swój byt, nic im nie zagrażało. Kambryjskie organizmy stały się zaś smakowitym kąskiem, musiały więc o wiele szybciej reagować na niebezpieczne sygnały. Jak tego dokonać? W tym właśnie pomóc mogły komórki, które pozwalały na synchronizację i szybkie przekazywanie sygnałów między różnymi częściami organizmu. Im szybciej organizm zareaguje, tym większą ma szansę uciec przed zagrożeniem lub się przed nim bronić. Ale podobnie możemy powiedzieć o drapieżniku – musi on wybrać odpowiedni moment na atak. Jeśli zaatakuję za wcześniej lub za późno, ofiara może się zorientować lub być już w innym miejscu. Układ nerwowy mógł więc pomóc w podejmowaniu decyzji, jak i w synchronizowaniu ruchów ciała,

umożliwiających coraz bardziej złożone zachowanie.

Jednostka dowodząca

Być może nigdy z całkowitą pewnością nie będziemy w stanie rozstrzygnąć, jak i dlaczego powstała tkanka nerwowa. Wiele gatunków zwierząt, które pomogły nam na te pytania odpowiedzieć, bezpowrotnie zniknęło z powierzchni Ziemi i nie odnajdziemy nawet ich szczątków. Pozostają nam poszlaki, np. w postaci różnych śladów na skamieniałościach czy skałach, które interpretuje się jako pełzanie ediakariańskich organizmów lub ataki kambryjskich drapieżców. Jasne zaś wydaje się, iż układ nerwowy i mózg już na samym początku swego istnienia przynosiły korzyści posiadającym go zwierzętom. Sprawniejsze przekazywanie informacji między regionami ciała, a co za tym idzie szybsza ucieczka (i atakowanie), jak i po prostu poruszanie się organizmów sprawiły, że mózg na dobre zdomowił się w królestwie zwierząt.

Mimo że obecnie wykorzystujemy go do innych zadań, warto pamiętać o da-

lekich korzeniach naszych zdolności poznawczych. Czy sięgają już naszych jednokomórkowych przodków? To kusząca narracja i wcale nie jest pozbawiona sensu. Każdemu wedle potrzeb. Zachowanie bakterii wymaga czegoś innego niż zachowanie zwierzęcia, ale opiera się często na tych samych mechanizmach – od poszukiwania pożywienia po podejmowanie decyzji. W którymś momencie ewolucji okazało się, że dla większych organizmów przydatna stała się scentralizowana jednostka dowodząca – mózg.

Potrzeby, za których spełnianie mózg odpowiada, wcale jednak nie różnią się bardzo od tego, co wielkokomórkowy i bezmózgi płaskowiec zapewnia sobie skoordynowanym ruchem tysięcy rzęsek. Drogę do celu – przetrwania – jest wiele, a ewolucja może zaskakiwać na wiele sposobów. Pozwala nawet na pojawienie się siedliska milionów myśli, zdolnego budować mosty i tworzyć kulturę. I na dostrzeżenie ławicy ryb pod mikroskopem, gdy spoglądamy na chaotycznego płaskowca.

© DANIEL KOZŁOWSKI

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Andrzeja Dudzińskiego

Sopocianina, Honorowego Obywatela naszego miasta, wielkiego polskiego Artysty, Obywatela Świata, rysownika, grafika, malarza dzielącego się swoją wrażliwością i talentem na łamach najważniejszych tytułów polskiej i amerykańskiej prasy.

Odszedł od nas wspaniały Człowiek, wrażliwy Artysta, Przyjaciel Sopotu.

Żegnaj, Drogi Przyjacielu!

Rodzinie i bliskim
wyrazy głębokiego współczucia składają

JACEK KARNOWSKI
PREZYDENT MIASTA SOPOTU

JAN KOZŁOWSKI
PREZYDENT MIASTA SOPOTU W LATACH 1992-98

MAGDALENA CZARZYŃSKA-JACHIM
WICEPREZYDENTKA MIASTA SOPOTU

MARCIN SKWIERAWSKI
WICEPREZYDENT MIASTA SOPOTU

PIOTR BĄGIŃSKI
PRZEWODNICZĄCY RADY MIASTA SOPOTU

Żegnamy

Andrzeja Dudzińskiego

Wspaniałego Człowieka
i
Wybitnego Artystę!

Wyrazy współczucia
Rodzinie i Bliskim

SKŁADAJĄ PRZYJACIELE
Z SOPOCKIEGO DOMU AUKCYJNEGO

Kumulacja mistrza

Nie bez powodu Narodowe Forum Muzyki we Wrocławiu nosi imię Witolda Lutosławskiego. Od 27 stycznia do 3 lutego instytucja zaprasza na (nie)codzienny cykl koncertów z muzyką wielkiego kompozytora.

Nigdy nie zapomnę lekkiego, sprężystego kroku, którym nie wszedł, lecz raczej wbiegł na podium dyrygenckie Witold Lutosławski, by we wrocławskim kościele św. Marii Magdaleny poprowadzić koncert swej muzyki. Był wrzesień roku 1993, a kompozytor miał wówczas 80 lat. Był to wyjątkowy wieczór festiwalu Wratislavia Cantans, wówczas jeszcze oficjalnie „festiwalu muzyki oratoryjnej i kantatowej”, który jednak dla wielkiego twórcy zrobił programowy wyjątek: usłyszeliśmy wprawdzie cykl pieśni, ale główną porcję programu stanowiły symfonie. Nie było i nie ma wątpliwości, że choć twórczość Lutosławskiego liczy ich zaledwie cztery, to mają one wyjątkową pozycję w dziejach muzyki polskiej – i muzyki światowej. Stworzyły epokę – a raczej dwie lub nawet trzy epoki. Pozostają ukoronowaniem swojego czasu, choć nie są jedynymi klejnotami w dorobku polskiego twórcy. Przeciwnie, niemal każde jego dzieło ma swą własną, wyjątkową wartość.

W OCZEKIWANIU ARCYDZIEŁ

Należę do tego pokolenia, które miało jeszcze okazję czekać na nowe utwory Witolda Lutosławskiego. To uczucie jedyne w swoim rodzaju, gdy ciekawość miesza się z gorączką: jaki kształt przybierze tym razem dopracowana, mistrzowska myśl? Co dostaniemy nowego, do jakiej muzyki będziemy powracać, by odkrywać jej kolejne warstwy, nowe połączenia dźwięków i akordów, nowe barwy? Bo kolejne utwory Lutosławskiego nie były podobne do niczego innego, całkowicie odcinały się też od przytłaczającej większości produkcji muzyki współczesnej – tej, której słucha się raz jeden, zaznaje lekkiego dreszczyku, jak przy elektrycznym ukłuciu kieszonkową baterijką, po czym idzie dalej. Muzyka Lutosławskiego zatrzymywała w swoich objęciach, skłaniała do zajrzenia głębiej, do rozkoszowania się zarówno konstrukcją, jak i czysto sensualnym bogactwem. W utworach wczesnych, jak I Symfonia i Koncert na orkiestrę, śledziło się za zaangażowaniem jej neoklasycznie przystępną szatę, atrakcyjną i porządnie skonstruowaną. Potem pojawiła się faza odkrywania nowych efektów, wypracowywania kolejnych zwrotów kompozytorskiego języka – za każdym razem jednak w doszlifowanym koncepcyjnie utworze, który nigdy nie był samym tylko eksperymentem, lecz niośł ze sobą pełnię muzycznych znaczeń. Trzeba się było wgrzyźć w nowe słownictwo, w nowe techniki – ale zawsze wysiłek ten był sownie nagradzany, gdyż nigdy nie brakowało treści, którą warto było zrozumieć. I zawsze dostawaliśmy uchwytne, wyraziste tropy, po których powinniśmy się poruszać: w muzyce Lutosławskiego nad intuicją panowała logika. Nawet w popularnym w epoce aleatoryzmie – czyli zdaniu się na przypadkową inspirację wykonawcy, który w pewnych ustępach otrzymuje swobodę doboru dźwięków (II Symfonia)



– Lutosławski narzuca pewne wytyczne, tworząc właściwy dla siebie „aleatoryzm kontrolowany”. Improwizacja? Tak, ale wedle zamysłu kompozytora, który ma przecież ideę formy i tematyki – i nie zamienia jej na potencjalny chaos.

To wycucie formy, która w muzyce jest sposobem rozwoju dramaturgii, logiką narracji, dzielił Lutosławski ze swym nauczycielem, Witoldem Maliszewskim. Wspólnie też podziwiali muzykę Alberta Roussela – największego symfonika wśród francuskich, powiedzmy, impresjonistów. III Symfonia Roussela, uznane arcydzieło, pozostaje zresztą dziełem formatywnym dla Lutosławskiego, może zwłaszcza dla szczególnie uznanego arcydzieła – jego własnej III Symfonii.

Czas, w którym pokolenie obecnych pięćdziesięciolatków mogło oddawać się emocjom czekania na nowe utwory mistrza, to już późny okres jego twórczości. Okres dojrzałej syntezy, gdy kolejne kompozycje nie przynosiły nowych problemów i ich nowych rozwiązań, lecz w swym kompletnym już języku autor mógł swobodnie wyrażać to, co chciał powiedzieć. Wszystkie techniki opanowano, zostało miejsce na samą muzykę. Na piękno – gdyż Lutosławski stał po apollinijskiej stronie i estetyczna kategoria piękna, wraz z melodyjnością (jak skomplikowana by ona nie była), nigdy nie przestała być dla niego aktualna. Inny uwielbiany przez polskiego mistrza kompozytor, Béla Bartók, na tym etapie swego życia tworzył Koncert na orkiestrę oraz III Koncert fortepianowy – sumę doświadczeń, nawet z odwagą pewnych uproszczeń względem wcześniejszych wymagań, ale przynoszącą absolutnie nadzwyczajną muzykę. Lutosławski dał nam natomiast Koncert fortepianowy, II oraz III tańców, a przede wszystkim IV Symfonię. Czekając na nowe jego utwory, czekało się na pełnię muzyki. Nigdy więcej nie miałem okazji doświadczyć niczego podobnego.



DARIO ACOSTA / MATERIAŁY PRASOWE

Garrick Ohlsson



ARCHIWUM NFM

Witold Lutosławski podczas Wratislavii Cantans w 1993 r.

WITOLD LUTOSŁAWSKI WORLD DAYS. 27, 28, 29 stycznia, 3 lutego, Narodowe Forum Muzyki we Wrocławiu
Szczegółowe omówienie programu
na stronie powszech.net/lutoslawski

WŚRÓD MISTRZÓW

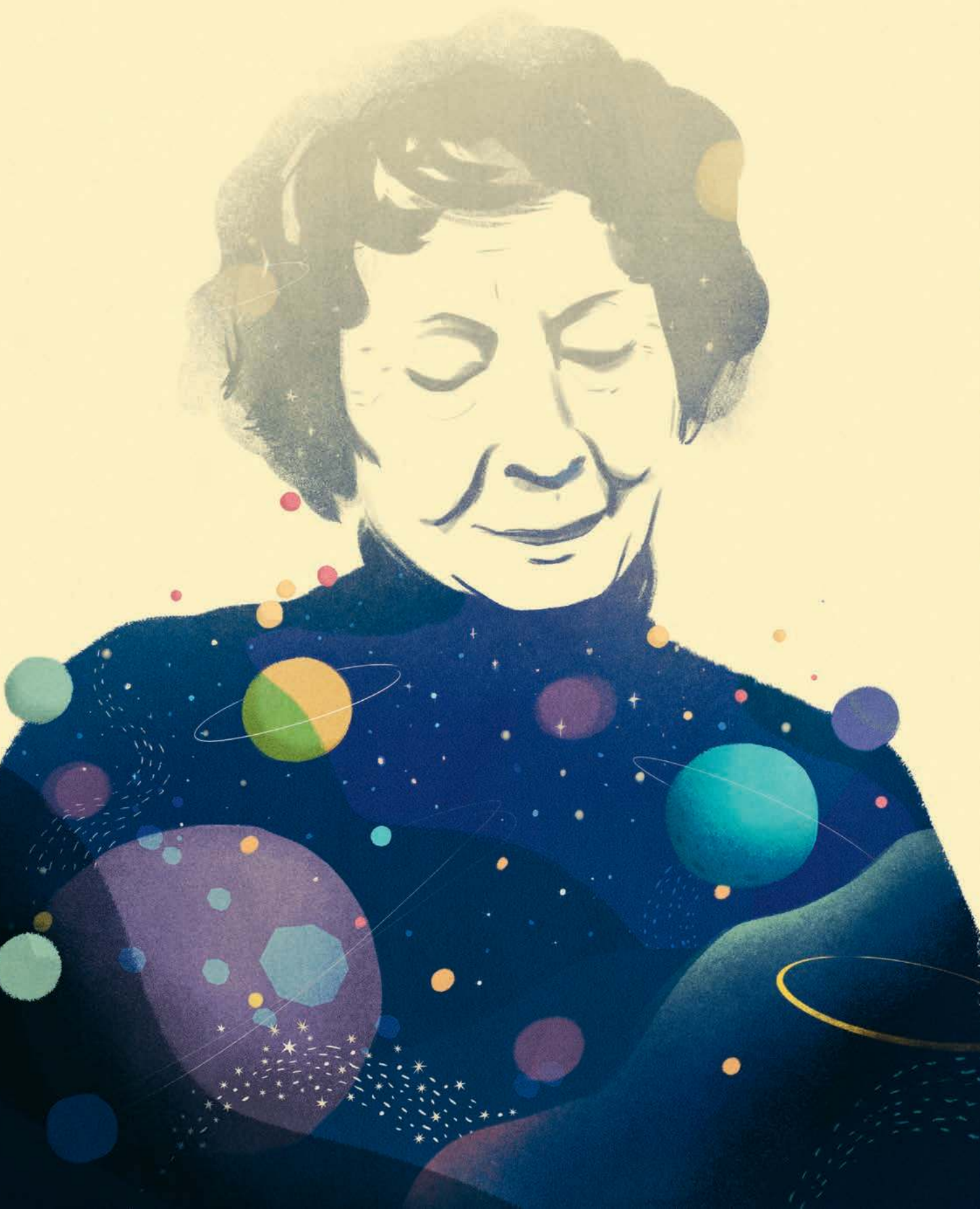
To, co natomiast przynosiły lata następne, to odkrywanie Lutosławskiego przez wybitnych muzyków. Wprawdzie poznawaliśmy jego muzykę zawsze dzięki najwybitniejszym, jak Mścisław Rostropowicz lub Anne-Sophie Mutter (nie zapominając o śmietance polskich wykonawców), ale przez ostatnie dekady to grono wciąż się powiększa. Każdy artysta dokłada też własny sposób rozumienia tej bogatej twórczości. Wraz z nimi – w nowy sposób pojmując ją słuchacze. Pojawiają się nowe wymagania – ale i pokazują nowe wymiary.

Wśród wykonawców znajdują się tacy mistrzowie jak dyrygenci Esa-Pekka Salonen czy Edward Gardner, mnożą się soliści. Muzyka Lutosławskiego weszła do repertuaru koncertowego i stała się jego atrakcją. Jest na właściwym miejscu w każdej sali – tym bardziej w noszącym imię kompozytora Narodowym Forum Muzyki. Wrocławska instytucja powstała w 2014 r. z połączenia filharmonii ze wspomnianym festiwalem Wratislavia Cantans. Teraz dysponuje środkami do wykonania każdego, nawet najbardziej nietypowego utworu kompozytora. W trakcie pierwszych Witold Lutosławski World Days zabrzmiał zarówno orkiestra symfoniczna, jak i kameralna, a także kwartet smyczkowy i chór chłopięcy. Data skumulowanej obecności Lutosławskiego na wrocławskiej estradzie też nie jest przypadkowa – mieści się między dzienną datą urodzin (25 stycznia 1913 – mija więc właśnie 110. rocznica) a śmierci artysty (7 lutego 1994).

WLWD mają być swego rodzaju triennale, ale co istotne, skupienie na twórczości wielkiego kompozytora nie tworzy tu zamkniętego getta, adresowanego do specjalistów – wielbicieli muzyki współczesnej. Muzyka Lutosławskiego pozostaje punktem odniesienia dla uniwersalnej istoty muzyki, staje się więc ważnym punktem programu regularnych koncertów. Pojawi się w dialogu z innymi utworami, takimi jak IV Symfonia koncertująca Karola Szymanowskiego (którą zagra Garrick Ohlsson!) albo głęboko nastrojowy koncert skrzypcowy „Vox amoris” znakomitego foteńskiego kompozytora Pëterisa Vaska (z tymi dziełami, odpowiednio, zabrzmiał III Symfonia i Livre pour orchestre). Błyskotliwa Partita zestawiona zostanie z wielką Sonatą Kreutzerowską Beethovena – obie w specyficznej wersji z orkiestrą. Szczególnym koncertem będzie też wieczór... piosenek dla dzieci – gdyż w pewnym okresie Lutosławski pisał także taki repertuar. Bardziej szczegółowe omówienie programu znajdą Państwo na naszej stronie internetowej.

Gdy jednak cztery koncerty miną – nie martwiąc się, bo przecież NFM na pewno nie będzie czekać kolejnych trzech lat na muzykę swego patrona – możemy wrócić do wszystkich tych utworów na płytach. Wrocławska instytucja od lat realizuje serię „Witold Lutosławski. Opera omnia”: ukazały się już w niej nie tylko prawie wszystkie dzieła wykonywane na estradzie (łącznie z piosenkami dziecięcymi), lecz i wiele innych. Jeżeli cieszymy się na Garricka Ohlssona w Symfonii Szymanowskiego, ucieszy nas też w Koncercie fortepianowym Lutosławskiego (szósta płyta w zbiorze). W III i IV Symfonii zaintryguje Jacek Kasprzyk (piąta i druga płyta), a w Koncercie na orkiestrę – Stanisław Skrowaczewski (czwarta). Jeżeli zaś czekamy na Livre pour orchestre, której jeszcze nie ma na płytach, sprawdźmy, jak poprowadzi ją ewidentnie zafascynowany Lutosławskim australijski skrzypek i dyrygent Richard Tognetti. Może to właśnie jego interpretację znajdziemy w przyszłości na krążku?

© JAKUB PUCHALSKI



ZMIENNA LOSOWA

Dokąd nas zaprowadzi rozpoczęty właśnie Rok Szyborskiej?
Uparcie zadawane pytanie „Dlaczego?” wystrzeliło poetkę w kosmos.
Polećmy tam za nią.

TEKST: ELIZA KĄCKA, ILUSTRACJA: JOANNA RUSINEK

WIELKIE SĄ UROSCZENIA PISARZY. Franz Kafka na przykład, jak zapewnia George Steiner, przywłaszczył sobie literę K. Każdy wielbiciel potwierdzi. Literę R, eksplozywny dodatek do pewnego brzydkiego słowa, przejął Alfred Jarry. S/Z, rzecz wiadoma, zwędził Roland Barthes. Ten i ów próbował uprowadzić kolor. Bolesław Leśmian i Julian Tuwim od wieku walczą o własność zieleni.

Przebiła ich wszystkich jednak Wiesława Szymborska. Siegnęła mianowicie po znak przestankowy. Stworzyła najciszej pytającą poetykę w historii literatury polskiej. Nikt bodaj nie pytał więcej. Na przykład: „Zdumienie” z tomu „Wszelki wypadek” – 17 znaków zapytania. „Portret z pamięci” z tomu „Tutaj” – 39 znaków zapytania. „Konszachty z umarłymi” z tomu „Ludzie na moście” – 37 znaków zapytania plus jeden domyślny. Na 25 wersów!

Pod- i nadwiedza

Pytanie „Dlaczego?”, dla niej fundamentalne, jest jednakowoż wieloznaczne. Pyta się z niepewności – i pyta się dla pewności. Z niewiedzy – i ze sceptycyzmu. Z bezradności zatem – i z nadmiaru świadomości. Pierwszy wariant skojarzyć można ze wczesnym zbiorem „Pytania zadawane sobie” (1954). Powinno być, nieprawdaż, „Pytania do siebie”. Dziwna stylistyka tytułu zdradza, zdaje się, wymuszoną (wszędzie ta gra o władzę) i uwewnętrzną – wbrew sobie – niższość pytającej wobec tych, co to wiedzą wszystko na pewno i pytać nie potrzebują.

Kolejny tom, „Wołanie do Yeti” (1957), otwiera również zdanie pytające: „Co ta-

kiego zrobił Izaak, / proszę księdza katechety?” („Noc”). Formuła niepewności ukrywa tu, kamufluje pewność: „Czeka Pan Bóg / i z balkonu chmur spoziera, / czy się ładnie, czy się równo / stos zapali”. Sceptyczka już wie, co sądzić o ofierze Abrahama. Albo odwrotnie: sceptyczką uczyniła ją właśnie ta opowieść.

Pytanie „Dlaczego?” będzie odtąd sygnałem pewności rozgrywanej jako niepewność, sceptycyzmu w masce niewiedzy. I rozmnoży się nadzwyczajnie, obejmie swoją dyskretną ekspansją znaczne terytoria wiersza. Gdyż pytajnik to znak (i oznaka) kryzysu. A w tym zbiorze kryzys wiary religijnej, wiary politycznej, a pewnie i ówczesnej wiary miłosnej zbiegły się w czasie. Od „Wołania do Yeti” – jak ją czytam – twórczość Szymborskiej „wyjęzyczać” będzie stan świadomości w kryzysie. Wciąż między pod- i nadwiedzą.

Co bowiem gorsze: nie wiedzieć czy wiedzieć za wiele? Pierwsze arcydzieło Szymborskiej, wiersz „Jeszcze” z „Wołania do Yeti”, żywi się tym dylematem – a biegnie tak: „W zaplombowanych wagonach / jadą krajem imiona, / a dokąd tak jechać będą, / a czy kiedy wysiedą / nie pytajcie, nie powiem, nie wiem”. A wie podmiotka liryczna, wie płaczka żałobna, tyle że wie aż za bardzo, boleśnie za bardzo. Tak bardzo za bardzo, że wołałaby nie wiedzieć. Wiedząc – nie wiedzieć. Wiedząc – nie powiedzieć. Jak my wszyscy w takich razach. Wiersz nazywa się wróżebnie „Jeszcze”, a owo „Jeszcze” jeszcze trwa i trwać będzie. My zaś z nim, między niewiedzą a wiedzą. Niewiedzą skłamaną, wiedzą nieodwracalną i ha-

niebnie zewnętrzną. Jak to się nazywa? Otóż to się nazywa fałszywa świadomość. Z dużej chmury (krematoryjnej) mały deszcz – czytamy. „Suchy czas”. Owszem, można pytać: „Dlaczego? Dlaczego?”. Przyjmijmy, że to powołanie poezji.

Na tle tak właśnie „skrojonej” poetycko niewiedzy wyłania się nowo zrodzona pewność. Znajdziemy w „Wołaniu do Yeti” bowiem jeszcze jeden wiersz, powiedzmy, programowy: „Rehabilitacja”. Po 1956 r., w popaździernikowym sezonie były w modzie takie – złudne skądinąd – rozwiązania problemów personalnych. Niewinnie straceni „wracają do imion, / do pamięci narodu, do wieńców i braw”. Programowe są tu jednak dwa wersy początku. Naraz z pióra szarej redakcyjnej myszki z Krakowa, niepierwszorzędnej (w hierarchiach środowiskowo-obecnościowych) poetki, spływa, schodzi zdanie masywne jak rozpalona lawa, nieodwołalne, zmiatające wszystko przed sobą i na polu walki-wiersza tężejące w monument. Nikt nie powiedział tego mocniej, pewniej. Przeczytajcie, proszę, na głos:

*Korzystam z najstarszego
prawa wyobraźni
i po raz pierwszy w życiu
przywołuję zmarłych.*

Oto właśnie antropologiczne powołanie poezji. Wypowiedziane z całym przecuciem potęgi sprawczej słowa. Gdyż jest coś – czytamy – co stoi za mną, mówiącą. Coś, na czym mogę i mam prawo się oprzeć. Coś archaicznie bezwzględnego, wiecznego. W to właśnie →

→ należy wierzyć, to jest starsze od bogów i bóstw doczesnych, to istnieje na pewno. Tylko jak się z tej misji wywiązać (nie bez dystansu, humoru, ironii)?

Uparcie ponawiając pytanie „Dlaczego?”.

Pytania semantyczne

Zacznijmy od bilansu w wierszu „Spis” z późnego zbioru „Chwila” (2002): „Sporządziłam spis pytań, / na które nie doczekam się już odpowiedzi, / bo albo za wcześniej na nie, / albo nie zdołam ich pojąć”. Świat nie pozostawia zbyt wiele miejsca pytaniom. Zbývá je ogólnikami życie codzienne („Dlaczego mam raka?” – „Dlatego”); odsuwa etyka („Dlaczego nie wolno zjadać się nawzajem?” – „Dlatego”); lekceważy estetyka („Dlaczego piękny jest złoty podział?” – „Dlatego”); i tak dalej. „Znowu i tak jak zawsze, (...) / nie ma pytań pilniejszych / od pytań naiwnych” – podsumowuje taki stan rzeczy wiersz „Schyłek wieku” z tomu „Ludzie na moście” (1986).

Filozofia – jako jedyna bodaj – daje pytaniom nadzieję, uchylając im boczną furtkę. Proszę wybaczyć tę scjencyficzną prozę: „Właściwym sposobem rozstrzygnięcia zagadnień filozoficznych jest nadanie im formy pytań semantycznych, która pozwala wydobyć z pytania sensowną treść” – streszcza pogląd Kazimierza Ajdukiewicza Leszek Kołakowski w „Filozofii pozytywistycznej”. Książce, która – mam podejrzenie – stanowiła lekturę Szymborskiej. Bądź co bądź jej niepokoję są wzorcowymi niepokojami pozytywistów – i zachwyty, i rozpacz także.

Nie odpowiedzi mają więc być sensowne, lecz właśnie pytania! W zbiorze „Sól” (1962) narodziny sensu odsłania – po szymborsku – wiersz „Notatka [I]”. Za „fabułę” ma wizytę w muzeum paleoantropologii. Sąsiedztwo draśniętego kamienia i czaszki prowokuje refleksję patrzącego/patrzącej, że posiadacz tej puszkki mózgowej mógł już, być może, skojarzyć „skrzesaną iskrę” z gwiazdą: „przestrzeń porównania / zachowała się dobrze”. I nic innego jak owa przestrzeń „to, co nie ma powiek, / otworzyła w nas”. Myśl nie ma powiek: póki trwa, patrzy. Raz zrodzona, musi myśleć się dalej. Przełom ucłowieczenia – domniemywa poetka – dokonał się między odkryciem metafory a jego konsekwencją: ideą związku przyczynowego. Ktoś, kto pierwszy ten skok myślowy wykonał, tym samym na-

uczył się pytać. Nie przypadkiem wiersz domyka – tak – pytanie o ciąg dalszy: „Ubyliśmy zwierzętom. / Kto ubędzie nam”. Między myślą o genezie myśli a myślą o jutrze ludzkości rozciąga się przestrzeń pytań. I w niej to rodzą się pytania semantyczne.

Tego rodzaju sprawami nikt się w naszej poezji (zwłaszcza z takim myślowym wdziękiem) nie zajmował. Pytanie „Dlaczego?” wystrzeliło, by tak rzec, Szymborską w kosmos. W strefy rzadko zwiedzane przez polskich poetów. „Gdzież ja się to znalazłam – / od stóp do głowy wśród planet” – konkluduje sławny wiersz o przenicowanej nicości z tomu „Wszelki wypadek” (1972). Za pytaniami poetki czytelniczka z zacięciem detektywistycznym widzi cienie jej nieklasycznych lektur: „Problemy” (był kiedyś taki miesięcznik), „Science et Vie”, „National Geographic”, „Forum”.

Tak, drodzy państwo, nie ma ciekawości wstydlivej, erudycji gorszej, wiedzy zakazanej poetom. Konsekwencje takiej edukacji są jednak bardzo poważne. Gdyż nie tylko o sprawy międzyplanetarne się rozchodzi. Spojrzenie ludzkie wikła się w stały konflikt ze spojrzeniem nie-ludzkim – a może lepiej: zaludzkim. Nie tylko tym od zwierząt i wszelkich istot ożywionych (znamy z tego Szymborską, owszem), lecz także tym od bezlitosnej świadomości naukowej późnych dekad XX wieku: astrofizyki, teorii gier, archeologii, teorii liczb, statystyki, embriologii, geografii gospodarczej, zoologii ewolucyjnej i teorii chaosu.

Ślad każdej z tych dyscyplin znaleźć można w niejednym wierszu. Mogliby komentować je specjaliści, używający śmiało pojęć takich, jak „granica ciągu częstotliwości zdarzeń”, „przestrzeń probabilistyczna”, „anizotropia czasu”, „zmienna losowa”, „estymacja”, „prognoza ostra”, „proces gałązkowy”, „prawo serii”, „enumeracja”, „ekwipartycja”, tudzież aforyści od formuł typu: „prawdopodobieństwo nie stosuje się do zbiorów nieskończonych”. Wbrew pozorom nie żartuję (przedstawmy sobie taki stolik dyskusyjny wiersza). Szymborska, na prawdę ocytana, odrzuca wszelki finalizm, antropocentryzm, pokusy mnogich ideologii, teodyceę; odpycha trątwę utopii, naiwność postępu. Pora na przykład.

O źródłach inwencji poetki wiele mówi niektóre z jej „Lektur nadobowiązkowych”, gdzie od czasu do czasu znaleźć

można zawiązki wierszy. Z 1970 r. pochodzi omówienie książki Kurta Pollaka „Uczniowie Hipokratesa”. W uwagach recenzentki wyczuwam niepokój: „Każdy krok w dziedzinie medycyny to przecież nowa kwestia nie tylko techniczna. (...) Reanimacja, która czasem przywraca akcję organizmu, nie przywracając jasnej świadomości. Przedłużanie życia niekiedy równoznaczne z przedłużaniem tortury agonii...”.

Ścisłe współczesny tym dylematom okazuje się wiersz „Spacer wskrzeszonego”. Jego tragiczny bohater, wielki uczony, „już umarł trzy razy”. Dzięki wysiłkom lekarzy jego „Głęboko uszkodzony po wypadku mózg” ułomnie daje wyraz doznaniom: „Lewa prawa, jasno ciemno, drzewo trawa, boli jeść”. I doda dwa do dwóch z wynikiem dwa. Wszystko to tresura – autentyczne jest tylko wyrwanie się pacjenta do „przepędzanej stąd” niani, opiekunki z dzieciństwa. Otóż jest to historia prawdziwa: tak właśnie po wypadku drogowym w roku 1962 potraktowany został (w sekrecie) genialny fizyk sowiecki Lew Landau (1908-1968). Przeżył – jeśli nazwać to można przeżyciem – w takim stanie jeszcze sześć lat. Sprawa wyszła na jaw po przyznaniu mu, ku wielkiej irytacji władzy, Nagrody Nobla – tej nie mógł odebrać. Po jego zgonie fizycy zachodni rozpuścili języki, pojawiły się krytyczne publikacje.

Nie wiem, czy „nierumianą” nianię dopisała bohaterowi Szymborska, lecz jasne, że uczyniła z niej wcielenie popędu śmierci. A jednocześnie – jak dojmująca to scena – mało kto potrafi tak związać w wierszu nagą grozę losu, tajemnicę bycia, dyskretnie współczucie i także wzruszenie.

Dialogi

Spór humanistyki z jej przeciwnostwem podsuwał Szymborskiej wciąż nowe koncepty. Choćby wiersz „Pogoń”, monolog lunonauty ze zbioru „Wszelki wypadek”: „Wiem, że powita mnie cisza, a jednak”. Bo jednak chciałoby się, żeby ktoś tam był – albo choć pozostawiał ślady. „Rozumiem, że nie po to chodzę po księżycu, / żeby szukać pierścionków, pogubionych wstążek”. Zresztą i tak ci „oni” z wiersza „Wszystko zawczasu zabierają z sobą”. Niestety, podnieść można tylko kamyk. Selenici i skafandryci nigdy się nie spotkają. A przecież ziemską tradycją wróżyła coś więcej: „cóż mówić o pała-

cach srebrnych i ogrodach, / czcigodnych starcach, sprawiedliwych prawach, / mądrości w kulach z kryształu”.

Kto robił takie nadzieje? Ano ten, kto wymyślił przemądrych i prawych Selenitów: długonosy kawaler Savinien de Cyrano de Bergerac, autor „Podróży komicznej do Państw i Cesarstw Księżycy” (1650), upowszechnionej przez polski przekład z 1956 roku. Niestety, lot Apollo 11 w roku 1969 do reszty odebrał nam Selenitów, pozostawiając wstydlivy nieco żal, godny wiersza. By ów żal podzielić, trzeba jak widać wiedzieć, z kim dialoguje poeta. Niech stanowi to wstęp do jej dialogów.

Pierwszy taki dialog ma za partnera jeden z najbardziej znanych wierszy Norwida, „W Weronie” (ok. 1847). Pamiętamy: spadająca nad siedzibami szekspirowskich kochanków gwiazda to nie iza niebios, lecz – jak „ludzie mówią, i mówią uczenie” – po prostu kamień, przybysz znikąd, ani znak z góry, ani symbol: zwykły kosmiczny śmieć. Za sprawą nauki więź ludzi i ciał niebieskich, mikro i makrokosmosu, rozprzęgła się na zawsze. Nie warto już na widok spadającej gwiazdy wypowiadać życzeń. Cóż za roztajemniczenie! I tu włącza się Szymborska wierszem „Spadające z nieba” („Wszelki wypadek”), dowodząc, że może być gorzej. Gdyż teraz nawet kamienie przestały być wiarygodne. Coraz trudniej o prawdziwy! „W sierpniowe noce / nie wiesz, czy gwiazda spada, czy rzecz inna. / I nie wiesz, czy to właśnie rzecz, co spaść powinna”. O – dwie spadły, lecz tylko jedna pochodzi z ogona komety; ta, „druga, obok, ma defekt silnika”. Nawet kamienia, na który tak kręcił nosem Norwid, pozbawia nas cywilizacja, zaśmiecająca kosmos.

Nie mniej sprawnie polemizuje Szymborska z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską, Anną Świrszczyńską, Mironem Białoszewskim, a zwłaszcza ze Zbigniewem Herbertem. Dość porównać wiersz tego ostatniego „U wrót doliny” (1957), gdzie zmartwychwstanie w Dzień Sądy w Dolinie Jozafata przybiera kształt selekcji na rampie w Auschwitzu, z wierszem Szymborskiej „Nad Styksem” (1977): cóż za rywalizacja mrocznych wyobrażeń!

Są jednak i osobliwsze dialogi. Kto właściwie i kogo strofuje w tytułowym wierszu zbioru „Ludzie na moście”? Kto dziwi się planecie, gdzie mieszkający „ulegają czasowi, ale nie chcą go znać” i w akcie śmiesznego buntu przeciw przemijaniu

Nie ma ciekawości wstydlivej, erudycji gorszej, wiedzy zakazanej.

Teoria gier, statystyka,
embriologia, geografia
gospodarcza i teoria chaosu
– ślad każdej z tych dyscyplin
znaleźć można w niejednym
wierszu Szymborskiej.

malują takie, jak ten Utagawy, wywrotowe, bo wstrzymane w czasie obrazki? Kto wie, czy – jak w wierszu „Może to wszystko” z tomu „Koniec i początek” – nie stanowimy aby obiektu czyjegoś laboratoryjnego eksperymentu, a kiedy zdarza się coś godnego uwagi, „Ktoś woła w uniesieniu: / Zawiadomić Szefa, / niech przyjdzie i sam popatrzy!”. Warto dawać Szefowi satysfakcję? Do nas to jest mówione? Przez kogo? Wreszcie: skąd ta transmisja przerywana – i czego?

Pozostaje jeszcze jeden rozmówca, a ściślej rozmówczyni. „Natura obdarzyła nas znaczną zdolnością rozmawiania z samymi sobą” – mówił w 1580 r. Michał Montaigne, jeden z przyjaciół Szymborskiej. Z tego daru natury hojnie czerpała w poezji. Ba, doprowadziła do perfekcji sztukę rozdzielania siebie, obchodzenia siebie „skrajem przepaści cieńszej niż włos”, innymi słowy: wyosabniania z siebie władz tak nieosobnych, jak choćby pamięć lub zmysł – i zasiadania z nimi do rozmowy. Nawet zdając się mówić do kogoś (bliskiego po tamtej stronie) – udziela głosu medytacji nad sobą.

I choć w wierszach przemawiają różne byty (istoty i nie-istoty) – zwykle zwracają się do niej. Stąd zdarza się jej notować same połowki zdań: reszta w domyśle. Albo i udziela samych odpowiedzi, jak w wierszu „Możliwości” z tomu „Ludzie na moście”. [Lubisz psy?] „Wolę koty”. [Lubisz fotografie?] „Wolę stare ilustracje w prążki”. [Lubisz wierzyć?] „Wolę mieć zastrzeżenia”. Aż po końcówce: „Wolę nie pytać, jak długo jeszcze i kiedy”. Jest to rodzaj pytań opukujących istotę rzeczy, jaką dla niej stanowi losowość – obiektywna, więc pozamoralna. Przypadek – bohater mnóstwa wierszy, z mora i fascynacja Szymborskiej. Na samej granicy zrozumienia. A właściwie już poza.

Autoportret

Nie szafowała, mówiąc ogólnie, w wierszach własnym wizerunkiem. Lecz wiersze te bywają szyfrowane. I nagle – najrzadsze z najrzadszych – przez moment widać poetkę jak żywą. Coś w tym rodzaju dzieje się w wierszu „Rzeczywistość wymaga” z tomu „Koniec i początek”.

Wiersz to z gatunku posępniejszych. Opowiada, że każda niemal piędź ziemi była niegdyś pobożowiskiem przesiąkniętym krwią, lecz wymóg rzeczywistości sprawia, że tego nie pamiętamy, nie wiemy; pamięć ludzka krótka i niecierpliwa, życie zaś, jak wiadomo, ma swoje prawa. Nieraz więc tam, gdzie konano w mękach, „w na-głej potrzebie / kuca się dziś pod krzaczkiem”. Ano, cóż powiedzieć, trudno. Lecz oto – uwaga! – nadciąga ostatnia strofa. „Na tragicznych przełęczach / wiatr zrywa z głów kapelusze / i nie ma na to rady – / śmiesz nas ten widok”. Owszem, niech będzie. Ale zaraz, zaraz: co to za tragiczne przełęcz? Jaki wódz idiota rozgrywał kiedyś bitwę na przełęczy? Przełęcz nie nadają się do bitew.

Historia powszechna zna – jeśli się nie mylę (skorzystam z przywileju pomyłki) – jeden taki przypadek. Jest nim bitwa, a ściślej masakra wojsk sowieckich i sojuszniczych słowackich na Przełęczy Dukielskiej. Jedną z największych – i zapomnianych – katastrof II wojny światowej. Oto cyfrowa „arytmetyka współczucia” w wersji z Wikipedii – wariant *pauperum* (gdyby się nie było Szymborską, można by z tego zrobić patetyczne serio i wprost świadectwo o wielkiej tragedii): „Od świtu 8 września do 30 listopada 1944 teren ten stał się miejscem walk i pochówku około 99 tys. żołnierzy Armii Czerwonej, głównie Ukraińców, Słowaków, oraz żołnierzy niemieckich. Straty wojsk sowieckich wyniosły ok. 123 000 zabitych, rannych i zaginionych. Wojska czechosłowackie straciły ok. 6500 żołnierzy, natomiast straty niemieckie i węgierskie szacuje się na prawie 70 000 ludzi”.

Czy to tam zawłókl kiedyś, w latach 80., Kornel Filipowicz biedną Wisławę? Widać ją, jak stoi w łopoczących na wiatrze spodniach na szerokim siodle przełęczy wśród zarosłych burzanem okopów i przytrzymuje dłonią biały płócienny kapelusi-budkę. A wiersz, jeszcze niepomysłany, wykluwa się pod tą budką od końca do początku. © ELIZA KĄCKA

Nic nie boli tak jak nic

OLGA ŻYMINKOWSKA

Cała twórczość Georges'a Pereca jest wyrazem szaleńczej potrzeby przykrycia luk we wspomnieniach, stworzeniem sztucznego ruchu tam, gdzie pozostały tylko marazm i pustka.

W CZASACH KULTU ARTYSTYCZNEJ wolności pomysł narzucania literaturze jakichkolwiek przymusów może budzić zdziwienie. Nie brakuje współcześnie orędowników twórczości „spontanicznej”, która nie poddaje się rygorom formy i wyraża, nierzadko z ekshibcjonistyczną prostotą, emocje w stanie surowym. Tym bardziej dziwić może twórczość, która konsekwentnie utrudnia sobie życie wymyślnymi przymusami.

Takie jest właśnie pisarstwo Georges'a Pereca, a szczególnie wydane ostatnio po polsku „Zniknięcia”, przez długi czas uważane za tekst nieprzetłumaczalny. 312 stron, 78 000 słów, 297 000 znaków i ani jednej samogłoski „e”? Najdłuższy w historii lipogram – utwór pozbawiony jednej litery.

Na pierwszy rzut oka pomysł usunięcia z języka jednej samogłoski wydaje się zwykłą błaznadą. Oto Perec postanawia zabawić się literacką pęsetą, śmiejąc się nam w nos. No bo jak wytłumaczyć dobrowolne nakładanie na siebie językowego chomąta, i to przez setki stron? Wolność jako uświadomiona konieczność? Jak wyznaje Perec: „poezja jest rzeczą, która wywołuje we mnie tak wielką panikę, że potrafię pracować jedynie w ramach ścisłych rygorów”. Ambitny program likwidacji „e” z języka jest dla Pereca źródłem wolności twórczej, której najlepszym środowiskiem okazuje się planowe samoograniczenie. Ale nie chodzi tutaj wyłącznie o literackie szarady i pobijanie rekordów Guinnessa.

Podwójne zniknięcie

Georges Perec urodził się w marcu 1936 r. w Paryżu jako syn polskich Żydów. Mimo pierwszych lat życia spędzonych w wielojęzycznym domu (gdzie mówiło się głównie po polsku i w jidysz) dzięki wysiłkom rodziców zaczyna władać biegle francuskim. Jako dziecko imigrantów urodzone w Paryżu bez problemu otrzymuje obywatelstwo i odtąd już do końca życia będzie określać siebie Francuzem. Jedną z dziecięcych historii, jaką opisuje Perec w autobiograficznej powieści „W albo wspomnienie z dzieciństwa”, jest scena, kiedy trzyletni Georges stawia pierwszą literę hebrajskiego alfabetu (prawdopodobnie *gimmel*, od początkowej litery jego imienia). Historia ta okrzyknięta przez Pereca jego „pierwszym wspomnieniem” jest tak naprawdę śladem nigdy do końca nieodnalezionej tożsamości. Ślad staje się nieczytelnym szyfrem, a to z powodu dwóch zniknięć, jakie wkrótce dokonają się w jego życiu.

Jego ojciec, Icek Judko Perec, urodzony w Lubartowie, w czasie wojny walczył jako ochotnik w armii francuskiej. W dniu zawieszenia broni między Francją a Niemcami, w czerwcu 1940 r., zmarł od przypadkowego postrzału. Pierwsze zniknięcie.

Matka Georges'a, warszawianka Cyrla Szulewicz, prowadziła w Paryżu mały salon fryzjerski. W styczniu 1943 r. została aresztowana w czasie ulicznej łapanki i przewieziona transportem do Auschwitz-Birkenau, gdzie prawdopodobnie zginęła. W 1958 r. wydano dokument stwierdzający jej zaginięcie – *Acte de disparition*. Drugie zniknięcie.

Odtąd młodym Perekiem opiekuje się ciotka Ester, siostra Cyrli, z którą do końca wojny mieszka u podnóża Alp, w Villard-de-Lans. Po wojnie wraz z wujostwem Bienenfeldów powraca do Pa-

ryża i rozpoczyna naukę w tamtejszym liceum. Zagubiony i nierozumiejący. Jak powie później w jednym z wywiadów: „Nie mam korzeni”.

Te dwa, z perspektywy dziecka traumatyczne i niewytłumaczalne zniknięcia odciskają piętno na jego dalszej biografii. Dopiero rok przed śmiercią, po raz pierwszy i ostatni, odbywa podróż sentymentalną do Polski, po której zanotuje: „Nie mogłem urodzić się w kraju moich przodków”. Lubartów i Warszawa to miejsca założycielskiego mitu – spisane go jednak nieczytelnym pismem. W końcu już w samej etymologii jego nazwiska zawarte jest zniknięcie: *perec* po hebrajsku oznacza przecież „dziurę”.

Pustka

o rozwidlających się ścieżkach

Od tej pory temat zniknięcia na stałe wpisuje się w jego życiopisanie. Owładnięty „obsesją autobiograficzną” Perec rozpoczyna swoje pierwsze próby literackie od powieści „Rzeczy” (1965), opowiadającej o parze młodych ludzi cierpiących

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl





Georges Perec, 1978 r.

rodziców, po utraconych wspomnieniach i – w końcu – po sobie samym. Perec decyduje się jednak na gest radykalny. Postanawia okaleczyć język, usuwając z niego jedną samogłoskę.

Pod wulkanem przymusów

Pomysł napisania lipogramu pojawia się wkrótce po wstąpieniu Pereca do jednej z najbardziej ekstrawaganckich grup wszech czasów: Warsztatu Literatury Potencjalnej (OuLiPo). Jak powie wiele lat później, jego „bajczarstwo” pobudza rygorystyczna forma, co uświadomił sobie w pełni dopiero w wąskim gronie oulipijczyków. Tam po raz pierwszy zetknął się z systematycznie wyłożoną teorią „pisania pod przymusem”.

Mimo wszystkich koncepcyjnych wariacji OuLiPo (powstałe w 1960 r. i działające do dzisiaj) nie jest ani podejrzaną sektą, ani po prostu zwykłą grupą literacką skupioną wokół wspólnego dogmatu. Jak podpowiada sama nazwa – jest to warsztat pracy (*ouvroir*), który łączy pisarzy badających nieoczywiste możliwości języka. OuLiPo to także pracownia wykuwania literackich przymusów, które pozwalają kontrolować proces twórczy, eliminując z niego przypadek i romantycznie pojmowane natchnienie.

Podporządkowanie się przymusom nie jest jednak podyktowane wiarą w ich doskonałość ani chęcią osiągnięcia artystycznego parnasu. Dzięki poskromieniu języka pisarz może bezpośrednio doświadczyć oporu, jaki tworzą słowa, gdy nie używa się ich automatycznie. Taki rodzaj pisarstwa zmusza więc do zwracania uwagi na każdy wyraz, jego budowę, emocjonalną barwę i możliwości komunikacyjne. Nie pozwala poddawać się żywiołowi języka.

Perec natychmiast podchwytuje ten sposób myślenia o literaturze. Okazuje się, że temat, z którym się zmagają, wprost idealnie łączy się z teorią przymusów. W „Zniknięciach” Perec ustanawia literę tabu, która będzie tego doświadczenia znakiem. Pyta więc prowokacyjnie: „jeśli nie ma »e«, to czy wszystko wolno?”. Odpowiedzią jest cała ta książka – rozpaczliwie konsekwentne gryzienie się w język.

Już sam akt pisania – zaczerpanie papieru literami – to heroiczna walka przeciwko pustce. Pisać – to wypełniać ➔

na współczesną, kapitalistyczną postać „bowaryzmu”, czyli bezustanną pogoń za wymyślnymi dobrami, które obiecują zaspokojenie drapieżnego konsumencyjnego apetytu. Oto pierwsza zapowiedź jego twórczej strategii, która mogłaby brzmieć: „o czym nie można pisać, o tym trzeba pisać”. I to przymusowo.

Wydany niedługo potem „Człowiek, który śpi” (1967) składa się już w dużej mierze z literackich zapożyczeń. Znajdziemy tu ukryte cytaty z Melville’a, Joyce’a, Manna i Sartre’a, umiejętnie wkomponowane w tkankę opowieści, będącej po raz kolejny studium doświadczenia pustki, ujętej tym razem jako przeżycie ściśle indywidualne. Główny bohater wycofuje się z życia, zrywa dotychczasowe więzi ze światem, sprowadzając siebie do serii mechanicznie wykonywanych czynności: prania skarpetek w różowej misce, parzenia neski i czytania wciąż tych samych gazet. Nie sposób uwolnić się od biograficznych skojarzeń, wiedząc np. o młodzieńczym kryzysie Pereca, kiedy to jako dwudziestolatek przerwał studia

socjologiczne, nie podchodząc do końcowego egzaminu.

Nie jest to jednak zwykła opowieść o Pereca przypadkach. „Człowiek, który śpi” to dalsza próba rozpisania źródłowego tematu braku, podjęta ponownie dzięki nowemu wykorzystaniu formalnych rygorów. W tym przypadku mamy do czynienia z tekstem składającym się z kryptocytatów i parafraz znanych literackich utworów (sam tytuł jest przecież nawiązaniem do Prousta). Oddając głos innym, autor skrywa się pod maskami przytoczeń; tak jakby pisanie o braku wymagało ciągłej gry w chowanego. Perec o „swoim” fundamentalnym temacie nigdy więc nie pisze wprost. Każdy kolejny tekst to wciąż ponawiane pytanie: „ale jak to zrobić?”. Jak opowiedzieć brak? Odpowiedzi są, jak się zaraz okaże, coraz dziwniejsze.

Dochodzimy wreszcie do momentu, gdy po wytężonej półrocznej pracy, w roku 1969, Perec publikuje „Zniknięcie”. I tym razem mamy owo „nic, które boli” i które zostawia piętno: po śmierci

→ przestrzeń, eliminować „nic”, wprowadzać „coś” do świata. Jeśli tak, to w jaki sposób coś tak materialnego jak pismo może cokolwiek powiedzieć o pustce?

Pomysł Pereca jest genialny w swej prostocie: wprowadzić brak na poziomie zapisu. Jeżeli wyrwie się z języka wszystkie „e” (a francuski jest pod tym względem szczególnie uciążliwy: co siódme słowo zawiera tę samogłoskę!), uzyskuje się kwintesencję melancholijnego doświadczenia. U Pereca jest ono niemożliwością rozpoznania swojej przeszłości, która ugrzęzła po części w absurdzie Zagłady. I nie chodzi tu „jedynie” o zniknięcie rodziców, ale także o zniknięcie ich śmierci, której nie miał okazji przeboleć. Obecność i utrata przyszły zaraz po sobie, bez żadnego stadium pośredniego. Bez żałoby.

W „Zniknięciach” Perec zbudował wielką kryptę nieobecnych, jak się okazało – niezwykle szczelną, bo rygor antysamogłoskowy zachował aż do końca. To bolesne ćwiczenie w przeżytkaniu „e” jest znamienne: każde słowo naznaczone brakiem przypomina o utracie. Samogłoska to oddech dla języka. Spółgłoska – jego ciało. Usunięcie „e” jest jak obniżenie saturacji krwi. Oddech staje się płytszy, trzeba się ratować. Pegaz by od tego zdębiał, ale nie Perec. W szukaniu „dozwolonych” synonimów widoczny jest element samoudręki i kontrolowanego zniewolenia. Dziwność niektórych określeń (obecnych w polskim tłumaczeniu często w postaci archaizmów lub wyrazów rzadkich) uwidacznia intensywną pracę wyobraźni, z której słowa nie lecą szybko, lecz łamią się w cenzurze. Myśl kłamie piśmu, a pismo myślom kłamie.

Dla młodego Pereca niepojęta śmierć obojga rodziców stała się „daną” w życiowym zadaniu, równie przypadkową i absurdalną jak wygląd, narodowość czy data urodzenia. Żydowskie pochodzenie było z jednej strony częścią nierozpoznaną do końca tożsamości, z drugiej – przyczyną tragicznej śmierci jego matki. Historia zniknięć nie jest zatem wyłącznie jednostkową opowieścią o traumach z dzieciństwa, ale częścią powszechnej elegii o Holokauście, którego pośrednią ofiarą stał się, chcąc nie chcąc, Georges Perec.

Cała twórczość Pereca jest próbą zmierzenia się z tym, co stało się poza jego udziałem. Jego powieści są po staroświecku przeludnione; występuje tam obfitość nazwisk, zdarzeń, przedmio-

Dopiero rok przed swoją śmiercią, po raz pierwszy i ostatni, odbywa podróż sentymentalną do Polski, po której zanotuje:

„Nie mogłem urodzić się w kraju moich przodków”.

tów i nazw produktów, co składa się na właściwą mu obsesję katalogowania i inwentaryzacji. Ten nadmiar wymyślonych drobiazgów przysypuje niedostatki jego osobistej pamięci; jest wyrazem szaleńczej potrzeby przykrycia luk we wspomnieniach, stworzeniem sztucznego ruchu tam, gdzie pozostały tylko marazm i pustka.

Kryminalne zagadki Paryża

Główny bohater „Zniknięć”, Anton Voyle (od *voyelle* – samogłoska), owładnięty dziwną ideą nieobecności, cierpi na bezsenność. Bezskutecznie próbuje ratować się liczeniem baranów, zmianą pościeli, piciem naparu z opium i kozłka. W końcu jego uwagę przykuwa dywanik we wzorki. Próbuje znaleźć w nim, jak mówi narrator, „znak globalny, który zdołałby pojąć natychmiast”. Wzór na dywaniku, zamiast upragnionej wskazówki (pozwalającej mu głębiej poznać siebie i dojść do ostatecznego wyjaśnienia życiowych zakrętów), przypomina mu tylko kuriozalne bazgroły, abstrakcyjne lapsusy i mroczne obrazy. Przez pierwsze cztery rozdziały zmagając się ze światem coraz bardziej mętnych znaków dywanowego szyfru, Voyle kurczy się, niknie w oczach, nie śpi; wreszcie – w piątym rozdziale (liczba porządkowa litery „e” w alfabecie) – znika zupełnie, czego oznaką jest biała (!) kartka zamiast tekstu.

Początek powieści brzmi jak zapowiedź niezłego kryminału. I tak jest w istocie, ale tylko do pewnego momentu. Zaginięcie Voyle’a stawia na równe nogi jego przyjaciół i lokalną policję. Na pierwszy rzut oka „wszystko wygląda rutynowo, wszystko wygląda prawidłowo”: w nieznanach okolicznościach znika pewien cierpiętnik, i już. Sprawa co najwyżej dla podstarzałego Columbo.

Wkrótce jednak okazuje się, że z nieznanach przyczyn giną także inne po-

staci. Z początkowej normalności wyłania się chaos dziwnych zniknięć. Jedni odchodzą w milczeniu, drudzy – mając wypowiedzieć niedozwoloną samogłoskę. Wszystkie zdarzenia jednak podporządkowane są jednej klątwie: braku „e”. Kelner umiera, gdy jest o krok od wypowiedzenia słowa *oeufs* (jajka), brzmiącego po francusku niemal identycznie jak „e”. Ottavio pęka, gdy ma zamiar wyznać, że w jednym lipogramie niejakiego Ramuna Quayno (chodzi rzecz jasna o Raymonda Queneau, jednego z założycieli *OuLiPo*) brakuje nie tylko „a”, ale i... No właśnie.

Fatalizm litery tabu doprowadza do zagłady niemal wszystkich bohaterów, a jego moc porównać można chyba tylko do fatum w greckiej tragedii. Nadmiar imion i nazwisk, skomplikowane zależności między postaciami, wątki awanturniczko-kryminalne – wszystko to przypomina z jednej strony grecką mitologię, a z drugiej – powieści łotrzykowskie wieku XVII. Siła talentu Pereca ujawnia się w zadziwiającym wykorzystaniu możliwości, jakie otwiera obrany przymus. Litera „e” nie odgrywa roli wyłącznie rygoru formalnego, ale stanowi także najważniejszą, choć z konieczności nieobecną, bohaterkę „Zniknięć”. Opowieść o fatalności ludzkiego losu skrywa się pod płaszczem (a czasem i szpadą) powieści przygodowej. Ale jak zawsze w dobrych książkach – jest też i druga strona, podążająca za wskazówką Queneau: „Nie po to się pisze, żeby zasmucać populację”.

No właśnie. Dopełnieniem „Zniknięć” i jednocześnie nadal nieprzebytym przez tłumaczy torem przeszkód jest inna powieść Pereca, „Les Revenentes” (od fr. *revenants*: duchy, upiory, widma, które tu powracają, stąd polski tytuł „Powracające”), w której wygnane wcześniej „e” stanowi jedyną użytą w tekście samogłoskę.

© OLGA ŻYMINKOWSKA

Autorka (ur. 1999) jest filozofką, opublikowała książkę „Milana Kundera filozoficzna koncepcja postawy lirycznej, dramatycznej i powieściopiskarskiej” (Universitas 2022). Laureatka Nagrody im. Leszka Kołakowskiego (2018).



Georges Perec
ZNIKNIĘCIA
przeł. Stanisław Waszak,
René Koelblen, Lokator,
Kraków 2022



TY POPKO / DISNEYLAND RESORT / MATERIAŁY PRASOWE

Czarna Wdowa, postać z filmu o tym samym tytule (produkcji Marvel Studios), jest jedną z atrakcji parku rozrywki Disneyland. W Avengers Campus spotkać można także Czarną Panterę i Kapitana Amerykę. Anaheim, Kalifornia, maj 2021 r.

Galaktyka Disneya

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Zapędy do podboju kolejnych stref naszego czasu wolnego współczesny Disney dziedziczy w prostej linii od swego założyciela Walta. W ostatniej dekadzie wszechobecność i monopol tej korporacji stają się niepokojące.

KIEDY PRZESKAKUJESZ POMIĘDZY TYtułami na Netfliksie, musisz poddać się jego interaktywnej naturze. Co i rusz uruchamiają się filmowe fragmenty z dźwiękiem, które łaszą się do ciebie i przekonują, że to właśnie one są najlepszym wyborem na wieczór. Inaczej Disney+. Składa się z mozaiki kafeleków i przegródek, która przypomina wypasioną bombonierkę: część smaków znasz, inne chcesz spróbować w ciemno. Ale spokojniejszy interfejs to zmyłka.

Galaktyka Disneya ma ambicje totalne i reprezentuje bezprecedensową kumulację rozrywki. Sto lat historii tej marki i jej założyciela to opowieść o tym, jak z szata twórczego zrodziła się wielka korporacja, która pożera kolejne przyczółki kina i telewizji.

Walt z farmy

Jak niemal każda postać uosabiająca cnoty i pułapki amerykańskiego kapitalizmu, Walt Disney był artystą niepozbawionym sprzeczności. Kiedy na początku lat 20. minionego wieku tworzył pierwsze, na wpół chałupnicze animacje w Kansas City, kierowała nim ambicja i chęć realizacji marzeń: o twórczej niezależności, o sukcesie, który ominął jego ojca, o znalezieniu swojego miejsca w kinowej branży. Późniejsza kariera najśłynniejszego animatora wszech czasów zmierzała jednak coraz silniej w kierunku konsolidacji władzy i budowania imperium. Młodzieńczy entuzjazm ustępował miejsca bywałym wizjom i autorytarnym zapędom.

Na razie, na początku swojej drogi, Walt kombinuje i wraz z gronem współ-

pracowników przelewa na kartki pomysły na kreskówki. Tak powstaje seria „Laugh-O-Grams” i krótką animacją inspirowana „Alicją w Krainie Czarów”. Jest rok 1923, studio Disneya bankrutuje, lecz niezrażony twórca kupuje bilet do Kalifornii – w jedną stronę. Hollywood dopiero staje się potężną Fabryką Snów, która zawojuje światowe rynki. Kilka lat po tym, jak większość amerykańskiego przemysłu filmowego przeniosła się tam ze Wschodniego Wybrzeża, w Los Angeles panuje twórczy ferment, przy filmach na ważnych stanowiskach pracuje wiele kobiet, a hierarchie nie są jeszcze tak sztywne. W tym samym roku na wzgórzu przy studiach filmowych staje masywny biały napis „Hollywoodland”.

Disney dziarsko wkracza w ten świat i wkrótce współtworzy swoją najśłynniejszą postać: Myszkę Miki. „Parowiec Willie” z 1928 r., pierwszy film z pocieszającym gryzieniem dystrybuowany w kinach, był przełomem nie tylko dlatego, że Walt wreszcie znalazł bohatera, z którym nigdy się nie rozstanie. Zrealizowana z dźwiękiem i zawierająca piosenkę czarno-biała miniatura zegnała epokę niemych animacji i zapowiadała nową erę kina. Sceny musicalowe staną się obowiązkowym elementem pełnometrażowych filmów Disneya, a na przestrzeni stulecia dla studia komponować będą ➔

→ najlepsi, m.in. Alan Menken, bracia Sherman, Elton John i Hans Zimmer.

Od końca lat 20. Disney uznawany jest zarówno za technicznego pioniera, jak i za pierwszorzędnego artystę. W czasach, kiedy intelektualiści uważali kino za podrzędną rozrywkę, Disney był, obok Charliego Chaplina, jedynym filmowcem, który godził przeciwieństwa i potrafił zjednać sobie szacunek oraz sympatię większości grup (słabość do filmów Disneya miał np. sowiecki reżyser Siergiej Eisenstein). Z jednej strony czasochłonna, podzielona na etapy i wieloosobowa produkcja kreskówek uosabiała nowy model masowej produkcji, z drugiej – eksperymentalne zapędy Disneya temperowało jego zamiłowanie do sentymentalizmu. Co więcej, już w latach 30. Walt rozszerzył swoje pole działań na towarzyszące filmom zabawki dla dzieci. Wtedy też nowojorskie The Museum of Modern Art, w ramach przeglądu osiągnięć amerykańskiego kina, wyświetliło jego animacje obok dzieł D.W. Griffitha i F.W. Murnaua. Niespełna 40-letni, Disney był już klasykiem i jedną z ikon jankeskiej kultury.

Kim jest wizjoner, który niebawem stworzy „Królową Śnieżkę i siedmiu krasnoludków” (1937), czyli dzieło swojego życia? Metafora raju utraconego pasuje jak ulał do Marceline w Missouri, czyli lokalizacji farmy rodziny Disneya, gdzie Walt spędził wczesne lata swojego życia. Dorosły Walt miał wspominać ten czas jako jedyny względnie szczęśliwy epizod dorastania. Zdaniem biografów artysty cały projekt galaktyki Disneya – konstelacji bajek, rodzinnych narracji i parków rozrywki – był próbą cofnięcia czasu i odtworzenia beztroski, której doświadczył na farmie w Marceline.

Z Hyperiona do Burbank

„Królowa Śnieżka” to przedsięwzięcie, o którym Hollywood nigdy dotąd nie słyszało: pełnometrażowa animacja, która powstaje ogromnym nakładem pracy i kosztów, niemal doprowadzając studio do bankructwa. Disney przez kilka lat jest obsesyjnie skupiony na realizacji wymarzonej adaptacji. Jako jeden z niewielu w branży mówi, że „tworzy sztukę” – zwykle amerykańscy filmowcy przedstawiali się raczej jako spece od rozrywki. Rozmach produkcji – powstaje ponad 200 tys. rysunków – wymaga armii pomocników i rozbudowy studia. Hyperion, siedziba Disneya, staje się domem



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Królowa Śnieżka i siedmiu krasnoludków”, 1937 r.

intensywnej pracy twórczej, w którym panuje swojska atmosfera. Pracownicy mówią do Walta po imieniu; przypomina on bardziej ich kolegę niż szefa.

Po wielkim – komercyjnym, artystycznym i technologicznym – sukcesie „Królowej Śnieżki” powstaje w ciągu kilku lat reszta z Wielkiej Piątki jego długich animacji: „Pinokio”, „Fantazja”, „Dumbo” i „Bambi”. Choć tak od siebie różne, mają spójną estetykę i nastrój. Widać po nich, że twórca zwiariowanego i zaczepnego cyklu „Głupie symfonie” obrał kurs na szacowność, malarzkie światy i literaturę. Dzisiaj przejrzysty, wyczyszczony ze zbędnych elementów styl Disneya to wzorzec klasycznej animacji, który może trącić myszką. W momencie premiery jednak owe mieszanki horroru (mało kto umiał portretować grozę tak jak Walt), wzruszeń, akcji oraz dopieszczonych do perfekcji malowanych obrazów zachwyciły i szokowały widzów.

Na „Królowie Śnieżce” część publiczności autentycznie płakała, co było zresztą celem Walta; śmierć matki jelonka Bambi odcisnęła emocjonalne piętno na pokoleniach dzieci, przybliżając im doświadczenie straty. Intensywność tych animacji, ich kunsztownie wykreowane światy oraz fabuły odwołujące się do wzorców opowieści o dojrzewaniu sprawiły, że stały się też świetnym towarem eksportowym. Disney był dla wszystkich: prostych i wyrafinowanych, dużych i małych. Jak się

też okazało, widzowie na całym świecie chcieli filmy Disneya oglądać.

Wtem, w 1941 r., nastąpił kryzys, który miał na zawsze odmienić Walta. Głośny strajk pracowników studia to punkt zwrotny w historii firmy i moment, kiedy dawny idealizm zostaje ostatecznie zastąpiony przez ekonomiczną kalkulację. Nierówne płace oraz hierarchiczne relacje w świeżo wybudowanym studiu Burbank, gdzie nawet dostęp do służbowych restauracji zależał od pozycji zajmowanej przez poszczególnych animatorów, spotkały się w końcu ze zdecydowanym sprzeciwem pracowników. Disney zwolnił m.in. Arta Babbitta, jednego ze swoich najcenniejszych rysowników, który opowiadał się za utworzeniem w studiu związku zawodowego. Po kilku miesiącach strajku związek i tak został utworzony; Walt musiał skapitulować. Producent stał się przy tym zagorzałym obrońcą „amerykańskich ideałów”, który, w iście amerykańskim geście, winił domniemanych komunistów za całe zło. Nie rozumiał też najprostszych potrzeb pracowników, na czele z godną płacą i uznaniem. Partnerskie niegdyś relacje między szefem a resztą zmieniły się w dystans, chłód i chorobliwą nieufność wobec podwładnych.

Reszta dekady była dla Disneya pozbawiona większych osiągnięć, ale w 1946 r. powstała „Pieśń Południa”, najbardziej kontrowersyjny film w historii studia. Nie szukajcie go na Disney+, prawdopo-

dobnie nigdy nie trafi na platformę. Obfitość rasistowskich stereotypów, jakie pojawiają się w tej opowieści o dobrym, starym Afroamerykaninie, który niedługo po zniesieniu niewolnictwa z uśmiechem opowiada bajki białemu paniczowi, wprowadza w zakłopotanie i wskazuje na brak wyczucia kwestii społecznych i politycznych przez Disneya. Nie wszystko da się zamienić w grzeczną fantazję, nie wszystkie elementy historii USA zasługują na afirmację i pokolorowanie.

Świat Disneya

Lata 50. to dalsze rozszerzanie imperium. Walt Disney staje się znanym z telewizji „wujkiem Waltem” i wymyśla olbrzymie miasteczko, które dostarczy eskapizmu totalnego. Nagrania z epoki pokazują starzejącego się biznesmena, który na własnym podwórku bawi się kolejką w mniejszej skali, siedząc okrakiem na wagonikach i ciesząc się jak dziecko. Disneyland – wynik potrzeby stworzenia alternatywnego świata, który byłby pod jego całkowitą kontrolą i do którego nie miałyby dostępu codzienne troski. Odwiedzający wkraczali w ożywione królestwo bajek Disneya, starej Ameryki, kreskówkowych postaci, tradycyjnych wzorców i pejzaży. Samonapędzające się sprzężenie zwrotne: Disneyland to Ameryka w pigułce, Ameryka chce być jak park rozrywki Disneya.

Disneyland stanowił pierwszy projekt totalny wujka Walta, ale bynajmniej nie ostatni. Przed śmiercią w 1966 r. nie udało mu się co prawda wybudować planowanego miasta przyszłości, ale zostawił po sobie korporację, której gargantuiczny apetyt pozostawał tylko uśpiony. Po chudszych latach nastąpił renesans studia na przełomie lat 80. i 90. – to wtedy powstały „Mała syrenka”, „Piękna i Bestia”, „Aladyn” i „Król Lew”. Logo Disneya ponownie nabrało blasku, ale wkrótce pojawił się młody, ambitny, beczelny konkurent: Pixar i „Toy Story” z 1995 r. Pod wieloma względami dzieła Pixara są rewersem łagodniejszych, bardziej konserwatywnych filmów Walta i jego podopiecznych: popowa energia, slang, więcej slapsticku, nacisk na współczesność, a nie staroświeckie baśnie, oraz zupełnie inny rodzaj kontraktu z widzami. Przeciwwagą dla familijnych animacji Walta stały się filmy przygodowe Pixara, które dbały o młodą widownię, ale oferowały dorosłym widzom ostrzejszy dowcip i bardziej skomplikowaną intrygę.

W przyszłym roku
najwcześniejsza wersja
Myszki Miki przestanie być
chroniona prawem autorskim.
**Prawnicy Disneya rozpoczną
więc kolejną krucjatę**
przeciw twórcom
wykorzystującym
wizerunek postaci.

Początki Pixara to bezpośredni bunt przeciwko ojcom klasycznej animacji: wielu twórców „Toy Story” to absolwenci założonej przez Disneya uczelni artystycznej CalArts. Byli jednak wychowani na popkulturze, komiksach oraz telewizji i poszukiwali innej estetyki. Częściowa niezależność – animacje Pixara powstawały i tak we współpracy z Disneyem – nie trwała długo. Pod przewodnictwem wieloletniego CEO medialnego konglomeratu, Boba Igera, Disney zaczął drogie zakupy. W roku 2006 nabył Pixara, w 2009 Marvela, w 2012 Lucasfilm (prawa do uniwersum „Gwiezdnych wojen”), a w 2019 jeszcze 21st Century Fox. Nigdy wcześniej tak wiele postaci, franczyz, historii, obrazów i własności intelektualnych nie znajdowało się pod jednym dachem.

Pilotem przez galaktykę

Zapędy do podboju kolejnych stref czasu wolnego współczesny Disneyowski moloch dziedziczy w prostej linii od samego Walta. Ciągłe projektowanie dziecięcej utopii i multimedialnych krain wypełnionych zabawą też wpisuje się w ideologię twórcy „Królowej Śnieżki”. Rysy na imperium Disneya są jednak znaczące: w ostatniej dekadzie wszechobecność i monopol tej korporacji stają się niepokojące.

Weźmy np. męczącą skłonność do recyklingu i odgrzewania tego samego w nieco tylko zmienionej odsłonie. Oglądając fabularne adaptacje disneyowskich bajek pokroju „Pięknej i Bestii” (2017) oraz „Aladyna” (2019), doświadczamy pewnej niesamowitości: widzieliśmy to już wcześniej w formie cudownych, ponadczasowych animacji. Te same fabuły przerobione na filmy aktorskie wydają się pozbawione

duszy, rozwlekłe, zrobione bez gracji i wdzięku. Także nowa trylogia „Gwiezdnych wojen”, wyprodukowana już pod parasolem Disneya, przypomina przegląd znanych obrazów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję lub algorytm, który nauczył się rozpoznawać potrzeby jak najszerzej widowni. O superbohater-skich cyklach Marvela nawet nie wspominać: zatrudnianie chodliwych reżyserów i reżyserek nie jest w stanie przykryć ich powtarzalnego charakteru.

Świat Disneya, pozornie najbardziej radosny z możliwych, od dawna wywołuje reakcję obronną. Profil Alternative Disney na Facebooku pogrywa np. z cnotliwą mitologią studia, wydobywając z kresówek wyparte lub niecenzuralne treści. Przeciwnością do rozrywkowego krwiobiegu wpuścił też „Escape from Tomorrow” Randy’ego Moore’a z 2013 r.: sfilmowany nielegalnie w Disney Worldzie, niezależny czarno-biały horror, w którym eskapizm spod znaku Myszki Miki zamienia się w mroczną antyutopię. Kiedy zabawa staje się przymusem zabawy, budzą się demony.

Uruchomiony w 2019 r. *streaming* Disney+ okazał się sukcesem także w Polsce, dokąd dotarł w połowie 2022 r. Galaktykę Disneya można tu przemierzać na własnej kanapie. Najbardziej chodliwe kawałki zachodniej popkultury przenikają do domów i oplatą naszą wyobraźnię. Dominacja korporacji wydaje się ostatnim tchnieniem kurczącej się amerykańskiej *soft power*, ostatnią próbą utrzymania statusu Stanów Zjednoczonych jako centrum globalnej rozrywki. Przecież coraz częściej spoglądamy w kierunku azjatyckiej popkultury, chociażby tej z Korei, Indii i Japonii.

I to jest największa zmiana od czasów panowania wujka Walta: cokolwiek by mówić o jego światopoglądzie i ambicjach, dbał o to, by Disney był synonimem tego, co najlepsze, a nie tego, co najlepiej się sprzedaje. Teraz rzadko mówimy o filmach Disneya jako samodzielnych dziełach, za którymi stoją znamienici artyści. W świecie, w którym mimo popularności Disney+ notuje miliardowe straty, a po mniejszych niż spodziewane wynikach „Avatara: Istoty wody” Jamesa Camerona akcje firmy spadają, liczy się głównie minimalizacja ryzyka, unikanie kontrowersji, brak szaleństwa i wizji. Nie tak było za panowania „Królowej Śnieżki”. © SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Kebab i horoskop

ANITA PIOTROWSKA

**Czy da się opowiedzieć
Chopinem o losie chłopaków
z polskiego blokowiska?
O tych, którym udało się
stamtąd wyrwać,
i o tych, co utknęli tam
już na zawsze?**

TOMASZ WOŹNICZKA / STUDIO MINKA SFP / MATERIAŁY PRASOWE



DEBIUTUJĄCY (NARESZCIE!) W PEŁNYM metrażu Damian Kocur potrafi łączyć brzmienie romantycznych nokturnów z hip-hopowym freestyle'em. Jego „Chleb i sól” to tragiczny wariant kina kumpelskiego, gdzie rządzi lęk nasz powszedni przed wszystkim, co obce. Wszelka inność staje się solą w oku, bo przypomina, że sami jesteśmy inni. Tak udanego debiutu dawno w naszym kinie nie było.

Mogło z tego powstać coś na kształt pozytywistycznej przepowiedni. Celuje w nich współczesne kino francuskie, patrz: „Unik” Abdellatifa Kechiche’a czy „Klasa” Laurenta Canteta, w których szkoła, literatura, teatr, a więc edukacja i kultura wysoka, przynoszą dzieciakom z nieuprzywilejowanych środowisk obietnicę awansu społecznego. Dla polskiego reżysera to zaledwie punkt wyjścia. Jego bohater, Tymek, zdążył kilka lat wcześniej opuścić Śląsk i jako pianista jest właśnie u progu międzynarodowej kariery. Wpada do rodzinnego miasta tylko na chwilę – nie opłaca mu się nawet rozpakować walizki. Zaraz po wakacjach ruszy na stypendium do Niemiec i po drodze chciałby wyciągnąć z tego grajdołka młodszego brata marnotrawnego. Bo Jacek też ma talent, lecz zamiast przygotowywać się do egzaminu na akademii muzycznej, czyli ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć, woli włóczyć się z „ziomeczkami” i dziewczyną. A konkretnie – palić z nimi skręty, obalać browara i przesiadywać w osiedlowym ba-

rze z kebabem, prowadzonym przez młodych Arabów.

Domowe pianino, na którym bracia grywali pierwsze oktawy, stoi rozstrojone. Podobne wewnętrzne niedostrojenie pobrzmiewa w głównym bohaterze. Niby znajduje się pośród swoich, mówi ich językiem i rechocze z tych samych dowcipów, ale tak naprawdę przebywa gdzieś poza lub ponad. Przez cały czas nasuwa się pytanie, czy w innym, dalekim świecie jest całkiem u siebie.

Czuje się, że Kocur, również wychowany w śląsko-blokowych klimatach, dobrze zna takie dylematy i tych ludzi. Nie tylko dlatego, że główne role zagrali jego kumple, autentyczni pianiści z blokowiska, Tymoteusz i Jacek Biesowie, z których pierwszy jest laureatem wielu międzynarodowych konkursów, z chopinowskim włącznie. „Chleb i sól” jest filmem nie tylko przemyślanym (intelektualnie i filmowo), lecz i zapewne głęboko przeżytym. Naturalność aktorskich „prawdziwków”, zaufanie dla improwizacji, ucho do języka i pewna ręka, jaką reżyser inscenizuje w długich ujęciach życie codzienne, robią wrażenie, jednakże na samym odwzorowaniu swojskiej rzeczywistości reżyser nie poprzestaje.

Tymek, czyli *outsider* i *insider* w jednej osobie, stanowi soczewkę, która podwójnie filtruje ów strumień życia. Jego oczami kamera Tomasza Woźniczki chwytta na gorąco i rozkoszną nudę letnich dni, i zarazem ich beznadziejność,

w dosłownym tego znaczeniu. To jego wyostrozonym słuchem rejestrujemy przemoc ukrytą w banalnym słowotoku. Stąd tak bardzo dotykalne staje się napięcie buzujące w miejscowych chłopakach, ilekroć na horyzoncie pojawiają się obcy, w tym przypadku „ciapaci”. I podczas gdy ci drudzy, witani w Polsce bez chleba i soli, robią swoje, godząc się ze swym losem, pierwsi mają poczucie, że już na starcie swój los przegrali. Film Kocura pozwala spojrzeć na nich wbrew ponurym horoskopom, bez klasowych uprzedzeń i jednocześnie bez nadgorliwego przybijania piątki.

Wielu uciekinierów ze wsi i małych miasteczek ma okazję przejrzeć się w głównej postaci. Zobaczy w niej np. dobrze znaną opowieść o wiecznie zaburzonej przynależności, rozwijaniu skromnego kapitału kulturowego i o cenie tego awansu. Okazuje się bowiem, że Tymek wcale nie uciekł daleko. Kiedy kumple wyżywają się na bliskowschodnich imigrantach, zdaje się obojętny i wycofany, jakby on, mówiący językami bywalec europejskich sal koncertowych, uwewnętrzniał w sobie prowincję jako stan ducha. Finał, inspirowany tragicznymi wydarzeniami sprzed kilku lat, do jakich doszło w Elku pod jednym z barów kebabowych, okazuje się spełnieniem fatum: wszystko, przed czym uciekł pianista z blokowiska, musi go w końcu dopaść. Przywiózł na stare śmieci dawnego siebie – słabego, zastraszonego, zakłamanego we własnej tożsamości. Blokowi-



CHLEB I SÓL

– reż. Damian Kocur. Prod. Polska 2022. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 27 stycznia.

Damian Kocur, z wykształcenia operator, reżyserował wcześniej filmy krótkometrażowe, które przyniosły mu kilkadziesiąt nagród w kraju i za granicą: „To, czego chcę”, „Nic nowego pod słońcem”, a szczególnie „Dalej jest dzień”. Jego specjalnością stała się praca z naturšczykami i wiarygodny kontekst społeczny. Za „Chleb i sól” otrzymał Nagrodę Specjalną na ostatnim festiwalu w Wenecji.

sko, które nosi w środku, nadal go blokuje.

Może chociaż muzyka Chopina przyniesie wyzwolenie? W jednej z najmocniejszych scen filmu Tymek rozmawia z chłopcem, który dopiero uczy się grać. Widzi w nim siebie sprzed wielu lat, ale dostrzega także koszty swojego sukcesu i przymoc wpisana w bezwzględne dążenie do mistrzostwa. W ciągu tych kilku minut, kiedy bohater daje twardą lekcję dużo młodszemu koledze, następuje coś w rodzaju odwrócenia ról. Zestresowane dziecko, które mimo wszystko jeszcze lubi pianino, mimowolnie uświadamia Tymkowi, co zyskał, a co stracił. W takich momentach ujawnia się najpełniej talent Kocura do mówienia nie wprost. Film, w którym non stop się nawija i trudno usłyszeć każde słowo (ale nie „jak w polskim filmie”, raczej jak w życiu), najważniejsze kryje między słowami. Podobnie było w świetnej krótkometrażówce „Dalej jest dzień” (2020), opartej w dużej mierze na „głuchych” rozmowach samotnego mężczyzny z polskiej wsi i ukrywającego się w jego domu nielegalnego imigranta.

Można uznać tamten tytuł, nawiązujący do głośnej publikacji o losach Żydów w okupowanej Polsce, za tematyczne preludium do „Chleba i soli”. Za kolejne gorzkie spojrzenie na legendarną polską gościnność. Zresztą Studio Munka, które wyprodukowało tę opowieść, nie stroni od istotnych tematów społeczno-kulturowych, a wręcz stara się je promować. I Kocur robi to, na szczęście, bez przypisywania komukolwiek moralnej słuszności, bez usprawiedliwiania wszystkiego tragicznym fatalizmem czy społecznym determinizmem. W tym świecie po prostu nie ma wygranych. Film, wbrew licznym atutom zignorowany przez jury ostatniego festiwalu w Gdyni, ma w sobie przede wszystkim żywą energię, ową iskrę, której zabrakło głównemu bohaterowi. A dlaczego tak ostro iskrzy na jego dawnym osiedlu, w świecie „innych ludzi” – to również woli Kocur pozostawić naszym domysłem. ©

Lektor: Wycieczka



HALANDŹA.

OPOWIADANIA MODERNISTÓW WĘGERSKICH

Wybór Elżbieta Cygielska, Anna Górecka.
Przekład Elżbieta Cygielska, Anna Górecka,
Julia Wolin. Posłowie Elżbieta Cygielska.
Noty o autorach Anna Górecka. Państwowy
Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, ss. 648.

„NYUGAT”, CZYLI „ZACHÓD” – TAKI ZNACZĄCY TYTUŁ NOSIŁO najważniejsze węgierskie pismo literackie, ukazujące się w latach 1908-1941 w Budapeszcie. Kolejne pokolenia pisarzy z nim związanych, zwłaszcza pierwsze, w istotnej mierze wpłynęły na nowoczesną literaturę węgierską, otwierając ją na nowe prądy i formy, a równocześnie przestrzegając zasady różnorodności. Jak pisał pierwszy naczelny pisma, krytyk Ignótus (Hugo Veigelsberg): „Sztuka nie zna reguł, jedynie możliwości. Pisarzowi, artyście wolno wszystko pod warunkiem, że umie robić to, co robi”. Kluczową postać pierwszego pokolenia „Nyugatu” stanowił wielki poeta Endre Ady (1877-1919), tłumaczony u nas m.in. przez Iłakowiczównę, i właśnie on otwiera tę antologię – po raz pierwszy poznajemy go jako prozaika.

„Wybrana piętnastka – czytamy w posłowniu – to jedynie reprezentacja szerokiego środowiska, które na początku ubiegłego wieku przestawiło zwrotnicę literatury węgierskiej i wciąż trwa jako źródło inspiracji oraz punkt odniesienia. A przede wszystkim jako legenda, bo niemal każdy z jego przedstawicieli już za życia był postacią legendarną”. Przykład? Sándor Márai, pisarz znakomity i najczęściej u nas dziś spośród Węgrów tłumaczony, zaledwie niecałą dekadę po śmierci swojego mistrza, którym był Gyula Krúdy (1878-1933), złożył mu hołd powieścią „Sindbad powraca do domu”.

Krúdy, a także Zsigmond Móricz (1879-1942), Dezső Kosztolányi (1885-1936) oraz dekadent Géza Csáth (1887-1919; opiumista, zabójca własnej żony i samobójca) mają już u nas tomy opowiadań. Przełożono na polski powieści Margit Kaffki (1880-1918), Mihály Babitsa (1883-1941) i Frigyesa Karinthyego (1897-1938; znakomita „Podróż wokół mojej czaszki!”). Pozostali autorzy tomu to Sándor Bródy (1863-1924), bracia László (1879-1929) i Viktor (1868-1912) Cholnoky, Sándor Hunyady (1890-1942), Károly Lovik (1874-1915), Károly Pap (1897-1945) i Emma Ritoók (1868-1945).

Elżbieta Cygielska nazywa tę książkę „propozycją przechadzki po noweli węgierskiej sprzed stu lat z okładem”. Dodałbym tylko, że nie są to odwiedziny w martwym muzeum, ale wycieczka pełna niespodzianek. Wprowadza w świat często mroczny – ale jakich dobrych mamy przewodników! A wyjaśnienie tytułu znajdziecie u Karinthyego. ©

OLGA

Drenda:

Apokalipsa? Nie, dzięki

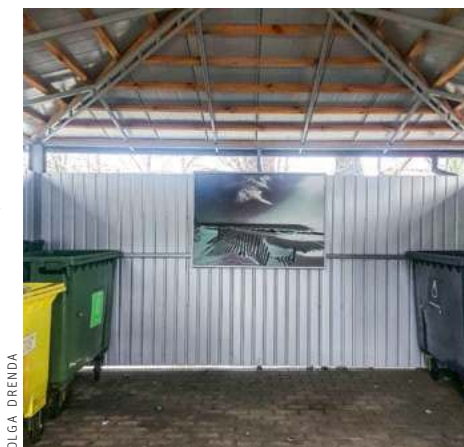


NIESTETY, UNIKAM JUŻ DYKUSJI o sztucznej inteligencji. Szkoda, bo być może znaleźliśmy się na chwilę najbliższej stanu, którego mogli doświadczać ludzie wieku XIX, oszołomieni plejadą nowych wynalazków

i rozgorączkowani możliwościami, jakie dawały elektryczność, kino, rower i radio. Albo w połowie XX wieku, gdy pierwsi ludzie lądowali na Księżycu, a medycyna eliminowała kolejne choroby zakaźne. W ostatnich latach takich emocji brakowało. Wizja lotów pasażerskich w kosmos niespecjalnie inspirowała powszechną wyobraźnię jako kaprys dla znużonych miliarderów. Szybkość opracowania szczepionki na covid mogłaby imponować, tak jak to kiedyś było z tą przeciwko ospie, ale energia oczekiwania rozmyła się w jałowych kłótniach. Skok technologiczny, który w ostatnim czasie mogliśmy zaobserwować dzięki ChatGPT i Midjourney, to faktycznie coś nowego i coś, co łatwo przetestować na własnym komputerze: potencjalnie inspirujące i inżyniera, i filozofa. A jednak – niestety.

Piszę „niestety”, bo wszelkie dyskusje szybko trafiły w ten sam ślepy zaułek. Kiedy po raz kolejny widziałam rozważania nad tym, kogo AI miałyby tym razem zastąpić i czy będą to sprzedawcy, księgowi, czy artyści – zaczynałam bezwiednie klikać „unfollow”. Pewnie, że takie scenariusze nie są niemożliwe, ale szybko uruchomił się mój radar antyapokaliptyczny. To, że istnieje jakieś zagrożenie, nie oznacza, że należy ulec pokusie katastrofizmu, a katastrofizm stawia barykadę dalszemu życiu.

Nie spieszymy
się tak
z wyrzucaniem się
nawzajem
do śmieci.



OLGA DRENDA

Spekulacje na temat końca świata muszą być dla wielu osobliwie przyjemne, nawet jeśli biorą pod uwagę, że sami nie wyszliby na tym dobrze. Zgadza się z moim kolegą z łamów „TP”, Tomaszem Stawiszyńskim, że zanurkowanie w apokaliptyczną fantazję jest niewątpliwie pobudzającą wyobraźnię opcją, dość ekscytującą (w końcu dzieje się coś przełomowego), ale lepiej nie dawać się temu ponosić, można bowiem utknąć w niej na zawsze. Jak ten biedny rybak z „Gości Wieczerzy Pańskiej” Bergmana, który sam żyjąc w XIX-wiecznej niemal scenerii tak mocno uwierzył w niechybną atomową zagładę, że nie znalazł wyjścia innego niż samobójstwo.

W mniej drastycznych scenariuszach apokaliptyczna fantazja może również – jak chyba w rozmowach, które zniechęciły mnie do dalszego udziału – stać się scenarzystką i reżyserką naszych myśli. W debatach o AI szybko ulotniła się wszelka niepewność, wszelkie namysły co do tego, do czego narzędzie to właściwie może posłużyć, wreszcie to, jak bardzo rozwiązania prawne, choćby licencje czy nowelizacje praw autorskich, mogą spowolnić (czy jak kto woli: ucywilizować) potencjalne ścieżki rozwoju. Gdy na przełomie milleniów sklonowano owcę, spowodowało to na krótką chwilę wybuch zaniepokojonych głosów: kiedy rozpocznie się komercyjne klonowanie ludzi, czy człowiek sklonowany będzie miał duszę, wreszcie kiedy rzeczywistością stanie się „Park jurajski”. Pamiętam z nich poczucie niemal niezachwianej pewności, że podobne scenariusze są kwestią czasu. Podobnie, a raczej zdecydowanie gorzej, stało się z dyskusjami o sztucznej inteligencji: pozbawienie pracy, dziki rynek, marginalizacja „ludzi z mięsa” i oczywista wojna wszystkich ze wszystkimi wydał mi się niemal jedynym przebiegiem zdarzeń, jaki brali pod uwagę ich uczestnicy.

Ta niezachwiana pewność jest chyba najbardziej krećcem, destrukcyjnym składnikiem apokaliptycznej fantazji i prawdopodobnie tym, co sprawia, że działa ona na tak masową skalę. Odwołuje się bowiem do pragnienia posiadania racji, nawet najgorszym kosztem. Ktoś chce być tym właściwym prognostą, ktoś chce nawet na zupełnych gruzach mieć satysfakcję z ostatniego słowa, z powiedzenia „a nie mówiłem”. Mam wreszcie małe, malutkie podejrzenie, że są tacy, którzy po cichu liczą, że upieką przy okazji własną pieczeń. Że nareszcie ci, którzy nadepnęli im na odcisk, czy to sprzedawcy, czy to księgowi, czy to artyści – będą mieli za swoje. A w razie czego, jeśli faktycznie sztuczna inteligencja wyśle nas wszystkich – jak mawiano niegdyś z wisielczym humorem – do bakutilu, to cicho złorzeczący będą mieć doskonałe alibi: to się samo zrobiło, to roboty, a ja tylko prognozowałem! A że ku swojej satysfakcji, to już inna sprawa...

Nie dowiem się więc na razie, dlaczego zdaniem Midjourney każdy Polak ma twarz akurat wokalisty zespołu Coma (co wynikało z moich prób wygenerowania fikcyjnych polskich filmów). Może kiedyś, kiedy temat już wszystkim się opatrzy, albo gdy przyzwyczaimy się trochę po miłoszowskiemu do życia w kolejnej piosence o końcu świata, będziemy mogli do tego wrócić. ©

PAWEŁ

Bravo:

Pora na wystawę



SIEDEMDZIESIĄT OSIEM LAT WCISKA W WARSZAWSKIE niebo swój szpetny szpikulec pomnik Józefa Stalina, zwany – z racji swoich drugorzędnych funkcji architektonicznych – pałacem kultury i nauki. Doprawdy, perfidnie to alibi dla wielkiej

drzazgi wbitej miastu w oko po wsze czasy, bowiem nie sposób się pozbyć czegoś tak dużego doskonale w stolicy przećwiczoną metodą „na degradację”: porzuca się stary, zabytkowy budynek na pastwę losu, czeka dekadę, aż do cna przegnię, a potem w ruderze wybucha tzw. pożar deweloperski, rzecz jasna całkiem przypadkowy, i definitywnie czyści działkę pod nowe inwestycje.

Siedemdziesiąt osiem to wiek aż nadto dorosły, człowieka stać na mądrą ocenę, które złe rzeczy dadzą się w jego życiu zmienić, a które trzeba ośwoić przez obojętność. Podobnie miasto, mam nadzieję, dojrzało już, żeby ten obiekt zacząć ignorować w koncepcjach, co dalej z przestrzenią wokół niego. Im więcej zacznie się tam dziać rzeczy potrzebnych społeczności i wymyślonych na ludzką, pocziwą miarę, tym mniej kogo będzie obchodzić, co tam sterczy w tle. Nie z każdą przeszłością dialog jest konieczny dla zdrowia psychicznego jednostki czy społeczności.

Dlatego napawa mnie spokojnym optymizmem i sympatią fakt, że nowy budynek Muzeum Sztuki Nowoczesnej stanął już równie nieodwołalnie, co jego stalinowski sąsiad, i w tym duchu piszę w „Obrazie Tygodnia” tego numeru tekścik o bezsilnych złorzeczeniach na jego kształt. W zaciszu kuchennej rubryczki mogę wam dopowiedzieć, czego od frontu głosić nie wypada: że jedno z kluczowych dla mnie – maniaka wystaw, u którego ortopedzi stwierdzili rzadki rodzaj zwyrodnienia bioder od tzw. kroku muzealnego – kryteriów decydujących, czy lubię jakieś miejsce sztuki, jest jego kafejka lub bufet.

Miejscowy zna tuziny miejsc w okolicy, gdzie może się posilić lub spędzić leniwie resztę popołudnia, więc jeśli w zwiedzanej galerii karmią drogo, niesmacznie i pretensjonalnie, to może z towarzystwem iść przegadać obejrzone rzeczy za róg. Co innego przybysz z daleka, zwłaszcza jeśli w pośpiechu liczy czas, jaki został do powrotnego pociągu – wtedy solidna kateria z sycącą zupą nastraja lepiej do właśnie przyswojonych wartości duchowych. Obiad, powiecie, to użyteczność raczej prywatna, ale sądzę, że jest nas wielu. Należy dbać o ludzi, dla których muzeum jest drugim domem – niechże w tym domu mają też przytulną kuchnię.

Oceniane w ten sposób jadłodajnie muzealne tworzą apetyczne kontinuum. Zaczyna się od miejsc o atmosferze niemal

stołkówkowej i na tym krańcu od zawsze króluje dla mnie bufet w berlińskim Kulturforum, a ściślej w tej jego części, gdzie mieści się galeria malarstwa dawnego. Nie znam lepszej sałatki ziemniaczanej w Niemczech niż tam podawana, i to może być efekt plebejskiego uroku, jaki rzuca na mnie za każdym razem wesola kumoszka „Malle Babbe” Fransa Halsa. Po spotkaniu z nią trudno byłoby zamówić coś bardziej wyszukanego.

Widywałem też, na drugim krańcu skali, aż nazbyt wyrafinowane miejsca, zgodnie ze smutnym trendem, że sztuka, zwłaszcza współczesna, jest snobistyczną zabawką elit. Właściwie jedynym miejscem, któremu taki grzech wybaczam, jest Qchnia Artystyczna w warszawskim Zamku Ujazdowskim – ale to z racji historycznych zasług, lokal ten bowiem zaistniał w głębokich latach 90. (co widać po modnym wówczas zabiegu literniczym w nazwie) i był naprawdę awangardowy. Pośrodku skali działa jednak mnóstwo miejsc, które, karmiąc rzeczami banalnymi i niewymagającymi rozległego zaplecza kuchennego – tarty, tosty, hummusy i kanapki – umieją skorzystać z wyjątkowości przestrzeni, bowiem muzea nie raz zapewniają bufetowi przepyszne otoczenie. Cafe Lorentz w warszawskim Narodowym jest zamknięte, mam nadzieję, że w cieplej porze roku znów skolonizuje modernistyczny dziedziniec. Koronę malowniczych retro-podwórek dzierży kawiarnia w krakowskim Domu Mehoffera, a moje osobiste wyróżnienie za idealne zespojenie wystroju, widoków z okna i potraw niezmiennie wręczam galerii Manggha po drugiej stronie rzeki. Jest jeszcze kawiarnia w pawilonie Czapskiego (z całym szacunkiem dla jego nowoczesności, najbardziej jednak kocham tam zaciszne średniowieczne lapidarium).

A warszawski MSN? W tymczasowej siedzibie nad Wisłą działa Paloma, zapewniająca kontrkulturowe atrakcje w rodzaju Drag Brunch („naszą hostessą będzie mistrzyni szpagatu, brokatowa królowa (...) w planach występy, striptizy, specjalne koktajle”), ale poza tym jednak serwująca pocziwego camemberta z żurawiną lub mieszczańskie pory w maśle. Czekam życzliwie na nowe miejsce przy Marszałkowskiej. Może nawet bardziej niecierpliwie niż na same wystawy. © P



Większość zup, jakie zjadłem w muzeach świata, nie zaistniała w mojej pamięci w sposób szczegółowy – przeważnie były to proste warzywne kremy, cateringowy pewniak, który rzadko zachwyca, ale za to dobrze rozgrzewa. Raz jednak jadłem bardzo dobry krem z porów, którego przepis udało mi się zrekonstruować. Kroimy w grube talarki pięć porów i jedną cebulę, dusimy przez pięć minut w dużym garnku na pięciu łyżkach oliwy, dosypujemy sól i łyżkę stołową przyprawy curry (lub innej w podobnym duchu). Zalewamy 400 ml mleka kokosowego, zagotowujemy i trzymamy na wolnym ogniu ok. pół godziny. Studzimy, miksujemy. Jedną białą część pora kroimy na cieniusieńkie plasterki, smażymy je krótko i ostro w łyżce oliwy, aż się mocno zrumienia, posypujemy nimi gotowy krem.

ANDRZEJ DUDZIŃSKI...



....umarł w Warszawie 17 stycznia 2023 r. Miał 77 lat i był najlepszym człowiekiem na świecie. Nie musiałem się zastanawiać nad tą nadzwyczajną przecież formułą, gdy zła wieść przywróciła Go nagle całego pamięci. Całego, czyli razem z Magdą (Dygat, pisarką), bystrym rozkojarzeniem, ledwo powstrzymywanym śmiechem, głodnymi oczami, widzianego w galerii w Sopocie, w mieszkaniu na Manhattanie, w Alejach Ujazdowskich, albo w „Tygodniku”. Kiedy tu się zjawiał, na początku lat 90., nie mogłem się nadziwić, że to taki młody facet. Myśmy sobie przecież w liceum wieszali plakaty z ptakiem Dudim nad łóżkiem (kolega opanował technikę kopiowania-powiększania jego rysunków z tygodnika „Szpilki”). Andrzej nie dość, że był młody, to młody być nie przestawał, właściwie nie miał wieku – potrafił dostrzec go do każdego partnera. Rozgrywał swoją partię z życiem na dystans. Był dzieckiem kwiatem ze świata, którym prócz Lennona i Yoko Ono rządzili na równych prawach Lutosławski, Wajda, Miłosz i Lem razem z Głowackim, Pszoniakiem, Czyżewską i Braunek. Nie przypadkiem były to wszystkie postaci jasne. Sam zmieniał style malowania i rysunku, ale nawet, gdy szedł za Goyą, nie potrafił wygasic światła w obrazach. A kiedy uznał, że za łatwo mu idzie, i przełożył węgiel do lewej, niewprawnej ręki, to i tak nie przybywało jego światom ciemności, tylko beczelnej dzikości. Nie przestawały wirować.

Kiedy przybył ze swoim Pokrakiem do „Tygodnika”, Jerzy Illg przeprowadził z nim wywiad, opublikowany w pierwszym numerze z 1992 r. Obok cytujemy jego obszerne fragmenty.

© PIOTR MUCHARSKI

Andrzej Dudziński, Warszawa, 2004 r.



Ilustracja do „Księżek w Tygodniku”, 2010 r.

Okno do środka

ANDRZEJ DUDZIŃSKI:

Reagowanie na to, co się dzieje, uczestniczenie w życiu i świecie jest na pewno bardzo ciekawe, ale uniemożliwia zajrzenie do własnej duszy.

O PTAKU DUDIM | Dudi się zmęczył. Schyłek epoki gierkowskiej wymęczył Ptaka. Z nieodpowiedzialnego faceta, jakim był chociażby w tej książeczce, która ukazała się w 1976 r., zaczął się przeobrażać w kogoś innego. Książka adresowana była do grona przyjaciół i wypełniona całą masą aluzji do naszego stylu życia, wspólnego drażenia kanałów podświadomości, i nie tylko. Ale z czasem to jednak musiało zacząć odzwierciedlać sytuację polityczną – coraz częściej umieszczałem Ptaka na mównicy, takiej zakamuflowanej, bo to była albo szafa, albo komoda, z której wylażyły wszystkie te stworki; pojawił się Albin Kapucho ze Spółdzielni Ucho – i to zaczęło drażnić cenzurę, która nagle skojarzyła sobie to wszystko z taką jawną, niezakamuflowaną satyrą na Pierwszego Sekretarza, przez ten nos, przez to, że on bez przerwy przemawiał, pouczał itd. I nagle zacząłem mieć kłopoty z Ptakiem, który dla mnie był po prostu wesołym, krótko- i cotygodniowym kabareciakiem – i zaczęło się poprawianie moich rysunków. Albo nie było już czasu, albo nie było mnie w domu, kiedy dzwonili, a trzeba już było dawać materiały do druku po interwencji cenzury – i wtedy redakcja na własną rękę poprawiała. Ja może nawet świadomie unikałem tego poprawiania, bo nie chciałem tego robić sam. Ktoś zgrabnym ruchem rączki podrabiał mój charakter pisma i w druku zamiast „na morzu obłądy” pojawiała się „na przyjemnym trawniku”.

Godziłem się na to przez jakiś czas, żeby ten cykl trwał; wydawało mi się rzeczą ważną, żeby Ptak istniał. A w jakimś mo-

mentcie to mi się znudziło i pomyślałem sobie: „jak nie, to mam was w dupie”, wołę przestać to publikować, niż znosić te poprawki, które irytowały mnie do granic.

O WYJEŹDZIE I AMERYCE | To było absolutnie pozbawione jakichkolwiek dramatycznych akcentów. Było to po prostu przedłużenie mojej drogi zawodowej. Zostałem zaproszony do wzięcia udziału w bardzo prestiżowej konferencji w Stanach, gdzie zjeżdżali się co roku graficy, malarze, architekci – to się nazywało International Design Conference, w Aspen, w Colorado, i było zaszczytnym wyróżnieniem.

Miałem już za sobą jeden długi wyjazd, kiedy to między rokiem '70 a '72 mieszkalem w Londynie, i wiedziałem, że jeżeli kiedykolwiek mam gdzieś spróbować sił, to miejscem tym jest tylko Ameryka, która ciągle jawiła się gdzieś na horyzoncie i była takim ostatecznym wyzwaniem. Tak więc wyjeżdżając tam domyślałem się, że potrwa to kilka miesięcy, ale oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, że przerodzi się w zmianę miejsca zamieszkania i kompletnie odmieni moje życie.

W Ameryce chyba najbardziej ze wszystkich zachodnich krajów, w których mieszkalem czy byłem, widoczna jest ta złuda (która często nie jest wcale złudą), ta nadzieja na coś jeszcze ciekawszego. To jest motor, główny napędowy mechanizm, sprawiający, że ludzie, którzy zaszli w swoich dziedzinach bardzo daleko i osiągnęli już prawie wszystko, ciągle liczą na coś jeszcze... Owo nienasycenie jest niemalże histeryczne, neurasteniczne. Po pierwszym powrocie do Polski powtórzyłem Jackowi Kleyffowi takie amerykańskie *credo* i zobaczyłem przerażenie w jego oczach, i uświadomiłem sobie, że zupełnie wyleczyłem go z chęci wyjechania do Ameryki – mianowicie: „Jesteś tyle wart, ile twoja ostatnia rzecz”, czy będzie to kompozycja, czy tekst, czy grafika, czy obraz.

W Ameryce nie ma przeszłości. To, co mnie urzekало zawsze w karierach w Polsce, to był fakt jakiejś osobliwej stałości. Czasami widziało się w Klubie Aktora czy w Klubie Literatów jakiegoś faceta, którego w pierwszej chwili nikt nie rozpoznawał, ale nagle ktoś mówił: „no jak to, nie poznajecie, przecież on napisał genialną rzecz w '60 czy '56 roku, nie pamiętacie

→ tego jego wiersza?”. I to wystarczyło, żeby do końca życia stawiano mu wódkę. Sława z jednego dzieła starczała na całe życie. W Ameryce byłoby to nie do pomyślenia.

O EMIGRACJI I JANIE KOWALSKIM | Właściwie myśmy tę decyzję przeciągali w nieskończoność. Przez pierwszych kilka lat siedzieliśmy na walizkach, nie wyobrażaliśmy sobie życia poza Polską na dłuższą metę, aczkolwiek wiedzieliśmy już, że trudno jest wrócić po dłuższym mieszkaniu za granicą. Myślę, że okoliczności bardziej zdecydowały za nas – do '81 roku ciągle zwlekaliśmy z podjęciem decyzji i szanse powrotu definitywnie przekreślił dopiero stan wojenny oraz moje publikacje gazetowe, głównie z „New York Timesa”.

Najtrudniej było z rosyjskimi, a raczej dziecięcymi tematami, dlatego że ja oczywiście bardzo chciałem się na te tematy wypowiadać, ale w momencie, kiedy mi to zaproponowano, byłem w przededniu wyjazdu do Polski (to był sierpień '80 roku), na normalnym, wielokrotnym paszporcie. Chodziło o ilustracje do artykułu jakiegoś dysydenta, nazywało się to bodaj „Patiomkinowskie wioski” i dotyczyło przygotowań Rosjan do olimpiady. Tekst był bardzo ostry, druzgocący, pokazywał cały ten pic, jaki oni odstawali przed światem. Strasznie chciałem to zrobić, ale powiedziałem im, że nie podpiszę tego własnym nazwiskiem, bo nie mogę ryzykować niemożności powrotu do Nowego Jorku. Oni nie chcieli się na to zgodzić, na co zaproponowałem im, że podpiszę to pseudonimem. Cały dzień trwała wymiana telefonów z szefem graficznym pisma, który w końcu poprosił, żeby to był polski pseudonim. I wtedy wymyśliłem im Jana Kowalskiego – którego używałem potem przez cały czas, aż do śmierci Breżniewa; pamiętam, że w dniu śmierci Breżniewa umarł także Kowalski. Bo to przecież było bez sensu – co ja się będę tym Kowalskim zaślał. Aczkolwiek ze względów ekonomicznych to mi niebawale służyło, bo mogłem wtedy robić dwukrotnie więcej ilustracji. Jakoś nie wypadało, żeby ten sam człowiek robił to zbyt często, a tak raz w tygodniu był Kowalski, i raz w tygodniu był Dudziński. Pamiętam, że na różnych przyjęciach nasze wspinały emigracyjne damy, które były absolutnie *au courant* i zawsze wiedziały, co się dzieje, pytały mnie: „Mamy tu tylu przeświethnych grafików i artystów w Nowym Jorku, i wszystkich, wie pan, znamy, tylko pana Kowalskiego jakoś nie miałyśmy okazji poznać”. Na co ja mówiłem, że to jest potworny mruk, samotnik, że kiedyś go gdzieś spotkałem, ale że to jest taki facet, który nigdzie się nie udziela.

No i tym Kowalskim kopałem i kasałem Wielkiego Brata, co dostarczało mi masę emocji, natomiast nie wiedziałem (a może nie chciałem wiedzieć), że oczywiście to wszystko jest skrzętnie wycinane i teczka puchnie – o czym powiedziano mi w tragicznym dla mnie momencie śmierci mojej mamy, gdy chciałem po-



Ilustracja do „Drugiego dziennika”
Jerzego Pilcha

jechać na jej pogrzeb. Było to już w okresie ostrego stanu wojennego i radca kulturalny ambasady powiedział mi, że jak się ma rodziców, to trzeba myśleć o tym, co się robi – i powiedział mi również o tej teczce. Muszę przyznać, że w tym najbardziej tragicznym momencie mojego życia nie mogłem się jednak uchronić przed odrobiną takiej paskudnej próżności, którą po prostu każdy artysta ma w nadmiarze (tym się różnimy od normalnych ludzi). Pomyślałem sobie – i mile mnie to pociętało – że w porządku, że nawet gdyby mi się kiedyś spaliła pracownia w Ameryce, to wiem, że moje prace ocaleją, bo gdzieś tam na Kruczej czy w Pałacu Mostowskich jest w żelaznej szafie zamknięta moja teczka z wycinkami z „New York Timesa”.

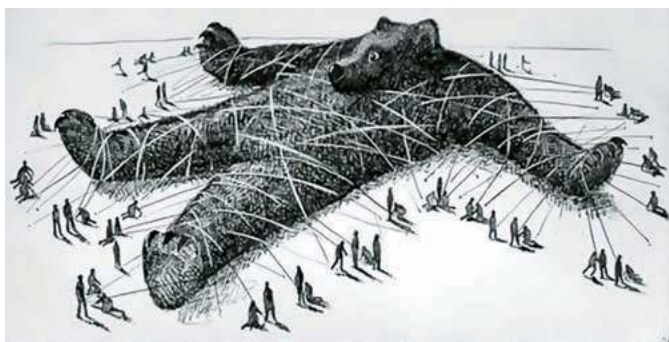
O RYSOWANIU NA ZAMÓWIENIE I WŁASNEJ SZTUCE |

Oczywiście, że to, co robię, jest bardzo związane z tym, co aktualne, ponieważ ja jestem grafikiem gazetowym, to jest moja tradycja i właściwie mam ostre zapotrzebowanie na uprawianie tego gatunku. Aktualność i reakcja na bieżąco. To, co robiłem w Polsce, dobrze mnie do tego przygotowało. Europejczycy, a szczególnie Polacy, nadają się do tego lepiej niż Amerykanie, bo mamy za sobą nasz trening lafontaine'owski, bo operowanie metaforą, żonglowanie pojęciami, często zupełnie niewyraźnymi wizualnie – to wszystko jest nam po prostu bliskie. Mówiąc o sobie, mogę tu mówić o całym pokoleniu, a właściwie pokoleniach grafików polskich – ja czuję to w palcach niemalże. Oczywiście, że żyję tym, co się wokół mnie dzieje, czytam gazety i muszę to odreagować. I odreagowuję to w taki właśnie sposób. A jeżeli mogę to robić w takiej gazecie jak „New York Times”, gdzie mam swój kącik, który ludzie czytają – to jest dla mnie niesłychanie ważne.

A równocześnie w ostatnich czasach zauważyłem, że zakładam blokadę na tę ingerencję codzienności. Że po prostu zaczyna mi to przeszkadzać. Właściwie zawsze pracowałem na co najmniej dwóch kanałach: jeden to moja grafika użytkowa, komentarze polityczne, ilustracje do gazet, plakaty; natomiast drugi to tzw. sztuka osobista, rzeczy, które robię z myślą wyłącznie o sobie albo o małym gronie przyjaciół. Wyobrażam sobie, jak na to zareagują, i chcę ich zaskoczyć. I siebie zaskoczyć. To taka dużo bardziej wysublimowana część mojej działalności.

Reagowanie na to, co się dzieje, uczestniczenie w życiu i świecie jest na pewno bardzo ciekawe, ale uniemożliwia czło-

wiekowi zajrzenie do własnej duszy. Zapytałem niedawno Witolda Lutosławskiego, w jakim stopniu to, co się dzieje wokół, znajduje odzwierciedlenie w jego twórczości, a on mi powiedział, że w stopniu minimalnym. To znaczy: on tego świadomie nie wpuszcza,



Rysunek dla „New York Timesa”,
lata 80.

natomiast nie może zaprzeczyć, że absorbuje to jego podświadomość. Muszę powiedzieć, że z wszystkich kontaktów i konfrontacji z innymi artystami ta wypowiedź wywarła na mnie największe wrażenie. Moralne poparcie twórcy o takim autorytecie pozwoliło mi nagle zrozumieć i rozwiązać wątpliwości. Do tej pory brakowało mi bowiem tupetu, żeby tak po prostu się odciąć. Zawsze wydawało mi się, że obowiązkiem artysty, a szczególnie kogoś takiego jak ja, jest uczestniczyć w życiu. Cała moja dotychczasowa droga poprzez gazety polskie, angielskie, uczestniczenie w tym wspaniałym okresie londyńskiego undergroundu – to wszystko było bowiem cały czas na bieżąco, cały czas na temat. To był taki ping-pong... W Anglii, w czasie kiedy pracowałem dla „Oz”, nazwano mnie „*instant cartoonist*”, czyli „rysownik na zawołanie”. Nie było żadnej zwłoki: „dzisiaj pytanie, dzisiaj odpowiedź”. Ja się tym niesłychanie emocjonowałem i kiedy zaproponowano mi współpracę z „New York Timesem”, to z taką ochotą harcerza chciałem sprostać temu zadaniu – zadaniu upiornemu, ponieważ między zadaniem a odpowiedzią wizualną był w najlepszym razie dzień. Na ogół dowiadywałem się późnym popołudniem albo wręcz wieczorem, a do 12 w południe musiał być gotowy rysunek. Czyli to była rzeczywiście szkoła jazdy.

O POKRAKU, LEWEJ STRONIE I BRAKOROBACH | Myślę, że pojawienie się Pokraka było reakcją na brak Dudiego. O ile Dudi miał swój świat i był stworzonkiem przyjaznym, a jego humor był nieco ironiczny, raczej w stronę absurdu ciągnący – o tyle Pokrak jest istotą zdecydowanie brutalną, to chamiś, które wkracza w akcję bez uprzedzenia. Zaczął on mi się objawiać w ten sposób, że zaczynałem np. jakiś rysunek albo obraz z myślą o tym, aby to pociągnąć w duchu harmonii i piękna. A także z pragnieniem ofiarowania odbiorcy jakiejś solidnej wartości – tymczasem wkraczał w to Pokrak i wyglądało to tak: pół obrazu przyzwyczajenie namalowanego i brutalnie urwanego, a tam w tej pustce stoi Pokrak, który wygląda jak gryzmoł dziecka.

Rysuję go i piszę jego imię lewą ręką. To przejście do lewej strony jest w ogóle dość brutalnym zabiegiem na samym sobie. Prawa ręka osiągnęła już daleko idącą finezję, która zaczyna mnie troszeczkę mierzić, ponieważ przychodzi mi to z łatwością i ja się tej łatwości... nie to, że się jej boję, ale jej nie lubię. To za łatwe. A lewa strona jest dziewczica. Lewą ręką nigdy się nie posługiwałem i nagle zobaczyłem, że jak zaczynam jej używać, to wychodzi mi taki wczesny Dudziński gdzieś pomiędzy drugim a trzecim rokiem życia, czyli coś z groty. Zapragnąłem dotrzeć do tego okresu, wcześniejszego niż czas, kiedy mój ojciec architekt zaczął mnie uczyć rysowania ołówkiem H6 takich precyzyjnie wykonanych krasnali – chciałem dotrzeć do tego nieodkrytego jeszcze, dziewiczego obszaru. I Pokrak jest rodem stamtąd.

Ale może jestem trochę niesprawiedliwy, kiedy mówię, że to jest bydlę. Tę niesprawiedliwość uświadomił mi Roland Topor, który jest moim mentorem. A szczególnie mentorem Pokraka. Kiedy po wystawie londyńskiej w 1987 r. przyjechałem do Paryża i pokazywałem mu Pokraka jako nowe zjawisko, Topor, nazywając mnie „mistrzem Pokraka” („*maître du Pokrak*”), zażądał ode mnie, żebym tego Pokraka nie tylko kontynuował, ale też przestał go traktować jak coś okropnego. Jego zdaniem jest to źródło zachęty i nadziei dla ludzkiej nieudolności. Ja mu wtedy opowiedziałem o swoim dzieciństwie w kraju rozwijającym się i odbudowującym, gdzie nas straszono brakorobami

– pamiętam, że w „Kronikach filmowych” pokazywano takie garnitury z łódzkich zakładów, gdzie jeden rękaw był o 30 cm dłuższy albo krzywo przyszyte guziki – przecież cała ta nasza socjalistyczna jakość była pokraczna. I Pokrak jest na pewno rodem stamtąd. Na to Topor: „Słuchaj, w tym jest także coś po prostu ludzkiego. Kiedy Pokrak objawi się ludziom, a ty za jego pośrednictwem będziesz mówił, że można być pokracznym, że niekoniecznie muszą być *perfect*, że właśnie ta pokraczność jest ludzka – wtedy może się w ogóle zrobić moda na coś takiego. Dla przykładu: masz w domu stłuczony kubek – nie musisz przyklejać z powrotem tego ucha, bo to jest w porządku, to jest Pokrak. Albo obraz wisi krzywo na ścianie – nie musisz z pedanterią godną lepszej sprawy go prostować, bo to jest Pokrak”. On jakby uczył się tej mojej filozofii Pokraka i nadał jej bieg – twierdził, że ciąży na mnie wielka odpowiedzialność, że Pokrak ma dodawać otuchy całym tym rzeszom ludzi niewydarzonych, był taką maskotką pechowców i nieudaczników.

Ta moja lewa strona chce rzucać brudne skarpetki na śródek pokoju, ku utraپieniu towarzyski życia, i chce się wyrwać. Bo ja zaczynałem jako architekt, studiowałem dwa lata architekturę, i właściwie byłem pod szalonym wpływem życia ustalonego przez ojca. Ojciec architekt, syn architekt, razem, twarde ołówki i szczoteczka do zmiatania okruszków ze stołu – i raczej wszystko poukładane. Ale to właśnie w tym zmaganiu, w tej przepychance wszystko się rodzi. Jest to walka poukładanego z porozruczanym.

© Rozmawiał JERZY ILLG

„Tygodnik Powszechny” nr 1/1992

Plakat, kartka pocztowa „Tygodnika Powszechnego”, ok. 1998 r.



STANISŁAW

Mancewicz: Hiszpańska wyprawa po jantar



POETA DOMAGA SIĘ – JAK WIEMY – ABY JĘZYK giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa, więc niech to złośliwe zdanie będzie nam dziś kanwą do rozmyślań nad stanem kraju. Zważmy, że język bez żadnej litości obnaża stan i poziom umysłu.

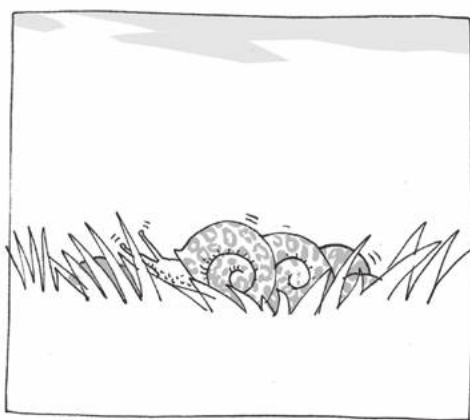
Rzec na początek wypada, że głowa mówiących nie jest na ogół myśląca, a przykładów na sprawność języka w prezentowaniu poziomemu umysłowemu ich właścicieli mamy aż nadto. Zaczniemy, a w zasadzie wróćmy na moment do sławnego, a celnego strzału z granatnika w drzwi służbowego klozetu tutejszego komendanta policji. Sprawa – jak to się powszechnie mówi – jest uporczywie i od tygodni zmiotana pod dywan przez cały aparat bezpieczeństwa państwa polskiego. Wiadomo. Zważmy, że nikogo tu już zmiotanie czegośkolwiek gdziekolwiek ani nie dziwi, ani nie złości. Zmiotanie pod dywan jest zawsze, nawet wzięte dosłownie, czynnością tak szalenie śmieszną, że można by o niej napisać humoreskę. Niejedną. No więc do tej śmiesznej przygody pierwszego gliny RP doszło jeszcze coś, co nas znowuż i znowuż rozczuliło. Oto w którymś z kolejnych – rzecz jasna, pokrętnych – oświadczeń którejś z kolei służby państwowej spośród tych działających jawnie, tajnie i dwupłciowo dowiedzieliśmy się, że pan komendant – który, jak wiemy, granatnik przywiózł sobie z Ukrainy – na granicy państwowej przeszedł „kurtuazyjną kontrolę graniczną” (to cytat). Jest to, każdy przyzna, najśmieszniejsze, co mógł wyrazić giętki język zaraz po tym, co pomyślała głowa.

Gdyśmy już ochłonęli, gdyśmy się popukali w głowę, zrozumieliśmy. Oto każdy prawicowy funkcjonariusz w RP, od średniego szczebla wzwyż, zawsze przechodzi kontrole wyłącznie „kurtuazyjne”. Czy to w skarbowce, czy to na granicy państwowej, czy to w dowolnym urzędzie kontrolującym cokolwiek. Wobec tak namalowanego krajobrazu uznać należy za oczywiste, że na co dzień, jak Polska długa i szeroka,

odbywają się tu i tam kurtuazyjne kontrole trzeźwości. To chyba oczywiste. Kurtuazja jest obecna i wyczuwalna wszędzie, co może być szokujące dla wielu obserwatorów polskich realiów i codzienności, języka właśnie, manier w parlamencie i życia ulicy. „Polska krajem kurtuazji!” jest hasłem znakomitym, każdy to powie. Można rzec, że wszyscy prawicowcy świata mogliby u nas znaleźć azyl, zapraszamy! Rzecz jasna, po kurtuazyjnej kontroli granicznej. I to by było w zasadzie na tyle, gdyby nie najnowsze wydarzenie z tej serii.

Jak już wiemy, w środku nocy, na morzu, podczas zimowego sztormu, parę kilometrów od najważniejszych polskich instalacji – jak to się określa w naszym giętym języku, a raczej jęzorz – „infrastruktury krytycznej”, wyłowiono zziębniętych na kość Hiszpanów. Siedzieli w motorówce, byli wyposażeni w bardzo nowoczesną aparaturę do nurkowania, w drony i inne roboty. Naszym znanym z kurtuazji policjantom powiedzieli, że łowią bursztyny. To przecież zupełnie oczywiste. Każdy – jak tu ponuro siedzimy – poławia bursztyny w odmętach Zatoki Puckiej w nocy i podczas sztormu. Wtedy bursztyny są najlepiej widoczne i nie uciekają, to wie każdy, wie też każdy policjant, tego ich uczą w szkole. A więc Hiszpanie zostali natarci rozgrzewającymi olejami, zmieniono im przemoczone pidżamki, dano herbatki z cytrynką i puszczono do domu, zapewne w trakcie owych czynności pielęgnacyjnych zapytano, rzecz jasna, kurtuazyjnie, kto ich przysłał. Tu, do kraju pohukujących sów i skrzeczących mew. Można sobie wyobrazić zdumienie gości z Półwyspu Iberyjskiego, zdumienie tym pytaniem – przecież to jasne – że ludy znad Morza Śródziemnego mają bzika na punkcie jantaru, że od tysięcy lat przyjeżdżają tu na polecenie cesarzy i królów, i tak też było tym razem. Polska jest znanym w świecie krajem jantaru i kurtuazji. Dlatego tu są. Pan Morawiecki ogłosił, że oczekuje pełnego raportu służb specjalnych na temat tego wydarzenia, ale, między nami mówiąc, wystarczy, jak przeczyta ten szalenie kurtuazyjny felieton o stanie państwa. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Maciej Stuhr

czyta bajki w „Tygodniku”



„Słuchowisko Daleko i Blisko. Baśnie i Legendy Ukraińskie”

jest płytowym wydaniem bajek, baśni i opowieści ukraińskich, czytanych przez Macieja Stuhr. Zabierz swoich Bliskich w podróż dźwiękową pełną niesamowitych historii.

Płytę otrzymają wszyscy Prenumeratorzy wydania drukowanego „Tygodnika Powszechnego” **wraz z wydaniem nr 9/23 z 22 lutego** w ramach współpracy z Fundacją Fine.ngo i Unicef.

Nie prenumerujesz? Jest jeszcze czas, by to zmienić. **Zamów dowolną prenumeratę naszego pisma** i ciesz się prezentem! Wydanie płytowe dostępne tylko z prenumeratą wydania drukowanego „Tygodnika Powszechnego”.

PARTNER WYDANIA: **fine.ngo**

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dvorska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY
SALES/Imanago
marketing automation



fine.ngo

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAROCIN festiwal

* AGNIESZKA CHYLIŃSKA *
 * NOSOWSKA * T.LOVE *
 * RENATA PRZEMYSK * MOSKWA *
 * PROLETARYAT * LUXTORPEDA *
 * WALUSKA * AKSAK * ZYS *
 * FISZ * EMAD * TWORZYWO *
 * CLOSTERKELLER *
 * ANIELI * THE BULLSEYES *
 * WRONA * BAKA *
 * HAPPY PILLS * 1125 *

13-16 LIPCA 2023



35
lat

18.03 - POZNAŃ TAMA
 26.03 - WROCŁAW ZAKŁĘTE REWIRY
 30.03 - WARSZAWA PALLADIUM
 1.04 - KATOWICE P23
 2.04 - KRAKÓW KWADRAT
 13.04 - LUBLIN CSK
 20.04 - SZCZECIN/PRZECŁAW GOKSIR
 21.04 - BYDGOSZCZ FABRYKA LLOYDA
 22.04 - ŁÓDŹ WYTŹWORNIA



apoluzjanci

23.03.2023 Poznań Tama
 24.03.2023 Bydgoszcz Fabryka Lloyd
 25.03.2023 Szczecin/Przecław GOKSIR
 31.03.2023 Wrocław Az
 01.04.2023 Łódź Wytźwornia
 02.04.2023 Gdańsk Stary Mania
 13.04.2023 Katowice P23
 14.04.2023 Kraków Klub Studio
 26.04.2023 Warszawa Stodola

nextfest

MUSIC SHOWCASE & CONFERENCE

20-22
04
2023
POZNAŃ (PL)

1ST ANNOUNCEMENT

MROZU @ MARGARET
 JAMAL @ BARTEK KRÓLIK
 KAMIL HUSSEIN @ SWIERNALIS
 IZZY AND THE BLACK TREES
 STACH BUKOWSKI @ MNODA
 TYNSKY @ CIEPŁE BREJKI @ VINCENT
 MONA POLASKI @ JULIA ROCKA
 ROZEN @ ANIA SZLAGOWSKA
 MAGDA KLUZ @ PURE BEDLAM
 WIKTORIA ZWOLIŃSKA
 ASIA NAWOJSKA @ LOCHY I SMOKI
 TAŃKA SZAFRANIEC @ NITA
 OLA OLSZEWSKA @ OLIVER GIGON
 DOMINIKA PŁONKA @ HELAINE VIS
 HELUCZE @ ZIEMBUŁ @ MAKŚ ŁAPIŃSKI
 SABINA SZEWCZYK @ JELSA
 NIEŚLUCHOWSKI @ NOHONO
 JEŻE ORUELIŃSKIE

WWW.NEXTFEST.PL

JOSS STONE

20 YEARS OF SOUL

27.02.2023 WARSZAWA
TEATR WIELKI - OPERA NARODOWA

01.03.2023 WROCŁAW
NARODOWE FORUM MUZYKI



Disney 100 KONCERT

ORKIESTRA
I SOLIŚCI
NA ŻYWO

11.10.2023
WARSZAWA / COS TORWAR

12.10.2023
KRAKÓW / TAURON ARENA KRAKÓW

GOOD
TASTE!

BILETY DOSTĘPNE NA WWW.GOODTASTE.PL